

Jack Higgins

# Orzeł odleciał

Przełożył: JERZY EBROWSKI

AMBER

Tytuł oryginału: THE EAGLE HAS FLOWN

*Dla mojej matki Henrietty Higgins Bell*

W sobot szóstego listopada 1943 roku, o godzinie pierwszej w nocy, Heinrich Himmler, Reichsfuhrer SS i szef pa stwowej policji, otrzymał krótki komunikat: ORZEŁ WYL DOWAŁ. Niewielka jednostka niemieckich spadochroniarzy pod dowództwem Oberstleutnanta Kurta Steinera, wspomagana przez bojownika IRA, Liama Devlina, dotarła wła nie bezpiecznie do Anglii, gotowa dokona porwania brytyjskiego premiera Winstona Churchilla z wiejskiej posiadł ci w Norfolk, w której sp dzał weekend, wypoczywaj c nad morzem. W ci gu nast pnej doby - w wyniku krwawej potyczki mi dzy ameryka skimi komandosami i Niemcami w wiosce Studley Constable - misja zako czyła si niepowodzeniem, a z całej grupy ocalał - jak si wydawało - jedynie Liam Devlin. Je li za chodzi o Kurta Steinera...

## LONDYN BELFAST 1975

W jednym z naro ników na szczycie bogato zdobionego mauzoleum widniała posta Anioła mierci z rozpostartymi ramionami. Dobrze to pami tam, gdy kto wiczył wła nie gr na organach i przez witra e spływały na cmentarz kolorowe smugi wiatła. Ko ciół nie był szczególnie stary. Został wzniesiony w szczytowym okresie wiktoria skiego dobrobytu, podobnie jak otaczaj ce go wysokie kamienice. Plac wi tego Marcina. Kiedy miał swój renom . Teraz stanowił jedynie ubogi zak tek Belsize Park, ale zarazem miłe, spokojne miejsce, gdzie samotna kobieta mogła bezpiecznie wyj o północy do sklepu na rogu, a ludzie zajmowali si swoimi sprawami.

Mieszkanie numer trzynacie znajdowało si na parterze. Mój agent wynaj ł je dla mnie od kuzyna, który wyjechał na pół roku do Nowego Jorku. Było staro wieckie, wygodne i bardzo mi odpowiadało. Ko czyłem wła nie kolejn powie i musiałem bywa niemal codziennie w czytelni Muzeum Brytyjskiego.

W tamten listopadowy wieczór, gdy wszystko si zacz ło, padał ulewny deszcz. Było tu po szóstej, gdy min łem elazn bram i poszedłem cie k przez g szcz gotyckich pomników i nagrobków. Pomimo parasola mój trencz był zupełnie przemokni ty na ramionach. Wcale si tym zreszt nie przejmowałem. Zawsze lubiłem deszcz, miasto noc , mokre ulice nikt ce w zimowym mroku i szczególne uczucie wolno ci, które si z tym wi e. Poza tym miałem za sob owocny dzie . Moja praca zdecydowanie zbli ała si do finału.

Anioł mierci był teraz bliżej, widoczny w słabym świetle, które padało z kocioła. Brzozy drzwi mauzoleum strzegły dwie marmurowe postacie i wszystko wyglądało tak jak zwykle, ale owego wieczoru mógłbym przysiąc, że jest tam jeszcze trzecia postać, która wyłania się z mroku i idzie w moim kierunku.

Przez chwilę ogarnęło mnie przerażenie, a potem, gdy postać wyszła z cienia, ujrzałem młodą kobietę, niewysoką, w czarnym berecie i przemoczonym płaszczu. W jednej ręce trzymała aktówkę. Miała bladą twarz, a w jej ciemnych oczach był jakiś niepokój.

- Pan Higgins? Pan Jack Higgins, prawda? Była Amerykanką, to nie budziło we mnie wątpliwości. Zaczepiłem powietrze, żeby się uspokoić.

- Zgadza się. Czym mogła być?

- Muszę z panem porozmawiać, panie Higgins. Czy moglibyśmy gdzieś pójść?

Zawahałem się, nie mając ochoty z wielu oczywistych powodów przedłużyć tego spotkania, było w niej jednak coś niezwyklego, czemu nie umiałem się oprzeć.

- Mieszkam po drugiej stronie placu - powiedziałem.

- Wiem - przyznała. Gdy nadal nie mogłem się zdecydować, dodała: - Nie bój się pan, ałował, proszę mi wierzyć. Mam dla pana ważne informacje.

- Na jaki temat? - zapytałem.

- Co zdarzyło się jeszcze w Studley Constable. Och, nie wie pan o tak wielu sprawach. To wystarczyło. Wziłem ją pod rękę i powiedziałem:

- Dobrze. Wejdźmy do domu, bo na tym cholernym deszczu dostanie pani zaraz zapalenia płuc. Potem posłucham, co to za historia.

Wnętrze domu niewiele się zmieniło, szczególnie w moim mieszkaniu, gdzie właściciel pozostawił półnowiktoriański wystrój, liczne mahoniowe meble, zasłony z czerwonego aksamitu w wykuszowym oknie i złoto-zielone chińskie tapety z malowanymi ptakami. Jeśli nie liczyć centralnego ogrzewania, jedyne urządzenie na rzecz nowoczesności stanowił rodzaj gazowego kominka, który sprawiał takie wrażenie, jakby drwa płonęły jasno w koszu z nierdzewnej stali.

- Ładnie tu - powiedziała, odwracając się do mnie twarzą. Była jeszcze nieśmiała, nieśmiała. Wyciągnęła z zakłopotaniem prawą rękę, w lewej trzymała nadal aktówkę. - Nazywam się Cohen - oznajmiła. - Ruth Cohen.

- Proszę mi dać ten płaszcz - powiedziałem. - Powiesz go przy kaloryferze.

- Dziękuję - odparła, próbując nieporadnie rozwinąć jeden z pasek. Rozebrałem się i wziąłem od niej aktówkę.

- Proszę pozwolić. - Kładąc teczkę na stole, zauważyłem wyryte z boku czarne inicjały. A na końcu widniały litery Ph.D.

- Ma pani doktorat? - zapytałem.

Uśmiechnęła się nieznacznie, próbując wydobyć rękę z płaszcza.

- Harvard. Historia nowożytna.

- To interesujące - stwierdziłem. - Zrobi herbatę, a może woli pani kawę?

Znowu się uśmiechnęła.

- Od pół roku robi habilitację na uniwersytecie w Londynie, panie Higgins. Zdecydowanie wolę waszą herbatę.

Wszedłem do kuchni, nastawiłem czajnik i przygotowałem tacę. Czekać zapaliłem papierosa, a kiedy się odwróciłem, stała w drzwiach z założonymi rękami, oparta o framugę.

- Ta pani praca doktorska - zagadnąłem - na jaki był temat?

- Wybrane aspekty historii Trzeciej Rzeszy podczas drugiej wojny światowej.

- Ciekawe. Cohen... Jest pani żydówką? - Odwróciłem się, żeby zaparzyć herbatę.

- Ojciec był niemieckim żydem. Przeżył Oświęcim i udało mu się wyjechać do Stanów, ale zmarł w rok po moim urodzeniu.

Nie było mnie stać na nic innego niż zwyczajowe, zdawkowe wyrazy współczucia.

Przez chwilę przyglądała mi się obojętnie, po czym odwróciła się i poszła z powrotem do salonu. Podjąłem za nią, niosąc tacę, którą postawiłem przy kominku na niewielkim stoliku do kawy. Usiedliśmy w fotelach naprzeciw siebie.

- To wyjątkowo pani zainteresowanie Trzecią Rzeszą - stwierdziłem, nalewając herbatę.

Zmarszczyła brwi i wzięła do ręki filiżankę, którą jej podałem.

- Jestem tylko historykiem. Nie szukam osobistych korzyści.

Mam szczególnego bzika na punkcie Abwehry, niemieckiego wywiadu wojskowego. Jak to się stało, że byli tak dobrzy, a zarazem tacy li?

- Admirał Wilhelm Canaris i jego wesoła gromadka? - Wzruszyłem ramionami. - Moim zdaniem on nigdy nie podchodził do tej roboty z entuzjazmem, ale ponieważ w kwietniu czterdziestego piątego roku SS powiesiło go w obozie koncentracyjnym we Flossenbурgu, nie dowiemy się, jak było naprawdę.

- I tu dochodzimy do pana - powiedziała. - I pańskiej książki Orzeł wylądował.

- To powieść, pani doktor - odparłem. - Czyste spekulacje.

- Z których co najmniej pięćdziesiąt procent to udokumentowane historyczne fakty.

Sam pan tak twierdzi na początku książki.

Pochyliła się naprzód, splatając dłonie na kolanach, wyraźnie podekscytowana.

- No dobrze, wi c do czego wła ciwie pani zmierza? - spytałem cicho.

- Pami ta pan, w jaki sposób cała sprawa wyszła na jaw? - zagadn ła. - Od czego si wszystko zacz ło?

- Oczywi cie - odparłem. - Od nagrobka Steinera i jego ludzi, który mieszka cy Studley Constable przykryli na cmentarzu płyt z innego grobu.

- Pami ta pan, co tam było napisane?

- Hier ruhen Oberstleutnant Kurt Steiner und 13 deutsche Fallschirmjgdger gefallen am 6 November 1943.

- Wła nie - przytakn ła. - „Tu le y pułkownik Kurt Steiner i trzynastu niemieckich spadochroniarzy, poległych w walce szóstego listopada tysi c dziewi set czterdziestego trzeciego roku”.

- O co wi c pani chodzi?

- Trzyna cie plus jeden daje czterna cie, tyle e w tym grobie nie ma czternastu ciał. Jest tylko trzyna cie. Przygl dałem si jej z niedowierzaniem.

- Sk d, do diabła, takie przypuszczenie?

- Poniewa Kurt Steiner nie zgin ł tamtej nocy na tarasie w Meltham House, panie Higgins. - Si gn ła po aktówk , szybko j otworzyła i wyj ła br zow kartonow teczk . - Wła nie tutaj mam na to dowody.

W takiej sytuacji nie mogło si obej bez irlandzkiej whisky. Nalałem po szklaneczce Bushmills i zapytałem:

- No dobrze, czy mog je zobaczy ?

- Oczywi cie, po to tu jestem, ale najpierw chc panu co wyja ni . We wszelkich monografiach, dotycz cych wywiadowczej działalno ci Abwehry podczas drugiej wojny wiatowej, pojawiaj si stale wzmianki o ZOS - Zarz dzie Operacji Specjalnych, utworzonym w tysi c dziewi set czterdziestym roku przez brytyjski wywiad na polecenie Churchilla, w celu skoordynowania akcji ruchu oporu i podziemia w Europie.

- Europa miała stan w ogniu, tak brzmiał jego rozkaz - powiedziałem.

- Zafascynowało mnie odkrycie, e wielu Amerykanów pracowało dla ZOS, zanim Ameryka przyst piła do wojny. Pomy lałam, e mo e co w tym jest. Załatwiłam sobie przyjazd tutaj, eby zbada spraw . Stale natrafiałam na pewne nazwisko. Munro. Generał brygady Dougal Munro. Przed wojn był archeologiem w Oksfordzie. W ZOS kierował Sekcj „D”. Nazywano j powszechnie „departamentem od brudnej roboty”.

- Słyszałem o tym człowieku.

- Prowadziłam badania głównie w Państwowym Biurze Archiwów. Jak panu wiadomo, tylko nieliczne akta związane z działalnością wywiadu udostępnia się od razu. Niektóre są do wglądu dopiero po dwudziestu pięciu latach, inne po pięćdziesięciu...

- A materiały o wyjątkowym znaczeniu dopiero po stu latach - dodałem.

- Właśnie coś takiego tutaj mam. - Podniosła teczkę. - Utajnione na sto lat akta sprawy Dougala Munro, Kurta Steinera, Liama Devlina i innych. Może mi pan wierzy, że to niezwykła historia.

Podała mi teczkę, a ja położyłem ją sobie na kolanach, nie zaglądając do środka.

- Jakim cudem pani to zdobyła?

- Zamówiłam wczoraj akta dotyczące Munro. W archiwum był na dyżurze tylko młody urzędnik. Okazał się nieostrożny. Znalazłam ten raport między innymi aktami. Był, oczywiście, zabezpieczony. W Biurze Archiwów trzeba czytać wszystko na miejscu, ale ponieważ tych materiałów nie wpisano mi w kartę, wsunęłam je do teczki.

- Pogwałciła pani ustawę o ochronie państwa - zauważyłem.

- Wiem. Zdjęłam pieczęć najostrożniej, jak potrafiłam, i wszystko przeczytałam. To tylko trzydziestostronicowe podsumowanie pewnych wydarzeń - pewnych zdumiewających wydarzeń.

- A potem?

- Zrobiłam fotokopie.

- Dzięki cudom współczesnej techniki mogłoby się o tym dowiedzieć.

- Zdam sobie sprawę. Tak czy inaczej, zabezpieczałam te akta i dzisiaj je oddałam.

- Niby w jaki sposób? - zapytałem.

- Zamówiłam te same materiały co wczoraj. A kiedy odnosiłam akta Munro do biurka, powiedziałam dyżurnemu, że zaszła pomyłka.

- Uwierzył pani?

- Chyba tak. Dlaczego niby miałby nie wierzyć?

- To był ten sam urzędnik?

- Nie. Starszy od tamtego.

Zastanawiałem się nad tym, czując wyraźny niepokój. W końcu powiedziałem:

- Może zrobi pani dla nas obojga wieherbatę, zanim to przeczytam?

- Dobrze.

Wzięła tacę i wyszła. Wahałem się jeszcze przez moment, a potem otworzyłem teczkę i zacząłem czytać.

Opisane w raporcie wydarzenia tak mnie zafrapowały, że nie zauważyłem nawet, kiedy wróciła. Gdy skończyłem czytać, zamknąłem akta i podniosłem wzrok. Siedziała znów w fotelu i przyglądała mi się, dziwnie przejeżdżając.

- Rozumiem, dlaczego utajniono to aż na sto lat - powiedziałem. - Władze nie życzyłyby sobie ujawniania takich faktów, nawet teraz.

- Tak te sprawy lałam.

- Mogłoby to na jakiś czas zatrzymać? Zawahała się, a potem skinęła głową.

- Do jutra, jeśli pan chce. Wieczorem lecę z powrotem do Stanów. PanAmem.

- Nagła zmiana planów?

Wyszła po płaszcz.

- Właśnie. Stwierdziłam, że zrobię lepiej wracając do kraju.

- Jakie powody do niepokoju? - zapytałem.

- Owszem. Pewnie jestem przewrażliwiona. Odbiorę ten raport jutro po południu.

Powiedzmy o trzeciej, w drodze na lotnisko, dobrze?

- Zgoda - odparłem, kładąc teczkę na stoliku do kawy.

Kiedy odprowadzałem ją do wyjścia, zegar na kominku wybił siódme trzydzieści. Otworzyłem drzwi i staliśmy tak przez chwilę. Na zewnątrz padał ulewny deszcz.

- Oczywiście jest ktoś, kto mógłby potwierdzić prawdziwość tego raportu - powiedziała. - Liam Devlin. Wspomniał pan w swojej książce, że nadal żyje i współpracuje z Tymczasową IRA w Irlandii.

- Tak, słyszałem. Ma teraz sześćdziesiąt siedem lat, ale podobno nie lekko się trzyma.

- No cóż. - Ponownie się uśmiechnęła. - Zobaczymy się jutro po południu.

Zeszła po schodach i oddaliła się w deszczu, znikając w wieczornej mgle u wylotu ulicy.

Usiadłem przy kominku i przeczytałem raport jeszcze dwa razy. Potem wróciłem do kuchni, aby zrobić sobie kolejną filiżankę herbaty i kanapkę z kurczakiem. Jadłem ją, siedząc przy stole i rozmawiając.

To zadziwiające, jak zupełnie przypadkowe wydarzenia mogły wszystko zmienić. Przeżyłem już kiedyś coś takiego, odnajdując na cmentarzu w Studley Constable ukryty nagrobek Steinera i jego ludzi. Szukałem materiałów do artykułu w historycznym czasopiśmie, a nieoczekiwanie znalazłem coś, co zmieniło całe moje życie. Napisałem książkę, która rozeszła się po całym świecie, od Nowego Jorku do Moskwy, i uczyniła mnie bogatym. A teraz zjawiała się Ruth Cohen z wykradzionymi aktami i znów przepełniało mnie to samo dziwne, elektryzujące podniecenie.

Musiałem ochłonąć. Spojrzałem na wszystko z dystansu. Poszedłem więc pod prysznic, bez po piechu wziąłem kąpiel, potem się ogoliłem i ponownie ubrałem. Było dopiero wpół do dziesiątej, a nie wydawało się prawdopodobne, abyem wczoraj nie położył się spać, jeżeli w ogóle miałem się kłaść.

Musiałem pomyśleć, zrobiłem więc następną porcję herbaty, usadowiłem się w fotelu przy kominku, zapaliłem papierosa i zacząłem raz jeszcze przeglądać akta.

Wyrwał mnie z zamyślenia dzwonek u drzwi. Rzuciłem okiem na zegar: dochodziła dziesiąta. Natarczywy dźwięk dzwonka rozległ się ponownie. Włożyłem raport do teczki, położyłem ją na stoliku do kawy i wyszedłem do holu. Przyszło mi do głowy, że może wróciła Ruth Cohen, ale myliłem się całkowicie, gdyż otworzywszy drzwi zobaczyłem na progu młodego policjanta w mokrym od deszczu granatowym płaszczu.

- Pan Higgins? - Spojrzał na kawałek papieru, który trzymał w lewej ręce. - Pan Jack Higgins?

To zastanawiam się, jak szybko wyczuwamy złe nowiny, zanim nam je ktoś przekazuje.

- Tak - odparłem. Wszedł do holu.

- Przepraszam za kłopot, sir, ale prowadzę dochodzenie w sprawie niejakiej panny Ruth Cohen. Jest pan przypadkiem jej znajomym?

- Niezupełnie - powiedziałem. - Czy coś się stało?

- Niestety, sir, ta młoda dama nie żyje. Godzinę temu wpadła pod samochód koło Muzeum Brytyjskiego. Kierowca uciekł z miejsca wypadku.

- O Boże! - wyszeptałem.

- Chodzi o to, sir, że znaleźli my w jej torebce paski wizytówek.

Trudno było mi się z tym wszystkim pogodzić. Dopiero co stała w drzwiach tam, gdzie on. Ten chłopak też miał najwyżej dwadzieścia jeden lat, może dwadzieścia dwa. Był jeszcze na tyle młody, aby okazać współczucie. Położył mi rękę na ramieniu i zapytał:

- Dobrze się pan czuje, sir?

- Jestem tylko wstrząśnięty, nic więcej - odparłem, głębszo wciągnąłem powietrze. - Czego pan ode mnie oczekuje?

- Zdaje się, że ta młoda dama studiowała w Londynie na uniwersytecie. Sprawdzaliśmy w domu studenckim. Nikogo tam nie ma, poza tym jest koniec tygodnia. Chodzi o oficjalną identyfikację. Do raportu koronera.

- I chce pan, abyem ja to zrobił?

- Gdyby pan zechciał, sir. To niedaleko. Jest w kostnicy w Kensington.

Jeszcze raz głębszo wciągnąłem powietrze, aby uspokoić nerwy.



- No dobrze. Wezm tylko płaszcz.

Kostnica mie ciła si w bocznej ulicy, w budynku o przygn biaj cym wygl dzie, przypominaj cym magazyn bardziej ni cokolwiek innego. Kiedy weszli my do foyer, przy biurku siedział umundurowany portier, a koło okna stał niski brunet po pi dziesi tce, wpatrzony w padaj cy za oknem deszcz. Z k cika ust zwisał mu papieros. Miał na sobie filcowy kapelusz i trenz.

Odwrócił si do mnie, trzymaj c r ce w kieszeniach.

- Pan Higgins, prawda?

- Tak - odparłem.

Zakaszła, nie wyjmuj c r k z kieszeni. Z ko cówki papierosa spadł mu na płaszcz popiół.

- Inspektor Fox. Nieprzyjemna sprawa, sir.

- Tak - przyznałem.

- Czy ta młoda dama, Ruth Cohen, była pa sk znajom ?

- Nie - odparłem. - Dzi wieczór widziałem j po raz pierwszy.

- Miała w torebce pa sk wizytówk . - Zanim zd yłem odpowiedzie , ci gn ł dalej. - Tak czy inaczej, najlepiej załatwmy, co trzeba. Prosz t dy.

Pomieszczenie, do którego mnie zabrali, było wyło one białymi kafelkami i jasno o wietlone jarzeniówkami. Stały tam szeregiem stoły operacyjne. Zwłoki, przykryte biał gumow płacht , le ały na ostatnim z nich. Ruth Cohen wygl dała bardzo spokojnie, miała zamkni te oczy, ale jej głow obwi zano plastikowym kapturem, przez który s czyła si krew.

- Czy o wiadcza pan, e rozpoznaje w zmarłej Ruth Cohen, sir? - zapytał policjant. Skin łem głow .

- Tak, to ona.

Zwłoki zostały ponownie przykryte płacht . Kiedy si odwróciłem, Fox siedział w k cie na kraw dzi stołu, zapalaj c kolejnego papierosa.

- Jak ju mówiłem, znale li my w jej torebce pa sk wizytówk .

W tym momencie doznałem jakby ol nienia i wróciłem do rzeczywisto ci. Ucieczka z miejsca wypadku. To powa ne wykroczenie, ale dlaczego miało zasługiwa na uwag głównego inspektora policji? Czy ponura twarz Foxa i jego ciemne, czujne oczy nie kryły w sobie czego niezwykłego? Nie był zwyczajnym policjantem. Wyczułem, e jest z Wydziału Specjalnego.

Na ogół nie warto zanadto mija si z prawd . Przekonałem si o tym ju dawno.

- Powiedziała, że jest z Bostonu - wyjechałem - i pracuje na londyńskim uniwersytecie, zbierając materiały do książki.

- Na jaki temat, sir?

To pytanie potwierdziło natychmiast moje podejrzenia.

- Chodziło o drugą wojnę światową, inspektorze. Tak się składa, że i ja o tym pisałem.

- Rozumiem. Szukała pomocy, rady czy czegoś w tym rodzaju? Wtedy właśnie nie skłamałem.

- Bynajmniej. Wcale nie potrzebowała pomocy. O ile mi wiadomo, miała tytuł doktorski. Rzecz w tym, inspektorze, że napisałem kiedyś do poczytanej książki, której akcja rozgrywa się podczas wojny. Chciała po prostu mnie poznać. Jeśli dobrze zrozumiałem, zamierzała wracać jutro do Stanów.

Rzeczy, które miała w torebce i w aktówce, leżały obok niego na stole. Bilet PanAmu szczególnie rzucał się w oczy. Wziął go do ręki.

- Na to wygląda.

- Czy mógłby odejść?

- Oczywiście. Posterunkowy odwiezie pana do domu. Wyszliśmy do foyer, przystając w drzwiach. Zakasłał i zapalił następnego papierosa.

- Przeklęty deszcz. Ten samochód musiał wpaść w poślizg. Zwykły wypadek, ale kierowca nie powinien był uciekać. Na to nie możemy pozwolić, prawda?

- Dobranoc, inspektorze - pojechałem się i zszedłem po schodach do policyjnego radiowozu.

Opuszczając mieszkanie nie zgasiłem światła w holu. Po powrocie wszedłem w płaszczu do kuchni, nastawiłem czajnik, a potem udałem się do salonu. Nalawszy sobie porcję Bushmills, odwróciłem się do kominka. I wtedy zobaczyłem, że na stoliku do kawy nie ma teczki. Przez ułamek sekundy myślałem, że się mylił, że położyłem ją gdzieś indziej, ale było to oczywiście bzdur.

Odstawiłem szklankę whisky i zapaliłem papierosa, pograjać się w myślach. Tajemniczy pan Fox. Byłem teraz bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że jest z Wydziału Specjalnego. I ta nieszczerą młodą kobietą, która leżała w kostnicy. Przypomniałem sobie swoje zaniepokojenie, kiedy powiedziała mi, w jaki sposób zwróciła akta do Biura Archiwów. Widziałem w myślach, jak idzie po chodniku, a potem przechodzi w deszczu przez ulicę na tyłach Muzeum Brytyjskiego. I ten samochód. Noc w deszczu i wpadający w poślizg samochód. Tak powiedział Fox. Może zdarzył się wypadek, wiedziałem jednak, że to mało

prawdopodobne, skoro zniknęły akta. Pojawiał się w tym momencie problem mojego własnego bezpieczeństwa.

Należało zniknąć na jakiś czas, ale dokąd miałem jechać? I wtedy przypomniałem sobie jej słowa. Był jeszcze ktoś, kto mógł potwierdzić prawdziwość opisaną w aktach historii. Spakowałem torbę i podszedłem do okna, by wyjrzeć na ulicę przez szpar między zasłonami. Wszędzie stały zaparkowane samochody, nie sposób więc było sprawdzić, czy ktoś mnie ledzi.

Wyszedłem kuchennymi drzwiami z tyłu domu i przemknąwszy ostro nie alej zapanował ciemny labirynt spokojnych, bocznych uliczek, cały czas rozmył się. Musiało chodzić, rzecz jasna, o słuch bezpieczeństwa. Jakaś anonimowa, niewielka sekcja w „D 15”, zajmująca się ludźmi, którzy stali się niewygodni. Ale czy to koniecznie oznaczało, że się do mnie dobrać? W końcu dziewczyna nie była, teczka z aktami wróciła do Biura Archiwów, a jedyną kopię udało się odzyskać. Czy mogłbym cokolwiek udowodnić albo chociaż przekonać kogoś o prawdziwości moich słów? Z drugiej strony, dla własnej satysfakcji musiałem znaleźć dowody. Na następnym rogu zatrzymałem taksówkę.

W gospodzie „Pod Zielonym Kmieciem” w Kilburn, popularnej wśród Irlandczyków dzielnicy Londynu, wisiał nad drzwiami imponujący obraz irlandzkiego druciarza, co wskazywało, jakiego rodzaju klientela odwiedzała ten lokal. Przy barze było tłoczno. Zauważyłem to przez okno salonu, podszedłem więc od tyłu, od podwórka. Zasłony były zaciągnięte, a Sean Riley siedział przy zatłoczonym kontuarze i sporządzał rachunki. Ten drobny człowiek o krótko przystrzyżonych, siwych włosach wykazywał jak na swój wiek ogromną wywołanie - wiedziałem, że ma siedemdziesiąt dwa lata. Był właśnie ciciem gospody „Pod Zielonym Kmieciem”, ale równie - co istotniejsze - organizatorem Sinn Féin, politycznego skrzydła IRA w Londynie. Kiedy zapukałem do okna, wstał i wyjrzał przez szybę. Potem odwrócił się i odszedł, a po chwili otworzyły się drzwi.

- Pan Higgins. Co pana tu sprowadza?

- Nie będę wchodził, Sean. Jestem w drodze na Heathrow.

- Ach tak. Czy by słoneczny urlop?

- Niezupełnie. Lecę do Belfastu. Nie zdążę pewnie na ostatni samolot, ale mam pół godziny rano. Chcę przekazać wiadomość dla Liama Devlina. Powiedz mu, że będę w hotelu „Europa” i muszę się z nim zobaczyć.

- Bo e, panie Higgins, a skąd niby miałbym znać takiego desperata?

Przez drzwi słyszałem muzykę z baru. Piewano Strzelców z IRA.

- Nie dyskutuj, Sean, po prostu zrób, co trzeba - powiedziałem. - To waśnie.

Wiedziałem, oczywiście, że mnie posłucha. Odwróciłem się i odszedłem, nie mówiąc nic więcej. W kilka minut później zatrzymałem taksówkę i pojechałem na Heathrow.

Hotel „Europa” w Belfastzie znany był dziennikarzom z całego świata. Przetrwiał liczne ataki bombowe ze strony IRA i stał nadal przy Great Victoria Street, obok stacji kolejowej. Spędziłem niemal cały dzień w swoim pokoju na ósmym piętrze, ci głębiej czekając. Wyglądało na to, że wokół panuje spokój, w powietrzu czuło się jednak napięcie. Późnym popołudniem rozległa się eksplozja bomby i kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem w oddali chmurę czarnego dymu.

Tuż po szóstej, z zapadnięciem zmroku, postanowiłem zejść do baru, żeby się czego napić. Zakładałem właśnie marynarkę, gdy zadzwonił telefon.

- Pan Higgins? - zapytał jakiś głos. - Mówi z recepcji, sir. Czeka na pana taksówka.

Był to czarny samochód, jeden z tych, jakie jeżdżą po Londynie, a za kierownicą siedziała kobieta w średnim wieku, dama o miłej powierzchowności, uosobienie ukochanej ciocieczki. Uchyliłem dzielnicę i przywitałem ją typowym pozdrowieniem mieszkańcówestu Belfastu:

- Wzajemnie dobrego wieczoru.

- I ja panu tak samo.

- Niech sto widuje się kobiet za kierownicą taksówki, przynajmniej w Londynie.

- To koszmarnie miejsce. Nie ma się czemu dziwić. A teraz proszę siedzieć cicho, jak prawdziwy dżentelmen, i rozkoszować się podróżą.

Zamknęła okienko jedyną. Cała jazda potrwała najwyżej dziesięć minut. Przejechaliśmy wzdłuż Falls Road, przez katolickie dzielnice, które pamiętałem dobrze z dzieciństwa, skręciliśmy potem w głąb ubogich bocznych uliczek, by w końcu zatrzymać się przed kościołem. Szybka ponownie się otworzyła.

- Pierwszy konfesjonał po prawej, zaraz przy wejściu.

- Jak pani każe.

Kiedy wysiadłem, taksówka natychmiast odjechała. Na tablicy, która była w zaskakująco dobrym stanie, umieszczono napis „Kościół Najświętszego Imienia Jezusa”, a połączony tekst informował o godzinach mszy i spowiedzi. Otworzyłem drzwi u szczytu schodów i wszedłem do środka. Kościół był nieduży i słabo oświetlony, przy ołtarzu migotały świece, a z boku znajdowała się kaplica z figurą Marii. Odruchowo zanurzyłem koniuszki palców w wiśconej wodzie i przeagnałem się, przypominając sobie ciotkę katoliczkę z południa Armagh, która w dzieciństwie wychowywała mnie przez jakiś czas, ubolewając nad moją czarną protestancką duszyczką.

Konfesjonały ustawiono z jednej strony. Nikt nie czekał przy nich na spowiedź, czemu trudno się było dziwić, gdy s dz c z napisu na tablicy przy wejściu zjawiłem się o godzinę za wcześnie. Wszedłem do pierwszego po prawej stronie i zamknąłem drzwiczki. Przez chwilę siedziałem w ciemności, a potem przesunęła się kratka.

- Słucham - odezwał się cichy głos.

- Pobołogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłem - powiedziałem bez namysłu.

- Z pewnościami, mój synu. - Obok zapaliło się światło i zobaczyłem, jak uśmiecha się do mnie Liam Devlin.

Wygląd dał zaskakująco dobrze. Właściwie nawet lepiej niż wtedy, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. Miał sześćdziesiąt siedem lat, ale - zgodnie z tym, co powiedziałem Ruth Cohen - świetnie się trzymał. Był drobnym, niesłychanie wywrotnym człowiekiem o niezmiennie czarnych włosach i bystrych, niebieskich oczach. Z lewej strony czoła miał starą bliznę po ranie od kuli, a z ust nie znikał mu lekko ironiczny uśmiech. Nosił sutannę oraz koloratkę i wyglądało na to, że czuje się jak u siebie w zakręconym na tyłach kościele, do którego mnie zaprowadził.

- Dobrze wyglądasz, synu. Zdobycie sukcesu i pieniędzy. - Uśmiechnął się szeroko. - Trzeba to oblać. Na pewno jest tu jakaś buteleczka.

Otworzył kredens i znalazł butelkę Bushmills oraz dwie szklanki.

- Co by na to powiedział prawowity wuj ciciel? - zapytałem.

- Ojciec Murphy? - Nalał whisky do szklanek. - On ma złote serce. Poszedł, jak zwykle, czyni dobro.

- A więc udaje, że niczego nie zauważa?

- Co w tym rodzaju. - Podniósł szklankę. - Twoje zdrowie, synu.

- I pańskie, Liam. - Odwzajemniłem toast. - Nie przestaje mnie pan zadziwiać. Od pięciu lat jest pan na liście ludzi poszukiwanych przez brytyjską armię, a ma pan odwagę siedzieć tutaj, w samym rodoku Belfastu.

- No cóż, człowiek musi mieć jakiegoś rozrywkę. - Wyjął papierosa ze srebrnej papierownicy, a potem poczęstował tak i mnie. - Czemu właściwie zawdzięczam tę wizytę?

- Czy mówi ci panu nazwisko Dougal Munro? Otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Na co pan tym razem wpadł, do diabła? Od lat nie słyszałem o tym skurczybyku.

- A Schellenberg?

- Walter Schellenberg? To był ktoś. Mając trzydzieści lat został generałem. Schellenberg, Munro - o co tu chodzi?

- A Kurt Steiner? - ci gn łem dalej. - Wszyscy, z panem wł cznie, twierdzili, e zgin łem na tarasie Meltham House, próbuj c zastrzeli ć człowieka, który udawał Churchilla.

Devlin poci gn łem łyk whisky i u miechn łem si rozbrajaj c go.

- Zawsze byłem potwornym kłamac . Prosz mi powiedzie ć, co pan wie.

Opowiedziałem mu wówczas wszystko o Ruth Cohen, o teczce i jej zawarto ci, a on słuchał uwa nie, nie przerywaj c mi.

Kiedy sko czyłem, stwierdził:

- Dobrze, e ta dziewczyna nie yje. Co do tego ma pan racj .

- Wcale nie jestem zachwycony.

Niedaleko rozległa si jaka eksplozja, a kiedy Devlin poszedł otworzy ć drzwi na dziedziniec, usłyszałem terkot r cznej broni.

- Zanosi si na gor c noc - stwierdziłem.

- Och, z pewno ci . Bezpieczniej nie wychodzi ć teraz na ulic . Zamkn łem drzwi i odwróciłem si do mnie.

- Czy opisane w raporcie fakty s zgodne z prawd ? - zapytałem.

- To ciekawa historia.

- Ale tylko w zarysie.

- To znaczy, e chciałby pan usłysze ć reszt ?

- Koniecznie.

- Dlaczego nie. - U miechn łem si , usiadłem przy stole w k cie i si gn łem po butelk Bushmills. - Przynajmniej przez par chwil nie b d rozrabiać. No dobrze, wi c od czego mam zaczą ć ?

BERLIN LIZBONA LONDYN 1943

Mieszkanie generała brygady Dougala Munro przy Haston Place znajdowało si zaledwie o dziesi minut drogi od londyńskiej centrali ZOS na Baker Street. Jako szef Sekcji „D” musiał by ć pod telefonem przez całe dob i oprócz normalnego aparatu miał niezale ne, bezpo rednie połączenie z biurem. Na ten wła nie numer zadzwoniono do niego owej listopadowej nocy, gdy siedział przy kominku, przegl daj c jakie akta.

- Mówi Carter, panie generale. Wróciłem wła nie z Norfolk.

- Dobrze - odparł Munro. - Wpadnij do mnie po drodze do domu i wszystko mi opowiedz.

Odłózył słuchawkę i poszedł nalać sobie prawdziwej whisky. Był krępym, dobrze zbudowanym mężczyzną o siwych włosach i okularach w stalowej oprawie. Nie miał nic wspólnego z zawodową armią, a ranga generała brygady służyła jedynie umocnieniu jego autorytetu w pewnych kręgach. Skończył już sześćdziesiąt pięć lat, a wiec wiek, w którym nawet w Oksfordzie większość ludzi szykowałą się do emerytury, i mówił otwarcie wojna stała się dla niego wybawieniem. Myślał o tym właśnie, gdy odezwał się dzwonek u drzwi i pojawił się kapitan Jack Carter.

- Przemarzłe, Jack. Napij się czegoś.

Jack Carter oparł się o krzesło i zrzucił z ramion płaszcz. Był w mundurze kapitana Green Howards, z baretką Krzyża Wojennego na piersi. Sztucznej nogi dorobił się pod Dunkierką. Wyraźnie kulejąc, podszedł do szafki z alkoholami i nalał sobie whisky.

- A wiec jak wygląda sytuacja w Studley Constable? - zapytał Munro.

- Wszystko wróciło do normy, sir. Niemieckich spadochroniarzy pochowano we wspólnym grobie na cmentarzu koło kościoła.

- Oczywiście anonimowo?

- Na razie tak, ale tamtejsi mieszkańcy są jacyś dziwni. Zdaje się, że Steiner zaskarbił sobie ich szacunek.

- No cóż, nie należy zapominać, że jeden z jego ludzi zginął, ratując życie dwójce dzieci, które wpadły do młynówki. Prawdopodobnie z tego powodu zostali rozpoznani i cała operacja zakończyła się niepowodzeniem.

- Poza tym uwolnił wszystkich mieszkańców, zanim zaczęła się ostateczna potyczka - przypomniał Carter.

- Właśnie. Masz jego akta?

Carter sięgnął po teczkę i wyjął dwie spięte kartki papieru. Munro zaczął je przeglądać.

- Oberstleutnant Kurt Steiner, lat dwadzieścia siedem. Zdumiewający cyfry. Kreta, północna Afryka, Stalingrad. Krzyż Rycerski z Liemi Dibu.

- Intryguje mnie cięgle jego matka, sir. Należała do bostońskiej elity. Do kręgu ludzi, których nazywają „braminami z Bostonu”.

- W porządku, Jack, ale nie zapominaj, że jego ojciec był niemieckim generałem, i to cholernie dobrym. No a co ze Steinerem? Jak się czuje?

- Niew tliwie wróci do zdrowia. Tu za Norwich jest szpital RAF-u dla poparzonych lotników. Niezbyt du y. Kiedy była to prywatna lecznica. Trzymamy tam Steinera pod siln stra . Oficjalnie jest zestrzelonym pilotem Luftwaffe. Na szcz cie niemieccy spadochroniarze i lotnicy Luftwaffe nosz podobne mundury.

- A co z jego ranami?

- Miał piekielne szcz cie, sir. Jedna kula trafiła go od tyłu w prawe rami . Drug dostałby w serce, ale odbiła si od mostka. Chirurg nie przypuszcza, by rekonwalescencja potrwała długo, zwłaszcza e jest w doskonałej kondycji.

Munro poszedł dola sobie troch whisky.

- Prze led my jeszcze raz to, co wiemy, Jack. Cała ta sprawa, pomysł porwania Churchilla, plan akcji - wszystko działo si bez wiedzy admirała Canarisa?

- Tak by wygl dało, sir. To robota Himmlera. Naciskał na Maxa Radia z centrali Abwehry, eby ten zorganizował wszystko za plecami admirała. Tak przynajmniej twierdz nasi informatorzy z Berlina.

- Ale teraz ju o wszystkim wie? - upewnił si Munro. - Mam na my li admirała.

- Chyba tak, sir. Najwyra niej nie jest t spraw zachwycony, ale i niewiele mo e zrobi . Nie pobiegnie z tym przecie do Führera.

- Himmler równie - stwierdził Munro. - Cały plan realizowano w ko cu bez wiedzy Wodza.

- Himmler dał jednak Radiowi list polecaj cy, podpisany przez samego Hitlera - przypomniał Carter.

- Rzekomo podpisany przez Hitlera, Jack. Zało si , e wrzucił go w ogie najszybciej, jak mógł. Nie, Himmlerowi nie b dzie zale ało na rozgłaszaniu tej sprawy.

- A my nie chcemy, eby trafiła na pierwsz stron Daily Express, sir. Niemieccy spadochroniarze, próbuj cy schwyta brytyjskiego premiera, staczaj w angielskiej wiosce bitw z ameryka skimi komandosami.

- Tak, to nie pomogłoby nam za bardzo w prowadzeniu wojny. - Munro zajrzał ponownie do akt. - Ten facet z IRA, Devlin, to ciekawa posta . Miałe podobno informacje, e był ranny?

- Tak jest, sir. Le ał w szpitalu w Holandii i której nocy po prostu stamt d znikn ł. O ile nam wiadomo, jest teraz w Lizbonie.

- Zapewne ma nadziej dosta si jako do Stanów. Czy kto go pilnuje? Kto jest agentem ZOS w Lizbonie?



- Major Arthur Frear, sir. Attache wojskowy ambasady. Został ju powiadomiony -  
wyja ni Carter.

- To dobrze. - Munro skin ł głow .

- Wi c co robimy ze Steinerem, sir?

Munro zmarszczył brwi, zastanawiaj c si nad tym.

- Kiedy tylko b dzie miał do si, sprowad cie go do Londynu. Czy nadal trzymamy  
niemieckich je ców wojennych w Tower?

- Bardzo rzadko, sir. Niektórzy trafiaj tam na krótko do niewielkiego szpitala. Tylko  
w pierwszych dniach wojny wi ziono w Tower wi kszo schwytyanych załów niemieckich  
łodzi podwodnych.

- I Hessa.

- To szczególny przypadek, sir.

- W porz dku. Umie cimy Steinera w Tower. Zostanie w tamtejszym w szpitalu,  
dopóki nie znajdziemy dla niego jakiego dobrze strze onego miejsca. Czy to wszystko?

- Jeszcze jedna sprawa, sir. Jak panu wiadomo, ojciec Steinera był zamieszany w  
wojskowy spisek na ycie Hitlera. Grozi za to ustawowa kara: powieszenie na strunie od  
fortepianu. Na rozkaz Führera filmuje si wykonanie wyroku.

- Odra aj ce - stwierdził Munro.

- Rzecz w tym, sir, e otrzymali my kopi filmu z egzekucji generała Steinera.  
Przemycił j przez Szwecj jeden z naszych berli skich agentów. Nie wiem, czy b dzie pan  
chciał to ogl da . Nic przyjemnego.

Munro wstał i zacz ł nerwowo przechadza si po pokoju. Nagle przystan ł, lekko si  
u miechaj c.

- Powiedz mi, Jack, czy w ambasadzie Hiszpanii jest jeszcze ten n dznik Vargas?

- Jose Vargas, sir. Radca handlowy. Ostatnio nie korzystali my z jego usług.

- Ale niemiecki wywiad jest przekonany, e pracuje dla nich?

- Vargas pracuje wył cznie dla tego, kto ma wi ksze konto w banku, sir. Ł cznikiem  
jest jego kuzyn w ambasadzie hiszpa skiej w Berlinie.

- Znakomicie. - Munro u miechał si . - Ka mu przekaza do Berlina wiadomo , e  
mamy Kurta Steinera. Niech wspomni o londy skim Tower. To brzmi bardzo patetycznie. A  
co najwa niejsze, ma dopilnowa , eby ta informacja dotarła i do Canarisa, i do Himmlera.  
Powinna ich obu poruszy .

- Do licha, co to za gra, sir? - zapytał Carter.

- Wojna, Jack, wojna. Teraz napij się jeszcze i wracaj do domu się przespa. Czeka ci jutro pracowity dzień.

W pobliżu Paderborn w Westfalii, w niewielkim miasteczku Wewelsburg stał zamek o tej samej nazwie, który Heinrich Himmler przejął w 1934 roku od lokalnych władz. Pierwotnie zamierzał przekształcić go w szkołę dla kadry SS, ale zanim architekci i budowniczowie skończyli prace, które pochłonęły wiele milionów marek, powstało gotyckie monstrum, godne planu zdjęciowego numer sześć w wytwórni MGM, z ogromnymi dekoracjami, jakie królowały w Hollywood, gdy trwała moda na historyczne filmy. Zamek miał trzy skrzydła, wieże i fosy, a w południowym skrzydle mieściły się apartamenty Reichsführera i stanowił przedmiot jego szczególnej dumy ogromna jadalnia, gdzie spotykali się wybrani funkcjonariusze SS, tworząc coś w rodzaju honorowego dworu. Wszystko to było wynikiem obsesyjnego i zaprawionego niemał do okultyzmu zainteresowania Himmlera królem Arturem i Rycerzami Okręgu Stołu.

Owego grudniowego wieczoru Walter Schellenberg zapalił papierosa na tylnym siedzeniu mercedesa, który wiozł go szybko w kierunku odległego jeszcze o dziesięć mil zamku. Po południu otrzymał w Berlinie rozkaz, że ma się spotkać z Reichsführerem. Nie podano żadnego konkretnego powodu. Zdecydowanie nie uznał tego za wyróżnienie.

Był już w Wewelsburgu kilkakrotnie, oglądał nawet plany zamku w kwaterze SD, dobrze więc go znał. Wiedział również, że z Reichsführerem siadywali przy stole jedynie tacy szalecy, jak sam Himmler, który wierzył we wszystkie średniowieczne bzdury na temat wyszości Anglosasów, albo oportunistów mających własne krzesła z wypisanymi na srebrnych tabliczkach nazwiskami. Fakt, że król Artur był władcą celtyckich Brytów i prowadził walkę z anglosaskimi najemcami, sprawiał, że wszystko zakrawało na jeszcze większe bzdury, ale aberracje Trzeciej Rzeszy dawno już przestały Schellenberga bawić.

Zgodnie z obowiązującym w Wewelsburgu etykietem miał na sobie czarny połowy mundur SS, z przypiętym do bluzy po lewej stronie Krzyżem elaznym I klasy.

- W jakim wiecie się jemy - powiedział cicho, gdy samochód zaczął wjeżdżać pod górę, pnieć się do zamku w różną padającą powoli niegu. - Czasem naprawdę się zastanawiam, kto rzucił tym domem wariatów.

Umiechnął się, siadając wygodniej. Wyglądał w tym momencie całkiem czarująco, chociaż blizna na policzku, efekt pojedynku, dowodziła bardziej brutalnej strony jego natury. Była to pozostałość z lat studenckich, spędzonych na uniwersytecie w Bonn. Mimo talentu do języków zaczął studiować medycynę, a potem przeniósł się na prawo. Ale w 1933 roku nawet wykształcona młodzież z dyplomami uniwersyteckimi nie miała w Niemczech łatwego życia.

SS werbowowało do swoich szeregów młodych, zdolnych naukowców. Schellenberg, jak wielu innych, zaciągnął się dla posady, a nie z powodu politycznych przekonań, zrobił jednak zdumiewającą karierę. Ponieważ miał talent do języków, sam Reinhard Heydrich zaangażował go do Sicherheitsdienst, służby bezpieczeństwa SS, znanej jako SD. Odpowiadał głównie za działalność wywiadowczą za granicą, często popadając w konflikt z Abwehr, choć jego osobiste stosunki z Canarisem były wzorowe. Dzięki całej serii błyskotliwych akcji służby specjalnych szybko awansował. W wieku trzydziestu lat był już Brigadeführerem SS i generałem-majorem policji.

Najbardziej zdumiewał fakt, że Walter Schellenberg nie uważał się za nazistę, a to, co działo się w Trzeciej Rzeszy, postrzegał jako słony farsz, której główni bohaterowie byli nader miernymi aktorami. Miał swój udział w ratowaniu Żydów, umożliwiający niedoszłym ofiarom obozów koncentracyjnych wyjazd do Szwecji i bezpieczne życie. Była to ryzykowna gra, ale uważał, że uspokaja w ten sposób swoje sumienie. Miał także wrogów i ocaliło go tylko jedno: Himmler potrzebował jego wiedzy i niepospolitych zdolności. To wystarczyło.

W fosie nie było wody, jedynie cienka warstwa błotnistego. Kiedy mercedes przejechał przez most w kierunku bramy, Schellenberg oparł się o siedzenie i powiedział cicho:

- Teraz już za późno, żeby zejść z tej karuzeli, Walterze. O wiele za późno.

Himmler przyjął go w prywatnym salonie w południowym skrzydle. Zaprowadził tam Schellenberga ubrany w połowy mundur sieranta SS. Obok drzwi siedział przy stoliku osobisty adiutant Himmlera, Sturmbannführer nazwiskiem Rossman. On także miał na sobie połowy mundur.

- Majorze - Schellenberg skinął głową na powitanie. Rossman odprawił sieranta.

- Miło pana widzieć, generale. On już na pana czeka. Nawiasem mówiąc, nie jest w najlepszym nastroju.

- Bądź o tym pamiętał.

Rossman otworzył drzwi i Schellenberg wszedł do dużego pomieszczenia o łukowatym sklepieniu i kamiennej posadzce. Na ścianach wisiały gobeliny, a wewnątrz wypełniały liczne meble z ciemnego dębu. Na wielkim kamiennym palenisku płonęły drwa. Reichsführer siedział przy dużym stole, borykając się ze stertą papierów. Nie był w mundurze, co rzadko mu się zdarzało. Miał na sobie tweedowy garnitur, biały koszulki i czarny krawat. Srebrne binokle nadawały mu wygląd mało sympatycznego dyrektora szkoły.

W odróżnieniu od Heydricha, który zwykł zwracać się do Schellenberga po imieniu, Himmler przybierał niezmiennie oficjalny ton.

- Generale Schellenberg - odezwał się, podnosząc wzrok. - Jest pan wreszcie.

Brzmiało to jak nagana, Schellenberg odparł wi c:

- Wyjechałem z Berlina natychmiast po otrzymaniu od pana informacji, Reichsfuhrer.

Czym mog łu y ?

- Chodzi o „Operacj Orzeł”, o spraw Churchilla. Nie był pan w ni zaangażowany z powodu innych obowizków. Ale teraz znane s ju panu zapewne szczegóły tej akcji.

- Oczywiście, Reichsfuhrer. Himmler nagle zmienił temat.

- Generale Schellenberg, martwi mnie coraz bardziej zdradzieckie knowania niektórych przedstawicieli wy szego dowództwa. Jak panu wiadomo, w zeszłym tygodniu przed wejciem do kwatery Führera w Rastenburgu wyleciał w powietrze samochód jakiego nikczemnego, młodego majora. Była to, oczywiście, kolejna próba zamachu na ycie Wodza.

- Niestety, wszystko na to wskazuje, Reichsfuhrer. Himmler wstał, kład c Schellenbergowi r k na ramieniu.

- Pana i mnie, generale, ł cz bratnie wi zi przynale no ci do SS. Przysięgali my chroni Führera, a zagra aj nam ci gle spiskuj cy generałowie.

- Nie ma na to bezpo rednich dowodów, Reichsfuhrer - zauwa ył Schellenberg, niezupełnie zgodnie z prawd .

- Generał von Stulpnagel, von Falkenhausen, Stieff, Wagner i inni, nawet pa ski dobry znajomy, admirał Wilhelm Canaris - stwierdził Himmler. - Czy by był pan zaskoczony, Schellenberg?

Schellenberg starał si zachowa spokój, zdaj c sobie spraw z realnej mo liwo ci, e jako nast pne zostanie wymienione jego nazwisko.

- Có mog ę odpowiedzie , Reichsfuhrer?

- A Rommel, generale, sam Lis Pustyni? Narodowy bohater.

- Mój Bo e! - powiedział Schellenberg z zapartym tchem, głównie dlatego, e taka reakcja wydawała si najbardziej stosowna.

- Dowody! - parskn ł Himmler. - Jeszcze je zdob d . Czeka ich wszystkich stryczek. Ale zmie my temat. - Wrócił do stołu i usiadł. - Miał pan kiedykolwiek do czynienia z agentem o nazwisku Vargas? - Spojrzał na le c przed nim kartk papieru. - Jose Vargas.

- Wiem o jego istnieniu. To ł cznik Abwehry. Radca handlowy ambasady hiszpa skiej w Londynie. O ile mi wiadomo, korzystano z jego usług tylko sporadycznie.

- Ma kuzyna, który równie jest radc handlowym ambasady Hiszpanii tutaj, w Berlinie. Niejaki Juan Rivera. - Himmler podniósł wzrok. - Czy to si zgadza?

- Tak s dz , Reichsfuhrer. Vargas wykorzystuje zapewne hiszpa sk poczt dyplomatyczn z Londynu. Wi kszo informacji mo e w ten sposób dotrze do jego kuzyna w Berlinie w ci gu trzydziestu sze ciu godzin. Jest to, oczywi cie, wysoce nielegalne.

- I dzi ki Bogu - stwierdził Himmler. - A wracaj c do tej „Operacji Orzeł”: wie pan dokładnie, o co chodziło?

- Wiem, Reichsfuhrer - odparł bez namysłu Schellenberg.

- Istnieje pewien problem, generale. Był to, co prawda, pomysł Führera, ale powstał, e si tak wyra , bardziej jako kaprys wyobra ni. Nie nale ało liczy , e Canaris podejmie si takiego zadania. Obawiam si , e ostateczne zwyci stwo Trzeciej Rzeszy nie jest dla niego spraw najwa niejsz . Wła nie dlatego zaj łem si realizacj tego planu osobi cie, korzystaj c z pomocy pułkownika Radia z Abwehry, który, jak słysz , miał atak serca i prawdopodobnie długo nie po yje.

- A wi c Führer nic nie wie o całej sprawie? - zapytał ostro nie Schellenberg.

- Drogi generale Schellenberg, na jego barkach spoczywa odpowiedzialno za losy wojny, na wszystkich jej odcinkach. Jest naszym obowi zkiem zdj mu z ramion chocia cz tego ci aru.

- Oczywi cie, Reichsfuhrer.

- „Operacja Orzeł”, cho błyskotliwa w zamy le, zako czyła si niepowodzeniem, a któ miałby ochot zanosi Führerowi takie wie ci? - Zanim Schellenberg zd ył odpowiedzie , Himmler kontynuował: - Dochodzimy w ten sposób do raportu, który otrzymałem wła nie z Londynu od Vargasa, za po rednictwem jego kuzyna w Berlinie, tego Rivery.

Wr czył Schellenbergowi karteczk z rozszyfrowan wiadomo ci . Ten rzucił na ni okiem i powiedział:

- Niewiarygodne! Kurt Steiner yje.

- I przebywa w londy skim Tower. - Himmler wzi ł karteczk z powrotem.

- Nie posiedzi tam długo - stwierdził Schellenberg. - Brzmi to mo e patetycznie, ale Tower nie nadaje si wła ciwie do przetrzymywania przez dłu szy czas wi niów, wymagaj cych szczególnego nadzoru. Przenios go w jakie dobrze strze one miejsce, tak samo jak Hessa.

- Ma pan jeszcze co do powiedzenia w tej sprawie?

- Tylko tyle, e Brytyjczycy b d si starali ukry fakt, i znajduje si w ich r kach.

- Dlaczego pan tak twierdzi?

- Poniewa niewiele brakowało, eby „Operacja Orzeł” si powiedła.

- Ale to nie był prawdziwy Churchill - przypomniał mu Himmler. - Dowiedział się tego nasz wywiad.

- Oczywiście, Reichsführer, a jednak niemieccy spadochroniarze wylądowali na terytorium Anglii i stoczyli krwawą walkę. Opublikowanie tej historii na obecnym etapie wojny wywarłoby na Brytyjczykach wstrząsające wrażenie. Dowodzi tego choćby fakt, że sprawy zajmuje się osobiście generał brygady Munro i ZOS.

- Zna pan tego człowieka?

- Tylko ze słyszenia, Reichsführer. To bardzo zdolny oficer wywiadu.

- Moi agenci donoszą, że Rivera przekazał tę wiadomość także Canarisowi - powiedział Himmler. - Jak pańskim zdaniem zareaguje?

- Nie mam pojęcia, Reichsführer.

- Zobaczysz się z nim po powrocie do Berlina. Proszę się zorientować. Moim zdaniem nie podejmie żadnych działań. Z pewnościami nie poleci z tym do Führera. - Himmler przyjrzał się jeszcze jednej z leżących przed nim kartek. - Nigdy nie rozumiem takich ludzi jak Steiner. Bohater wojenny, odznaczony Krzyżem Rycerskim z Liściami Dębu, znakomity żołnierz, a jednak zrujnował sobie karierę, stracił wszystko z powodu jakiejś żydowskiej siksy, którą próbował uratować w Warszawie. Tylko dzięki „Operacji Orzeł” opuścił razem ze swoimi ludźmi karną kompanię, w której służyli. - Odłożył papier. - Irlandczyk to oczywiście osobna sprawa.

- Devlin, Reichsführer?

- Tak, jest nie do zniesienia. Wie pan, jacy są Irlandczycy, Schellenberg. Kpi z wszystkiego.

- Musz przyznać, że sędzi z raportów zna się na swojej robocie.

- Owszem, ale robił to wyłącznie dla pieniędzy. Kto okazał się wyjątkowo niefrasobliwy, pozwalając mu wyjść z tego szpitala w Holandii.

- Zgadzam się, Reichsführer.

- Z moich raportów wynika, że jest teraz w Lizbonie - powiedział Himmler, podając Schellenbergowi przez stół następną kartkę. - Tutaj znajdzie pan wszystkie szczegóły. Chce się dostać do Ameryki, ale nie ma pieniędzy. Według tych informacji pracuje ostatnio jako barman.

Schellenberg przejrzał pobieżnie raport, a potem zapytał:

- Czego oczekuje pan ode mnie w tej sprawie, Reichsführer?

- Dziś wieczorem pojedzie pan z powrotem do Berlina, a jutro poleci do Lizbony. Proszę przekonać tego łotra Devlina, żeby z panem wrócił. Nie sędzi, żeby miało się to

okaza szczególnie trudne. Radl dał mu dwadzieścia tysięcy funtów za udział w „Operacji Orzeł”. Wpłacono tę sumę na numer konta w Genewie. - Himmler uśmiechnął się z przekąsem. - Dla pieniędzy zrobi wszystko. Taki już jest. Niech mu pan zaproponuje tyle samo - albo więcej, jeżeli zajdzie potrzeba. Zgadzam się na wypłaty do wysokości trzydziestu tysięcy funtów.

- Ale za co, Reichsführer?

- Jak to? Za zorganizowanie ucieczki Steinera. Szczerze mówiąc, to oczywiste. Ten człowiek jest bohaterem Rzeszy, prawdziwym bohaterem. Nie możemy go pozostawić w rękach Brytyjczyków.

Pamiętaj, jaki koniec spotkał generała Steinera w lochach Gestapo przy Prinz Albrechtstrasse, Schellenberg uważa za prawdopodobne, że Himmler może mieć inne powody.

- Rozumiem, co pan ma na myśli, Reichsführer - powiedział spokojnie.

- Wie pan, jak bardzo panu ufam, generale - stwierdził Himmler. - I nigdy mnie pan nie zawiódł. Przekazuj całą sprawę w pańskie odpowiedzialności. - Podał mu przez stół kopertę. - W środku znajdzie pan list polecający, który powinien pomóc w usunięciu wszelkich przeszkód.

Schellenberg nie zajął do koperty, tylko powiedział:

- Mówił pan, Reichsführer, o moim jutrzejszym locie do Lizbony. Pozwól sobie przypomnieć, że jest właśnie Wigilia.

- A co, u licha, jedno z drugim ma wspólnego? - Himmler wydawał się szczerze zaskoczony. - Po piechu jest w tym przypadku podstawowa sprawa, Schellenberg, i zaraz powiem panu dlaczego, przypominając o przysiędze członka SS. Mniej więcej za cztery tygodnie Führer przyleci do Cherbourga w Normandii. Dwudziestego pierwszego stycznia. Będzie mu towarzyszył. Pojedziemy stamtąd wzdłuż wybrzeża do miejsca zwanego Chateau de Belle-Ile. Francuzi wymyślają takie dziwne nazwy.

- Czy mógłby spytać o cel tej wizyty?

- Führer pragnie spotkać się osobiście z feldmarszałkiem Rommlem, aby potwierdzić jego nominację na dowódcę Grupy Armii B. Obarczy go w ten sposób bezpośrednio odpowiedzialnością za obronę Muru Atlantyckiego. Spotkanie będzie dotyczyło opracowania niezbędnej strategii na wypadek, gdyby nasi wrogowie zdecydowali się w przyszłym roku na inwazję. Führer obdarzył mnie zaszczytną misją zorganizowania konferencji i, rzecz jasna, odpowiedzialnością za swoje bezpieczeństwo. Będzie to wyłącznie sprawa SS. Jak już

powiedziałem, zjawi się tam Rommel, zapewne także Canaris. Führer założył sobie wyrażenie jego obecności.

Zaczai starannie układa papiery, lokując niektóre z nich w teczkę.

- Nie rozumiem jednak, po co taki pośpiech w sprawie Steinera, Reichsführer - zauważył Schellenberg.

- Zamierzam podczas tego spotkania przedstawić go Führerowi, generale. Powiedzie o wielkim wyczynie SS, o jego ucieczce i o tym, jak bliski był sukcesu. Oczywiście jego obecność nie będzie na rękę Canarisowi, ale tym lepiej. - Zamknął aktówkę, mrużąc oczy. - Wiem, że nie musi pan wiedzieć.

Schellenberg, który czuł, że z najwyższym trudem panuje nad sobą, zapytał jeszcze:

- A jeżeli Devlin nie da się przekonać, Reichsführer?

- Wtedy będzie pan musiał podjąć stosowne kroki. Wybrałem w tym celu oficera Gestapo, którego wezmie pan ze sobą do Lizbony jako osobistego ochroniarza. - Przycisnął dzwonek na biurku, wzywając Rossmana. - Rossman, niech wejdzie Sturmbannführer Berger.

Schellenberg czekał, nie mogąc już wytrzymać bez papierosa, zdawał sobie jednak sprawę, jak bardzo Himmler nie znosi dymu. Po chwili otworzyły się drzwi i wszedł Rossman w towarzystwie człowieka, który wyglądał do zaskakująco. Był młody, liczył sobie zaledwie dwadzieścia pięć czy dwadzieścia sześć lat, a jego blond włosy miały niemal białą barwę. Kiedy musiał być przystojny, ale oparzenie zeszpeciło mu połowę twarzy. Schellenberg zauważył naciętną powierzchnię przeszczepionej skóry.

- Generale Schellenberg, nazywam się Horst Berger - powiedział tamten, wyciągając rękę. - To przyjemno współpracować z panem.

Uśmiechnął się, wyglądając z zeszpeconą twarzą jak sam diabeł. Schellenberg odparł „witam, majorze”, po czym zwrócił się do Himmlera ze słowami:

- Czy mogę już jechać, Reichsführer?

- Oczywiście. Berger dołączył do pana na dziedzińcu. Proszę przysłać tu Rossmana. - Gdy Schellenberg otworzył drzwi, Himmler dodał: - I jeszcze jedno. Canaris nie powinien o niczym wiedzieć. Ani o Devlinie, ani o naszych planach wobec Steinera. Nie trzeba tego na razie wspominać o Chateau de Belle-Ile. Rozumie pan, że to ważne?

- Oczywiście, Reichsführer.

Schellenberg kazał Rossmanowi wejść, a następnie ruszył wzdłuż korytarza. Na kolejnym piętrze znalazł toaletę. Wlizgnął się tam, zapalił papierosa, wyjął z kieszeni otrzymaną od Himmlera kopertę i otworzył ją.



OD PRZYWÓDCY I KANCLERZA PA STWA Generał Schellenberg wypełnia moje bezpo rednie i osobiste rozkazy w sprawie najwy szej wagi dla Rzeszy. Odpowiada tylko przede mn . Wszyscy cywile i wojskowi, bez wzgl du na stopie , maj udzieli mu pomocy w takiej formie, jak uzna za stosown .

Adolf Hitler Schellenberg wzdygn ł si i wło ył kartk z powrotem do koperty. Podpis wygl dał z pewno ci na autentyczny. Widywał go dostatecznie cz sto. Ale te Himmler mógł z łatwo ci zdoby podpis Führera, podsuwaj c mu po prostu jaki dokument w ród wielu innych. Dostawał zatem od Himmlera takie same uprawnienia, jakie otrzymał Max Radl podczas „Operacji Orzeł”. Ale dlaczego? Dlaczego zale ało mu tak bardzo na wydostaniu Steinera, i to w ci le okre lonym czasie?

Cała sprawa musiała by bardziej zło ona, ni twierdził Himmler. Nie miał co do tego w tpliwo ci. Zapalił nast pnego papierosa i wyszedł, gubi c drog na ko cu korytarza. Zawahał si , nie wiedz c, co robi , lecz w tym momencie zdał sobie spraw , e sklezione przej cie u wylotu prowadzi na balkon nad wielk sal . Miał ju zawróci i pój w przeciwnym kierunku, kiedy usłyszał jakie głosy. Zaintrygowany ruszył naprzód, wszedł na balkon i ostro nie spojrział w dół. Przy wielkim stole stał Himmler, maj c obok Rossmana i Bergera. Reichsfuhrer wła nie co do nich mówił.

- S tacy, Berger, których bardziej obchodz ludzie ni idee. Zbyt łatwo ulegaj sentymentom. Nie przypuszczam, eby pan si do nich zaliczał.

- Nie, Reichsfuhrer - odparł Berger.

- Niestety, generał Schellenberg jest takim człowiekiem. Dlatego wła nie wysyłam pana z nim do Lizbony. Devlin ma tu przyjecha , czy mu si to podoba, czy nie. Chc , eby pan tego dopilnował.

- Czy by w tpił pan w lojalno generała Schellenberga, Reichsfuhrer? - zapytał Rossman.

- Oddał wielkie usługi Rzeszy - odparł Himmler. - To zapewne najzdolniejszy z moich oficerów, zawsze jednak miałem w tpliwo ci, czy jest lojalny wobec Partii. Ale to aden problem, Rossman. Jest mi zbyt potrzebny, ebym miał si go teraz pozbywa . Musimy skoncentrowa wysiłki na przygotowaniach do Belletle, a Schellenberg niech zajmie si spraw Steinera. - Zwrócił si do Bergera. - Niech pan ju jedzie.

- Tak jest, Reichsfuhrer. - Berger strzelił obcasami i zacz ł si oddala . Kiedy przeszedł przez połow sali, Himmler zawołał: - Niech pan poka e, co potrafi, Sturmbannfuhrer!

Berger sięgnął do kabury, odwrócił się z niewiarygodną szybkością i wyprostował rękę. Na cianie po drugiej stronie był fresk z wizerunkami księcia, namalowany na tynku w średniowiecznym stylu. Berger wystrzelił trzy razy z rzędu i trzy głowy rozsypały się w proch. Kiedy wkładał broń z powrotem do kabury, w sali rozbrzmiewały jeszcze echa wystrzałów.

- Znakomicie - pochwalił Himmler.

Schellenberg dłużej nie zwlekał. Sam też nie le strzelał, może równie dobrze jak Berger, ale nie o to chodziło. Odebrał po drodze płaszcz i czapkę, a kiedy w pięć minut później zjawił się Berger, zastał go na tylnym siedzeniu mercedesa.

- Przepraszam, jeżeli kazałem panu czekać, generale - powiedział, wsiadając do wozu.

- Nic nie szkodzi - odparł Schellenberg i skinął na kierowcę, który ruszył z miejsca. - Może pan zapali, jeżeli ma pan ochotę.

- Jestem wolny od nałogów - odparł Berger.

- Doprawdy? A to ciekawe. - Schellenberg podniósł kołnierz płaszcza i wtulił się w kurtkę, zasłaniając oczy daszkiem czapki. - Do Berlina jeszcze daleko. Nie wiem, jak pan, ale ja spróbuję się zdrzemnąć.

Tak też zrobił. Berger przyglądał mu się przez chwilę, po czym również podniósł kołnierz płaszcza i odwrócił się bokiem.

Schellenberg miał w rogu gabinetu przy Prinz Albrechtstrasse połowę łóżka, gdzie często nocował w biurze. Golił się w łazience znajdującej się obok niewielkiej łazienki, gdy weszła Ilse Huber, jego sekretarka. Liczyła sobie wówczas czterdzieści jeden lat. Jej męża zginął na wojnie. Była zmysłowa, atrakcyjną kobietą. Miała na sobie biały bluzkę i czarną spódnicę. Pracowała kiedyś jako sekretarka Heydricha, a potem przeszła do Schellenberga, któremu była bardzo oddana.

- Już przyszedł - powiedziała.

- Rivera? - Schellenberg otarł twarz z mydła. - A Canaris?

- Pan admirał o dziesiątej będzie dziś konno w Tiergarten, tak jak zwykle. Czy zechce mu pan towarzyszyć?

Schellenberg często to robił, kiedy jednak podszedł do okna i zobaczył pokryte śniegiem puchem ulice, rozejrzeć nie miał siły.

- Dziękuję, nie dzisiaj. Ale muszę się z nim spotkać.

Ilse Huber tak bardzo troszczyła się o Schellenberga, że wyczuwała instynktownie jego nastroje. Podeszła i naleła kawy z dzbanka, który stał na tacy na jego biurku.

- Jakie kłopoty, panie generale?

- W pewnym sensie, moja droga. - Wypił trochę kawy i obdarzył ją tym swoim bezlitosnym, niebezpiecznym uśmiechem, który sprawiał, że serce waliło jej w gardło. - Ale proszę się nie martwić. Potrafi sobie z tym poradzić. Przed wyjazdem zapoznam panią ze szczegółami sprawy. Będzie mi potrzebna pani pomoc. A propos, gdzie jest Berger?

- Ostatnio widziałam go na dole, w kantine.

- W porządku. A teraz niech pani poprosi Rivera. Przystanął przy drzwiach, odwracając się.

- Ten człowiek mnie przeraża. Mam nadzieję, że Bergera. Schellenberg podszedł do niej i objął ją ramieniem.

- Prosiłem, żeby się pani nie martwiła. Czy zdarzyło się, żeby wielki Schellenberg nie dał sobie rady?

Jego autoironia jak zwykle ją rozbroiła. Ucisnęła jej ramię i zaraz potem wyszła z gabinetu uśmiechnięta. Schellenberg zapiął mundur i usiadł. Po chwili otworzyły się drzwi i wszedł Rivera.

Miał na sobie ciemnobrązowy garnitur, a płaszcz trzymał przewieszony przez ramię. Był niewysokim człowiekiem o ziemistej cerze i czarnych włosach, uczesanych ze starannym przedziałkiem. W tym momencie wydawał się wyraźnie zaniepokojony.

- Wie pan, kim jestem? - zapytał Schellenberg.

- Oczywiście, generale. Czuję się zaszczycony. Schellenberg wziął do ręki jak kartkę. Był to w istocie papier firmowy hotelu w Wiedniu, w którym zatrzymał się tydzień wcześniej.

- Chodzi o wiadomość na temat miejsca pobytu niejakiego pułkownika Steinera, którą otrzymał pan od swego kuzyna, Vargasa, z ambasady w Londynie. Czy z kim pan o tym rozmawiał?

Rivera wydawał się autentycznie wstrząsniony.

- Absolutnie z nikim, panie generale. Przysięgam przed Bogiem. - Rozłożył ręce w dramatycznym geście. - Klęsknę na życie mojej matki.

- Och, jej nie musimy chyba do tego mieszać. Wyjeżdża sobie całkiem wygodnie w willi, którą kupił pan dla niej w San Carlos. - Rivera wyglądał na przerażonego. Schellenberg ciągnął dalej: - Jak pan widzi, wiem o panu wszystko. I wszędzie pana odnajdę. Czy wyraźnie się jasno?

- Całkowicie, panie generale. - Rivera był zły.

- Należy pan teraz do SD i Reichsführera Himmlera, ale odpowiada pan tylko i wyłącznie przede mną, zaczniemy więc od pewnych wyjątków. Dlaczego wiadomo od pańskiego kuzyna z Londynu otrzymał również admirał Canaris?

- Kuzyn polecił mi go powiadomić, panie generale. W takich sprawach chodzi zawsze o pieniądze, a w tym przypadku... - Wzruszył ramionami.

- Myślałem, że otrzyma pan podwójną zapłatę? - Schellenberg pokiwał głową. Brzmiało to logicznie, wiedział jednak, że w tej grze niczego nie należy uważać za oczywiste. - Proszę mi opowiedzieć o swoim kuzynie.

- Czy jest jeszcze coś, czego pan nie wie, generale? Jose stracił rodziców w czasie epidemii grypy tuż po pierwszej wojnie. Wychowywali go moi rodzice. Byli my jak bracia. Studiowali my razem na uniwersytecie w Madrycie. Podczas wojny domowej walczyli my w tym samym pułku. Jest starszy ode mnie o rok. Ma trzydzieści trzy lata.

- Pan jest homoseksualistą, a on nie - zauważył Schellenberg. - Czy ma dziewczynę w Londynie? Rivera rozłożył ręce.

- Tak się składa, że Jose nie gustuje w kobietach, panie generale.

- Rozumiem. - Schellenberg zamyślił się nad tym przez chwilę. Nie miał nic przeciwko homoseksualistom, ale takich ludzi łatwo było szantażować, co w przypadku pracownika wywiadu obniżało jego wartość. Fakt ten przemawiał zatem na niekorzyść Vargasa. - Zna pan Londyn?

Rivera skinął głową.

- W trzydziestym dziewięćtym pracowałem przez rok razem z Jose w tamtejszej ambasadzie. Ona została w Madrycie.

- Ja tak też znam Londyn - stwierdził Schellenberg. - Niech mi pan coś opowie o życiu kuzyna. Czy mieszka w ambasadzie?

- Oficjalnie tak, panie generale, ale wynajmuje prywatnie nieduże mieszkanie. Kiedy tam byłem, miał dzierżawę na siedem lat, więc pewnie nadal nim dysponuje.

- Co to za miejsce?

- Stanley Mews, w pobliżu Westminster Abbey.

- W bardzo dogodnej odległości od Parlamentu. To dobra lokalizacja. Jestem pełen uznania.

- Jose zawsze lubi mię wszystko, co najlepsze.

- A to kosztuje. - Schellenberg wstał i podszedł do okna. Na dworze prószył niego. - Czy ten pański kuzyn jest godny zaufania? - zapytał. - Nie był nigdy podejrzany o kontakty z naszymi brytyjskimi przyjaciółmi?

Rivera znowu wydawał się wstrząsnąć.

- Generale Schellenberg, mógł pan o tym zapewnić. Jose, podobnie jak ja, jest prawdziwym faszystą. Podczas wojny domowej walczyli my razem po stronie generała Franco. My...

- W porządku, chciałem się tylko upewnić. Teraz proszę mnie uważnie wysłuchać. Podejmiemy, być może, próbę uwolnienia pułkownika Steinera.

- Z londyńskiego Tower, señor? - Rivera wybałuszył oczy.

- Moim zdaniem przeniosę go w jakieś inne dobrze strzeżone miejsce. Może zresztą już to zrobili. Wyśle pan dzisiaj do kuchni depeszę z prośbą o wszelkie możliwe informacje.

- Oczywiście, panie generale.

- Wić proszę się tym zajęć. - Kiedy Rivera był już przy drzwiach, Schellenberg dodał: - Nie muszę chyba przypominać, że gdyby pisnął pan komuś choć słowo, skończy pan w Sprewie, przyjacielu, a pański kuzyn w Tamizie. Mam wyjątkowo długie ręce.

- Panie generale, proszę... - Rivera zaczął znowu protestować.

- Zechce mi pan oszczędzić zapewnić, jakim to pan jest prawdziwym faszystą. Niech pan raczej pomyśli o mojej przyszłej hojności. To zapewni naszym kontaktom znacznie solidniejszą podstawę.

Gdy Rivera wyszedł, Schellenberg zadzwonił po samochód, włożył płaszcz i opuścił biuro.

Admirał Wilhelm Canaris miał pięćdziesiąt sześć lat i podczas pierwszej wojny światowej wstąpił do Armii jako dowódca łodzi podwodnej. Od 1935 roku stał na czele Abwehry i chociaż był lojalnym Niemcem, nigdy nie popierał narodowego socjalizmu. Sprzeciwiał się wszelkim planom zamordowania Hitlera, przez kilka lat utrzymywał jednak kontakty z niemieckim ruchem oporu, kroczył po niebezpiecznej ścieżce, co w rezultacie doprowadziło go do zguby.

Owego ranka galopował po drodze w Tiergarten, a spod kopyt wzbijał się nieprzyjemny pach, napełniając go dziką radością. Towarzyszące mu wszędzie dwa jamniki biegły za nim z zadziwiającą szybkością. Kiedy zobaczył stojącego przy mercedesie Schellenberga, pomachał mu ręką i zawrócił w jego kierunku.

- Dzień dobry, Walterze. Powinieneś ze mną pojeździć.

- Nie dzisiaj - odparł Schellenberg. - Znowu wyjeżdżam.

Canaris zsiadł z konia, a kierowca Schellenberga przytrzymał cugle. Admirał poczęstował Schellenberga papierosem, po czym odeszli na bok i oparli się o balustradę, za którą widać było jezioro.

- Jaka ciekawa podróż? - zapytał Canaris.

- Nie, zwykłe sprawy - odparł Schellenberg.

- Dalej, Walterze, wyrzuć to z siebie. Widz, że coś cię gnębi.

- No dobrze. Chodzi o „Operację Orzeł”.

- Nie mam z tym nic wspólnego - stwierdził Canaris. - To pomysł Führera. Co za bzdura! Zabija Churchilla, kiedy przegraliśmy już wojnę.

- Wolałbym, żeby nie mówił głośno takich rzeczy - powiedział ostro Schellenberg.

Canaris nie zwracał na niego uwagi.

- Kazano mi zbadać, czy taka akcja jest wykonalna. Wiedziałem, że Führer za parę dni zapomni o całej sprawie i rzeczywiście tak się stało, ale Himmler pamiętał. Jak zwykle chciał mi uprzykrzyć życie. W tajemnicy przede mną posłużył się Maxem Radiem, jednym z moich najbardziej zaufanych współpracowników. I tak jak przewidywałem, wszystko wzięło w łeb.

- Steinerowi prawie się udało - zauważył Schellenberg.

- Udało się? Bądźmy poważni, Walterze. Nie neguj tupetu i odwagi Steinera, ale przecie człowiek, którego chcieli porwać, to nie był Churchill. Mielibyśmy niezłe widowisko, gdyby go tu przywieźli. Z przyjemnością ci popatrzyłbym wtedy na wyraz twarzy Himmlera.

- A teraz dowiadujemy się, że Steiner nie zginął - powiedział Schellenberg. - Trzymaj go w Tower w Londynie.

- O, więc Rivera przekazał wiadomość od drogiego kuzyna także Reichsführerowi. - Canaris cynicznie się uśmiechnął. - Jak zwykle podwoili swoje honorarium.

- Co, twoim zdaniem, zrobi Brytyjczycy?

- Ze Steinerem? Zamkną go gdzieś do końca wojny, tak jak Hessa, tylko że nie będą się tym chwalić. Inne by to odebrano. Zresztą także Führer nie byłby zachwycony, gdyby się o wszystkim dowiedział.

- Mylisz, że może tak się stać? - zapytał Schellenberg. Canaris głośno się roześmiał.

- Miałby się niby dowiedzieć ode mnie? A więc o to chodzi? Nie, Walterze, mam teraz wystarczająco dużo problemów, żeby nie szukać nowych. Możesz zapewnić Reichsführera, że będę milczał tak samo jak on.

Zaczęli wracać do samochodu i Schellenberg powiedział:

- Zakładam, że temu Vargasowi można ufać. Czy jest wiarygodny?

Canaris potraktował to pytanie bardzo poważnie.

- Otwarcie przyznaj , e w Anglii działamy bez powodzenia. Brytyjski wywiad wpadł na genialny pomysł, kiedy zamiast rozstrzeliwa schwytych szpiegów, zaczął robić z nich podwójnych agentów.

- A co z Vargasem?

- Nigdy nie może być pewnym, ale jego bym nie podejrzewał. Jest zatrudniony w hiszpańskiej ambasadzie, pracuje dla nas tylko sporadycznie i na własną rękę. I nie ma kontaktów z innymi agentami w Anglii. - Kiedy doszli do samochodu, uśmiechnął się. - Czy to wszystko?

Schellenberg musiał powiedzieć coś jeszcze, bo darzył tego człowieka wielką sympatią.

- Wiesz, że w Rastenburgu był znowu zamach na życie Hitlera. Zdaje się, że bomby, które wiozł uczestniczący w spisku młody oficer, przedwcześnie nie eksplodowały.

- Okazał się bardzo nieostrożny. Ale do czego zmierzasz, Walterze?

- Uważaj na siebie, na miłość boską. Jesteśmy w niebezpiecznych czasach.

- Walterze, nigdy nie byłem zwolennikiem zamachu na Führera. - Admirał wspierał się z powrotem na siodło i chwycił lejce. - Chociaż niektórym takie rozwiązanie może się wydać po dane. Mam ci powiedzieć dlaczego, Walterze?

- Jestem pewien, że to zrobisz.

- Pod Stalingradem, dzięki głupocie Führera, zginęło ponad trzysta tysięcy naszych żołnierzy. Dziewięćdziesiąt tysięcy dostało się do niewoli, w tym dwudziestu czterech generałów. Była to najcięższa porażka w naszej historii. Zawdzięczamy Führerowi jeden wpadek za drugie. - Zamił się nieprzyjemnie. - Nie dostrzegasz oczywistej prawdy, przyjacielu? Im dłużej Hitler pożyje, tym szybciej skończy się dla nas wojna.

Spiął konia ostrogami i przy akompaniamencie przeraźliwego ujadania jamników pogalopował w kierunku drzew.

Wróciwszy do biura Schellenberg przebrał się w łazience w jasnoszary flanelowy garnitur, rozmawiając równocześnie przez drzwi z Ilse Huber, by zapoznać ją ze sprawą.

- No i co pani powie? - zapytał po wyjściu. - Czy to nie brzmi jak bajka braci Grimm?

- Raczej jak horror - odparła, podając mu jego czarny skórzany płaszcz.

- Uzupełniamy paliwo w Madrycie, a potem lecimy już na miejsce. Późnym popołudniem powinniśmy być w Lizbonie.

Włożył płaszcz, poprawił kapelusz z wygiętym rondem i wziął do ręki podróżną torbę, którą mu spakowała.

- W przeciagu dwóch dni oczekuj wiadomości od Rivery. Prosz mu da trzydzieci sze godzin, a potem niech go pani przyciśnie. - Pocałował ją w policzek. - Prosz na siebie uważać, Ilse. Wkrótce się zobaczymy. - To powiedziawszy wyszedł.

Lecieli samolotem Ju 52, słynnym trzysilnikowcem o poszyciu z karbowanego metalu. Kiedy wystartowali z bazy myśliwców Luftwaffe pod Berlinem, Schellenberg rozpiął pasy i sięgnął po teczkę.

Siedzący po drugiej stronie Berger uśmiechnął się.

- Jak się ma pan admirał, generale?

Nie popisale się, pomyślał Schellenberg. Nie powiniene się zdradzać, ale wiesz o naszym spotkaniu.

- Nic się nie zmienił - powiedział odwzajemniając uśmiech.

Otworzył teczkę i zaczął czytać życiorys Devlina, przyglądając się jego zdjęciu. Po chwili przerwał lekturę i wyjrzał za okno, przypomniawszy sobie, co Canaris powiedział na temat Hitlera.

Im dłużej po niej, tym szybciej skończy się dla nas wojna.

Dziwne, jak bardzo przeładowała go ta myśl. Nie potrafił się od niej uwolnić.

Baron Oswald von Hoyningen-Heune, przedstawiciel niemieckiego poselstwa w Lizbonie, był przyjacielem Schellenberga, należącem do starej szkoły arystokracji i podobnie jak on nie popierał narodowego socjalizmu. Nie ukrywał radości, że znów się spotykają.

- Drogi Walterze, jak się czujesz! Jak tam w Berlinie?

- Zimniej niż tutaj - odparł Schellenberg. Przeszli przez oszklone drzwi, siadając przy stole na pięknym tarasie. W ogrodzie pełnym zimowych kwiatów było na co popatrzeć. Kiedy słuchający w białej marynarce przyniósł na tacy kawę, Schellenberg westchnął:

- Tak, jestem w stanie zrozumieć, dlaczego tu siedzisz, zamiast wracać do Berlina. Lizbona to w dzisiejszych czasach wymarzone miejsce.

- Wiem - przyznał baron. - Wszyscy moi pracownicy cię głębiej boją, by ich nie przeniesiono. - Nalał kawy. - Wigilia to dziwna pora na podróżowanie, Walterze.

- Wiesz, jaki jest wujaszek Heini, kiedy się czego czepi - odparł Schellenberg, stosując przydomek, którym w SS obdarzano czelustwo Himmlera.

- Musi chodzić o coś ważnego - stwierdził baron. - Zwłaszcza jeżeli cię posyła.

- Poszukujemy pewnego człowieka. To Irlandczyk, Liam Devlin. - Schellenberg wyjął z portfela jego zdjęcie, podając je baronowi. - Przez jaki czas pracował dla Abwehry. Należał do IRA.



Niedawno wyszedł ze szpitala w Holandii. Według naszych informacji jest tutaj. Pracuje jako kelner w klubie w Alfama.

- To stara dzielnica. - Baron pokiwał głową. - Nie muszę ci chyba przypominać, że Irlandczycy są formalnie obywatelami neutralnego kraju. Sytuacja jest nieco delikatna.

- Nie musimy stosować drastycznych metod - powiedział Schellenberg. - Mam nadzieję, że zdołamy przekonać go do powrotu. Chcemy mu zaproponować pracę, która może okazać się dointratna.

- W porządku - rzekł baron. - Pamiętaj tylko, że nasi portugalscy przyjaciele naprawdę przestrzegają zasad neutralności. Tym bardziej teraz, gdy zwyczajowo wymyka nam się z rąk. Ale kapitan Eggar, attaché policji, powinien okazać się pomocny. - Podniósł słuchawkę telefonu i rozmawiał przez chwilę ze swym współpracownikiem. Kiedy skończył, powiedział: - Zauważyłem, że masz towarzystwo.

- To Sturmbannführer Horst Berger z Gestapo - wyjaśnił Schellenberg.

- Nie bardzo do siebie pasujecie.

- Reichsführer dał mi go w prezencie pod choinkę. Nie miałem wielkiego wyboru.

- A więc to tak.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł ostro niezmierzona czterdziestce. Miał sumiastę w sy, a brzozy garnitur z gabardyny niezbyt dobrze na nim leżał. Był typem zawodowego policjanta. Schellenberg rozpoznawał ludzi tego pokroju.

- A, jest pan, kapitanie Eggar. Zna pana generała Schellenberga, prawda?

- Oczywiście. Bardzo mi miło znów pana spotkać. Poznaliśmy się w czterdziestym roku, w związku ze sprawą z Windsoru.

- Tak. No cóż, dziękuję mi o wszystkim zapomnieć. - Schellenberg podsunął mu zdjęcie Devlina. - Widział pan tego człowieka?

Eggar obejrzał fotografię i odparł:

- Nie, panie generale.

- To Irlandczyk. Był członkiem IRA, o ile w ogóle można na kim takim być. Ma trzydzieści pięć lat. Przez jakiś czas pracował dla Abwehry. Znowu go potrzebujemy. Według naszych ostatnich informacji pracuje jako kelner w barze „Flaming”.

- Znam to miejsce.

- To dobrze. Za drzwiami czeka mój współpracownik, major Berger z Gestapo. Proszę go tu przyprowadzić.

Eggar wyszedł i wrócił z Bergerem, a Schellenberg dokonał prezentacji.

- Baron von Hoyningen-Heune, przedstawiciel poselstwa, i kapitan Eggar, attache policji. Sturbannfuhrer Berger. - Berger przepisowo skin ął głow i strzelił obcasami. W tym swoim ciemnym garniturze i z zeszpecon twarz robił upiorne wra enie. - Kapitan Eggar wie, gdzie jest bar „Flaming”. Chc eby pan z nim poszedł i sprawdził, czy Devlin jeszcze tam pracuje. Je eli tak, nie wolno panu - powtarzam: nie wolno - w aden sposób si z nim kontaktowa . Prosz tylko mnie zawiadomi . - Berger, nie okazuj c adnych uczu , odwrócił si do drzwi. Kiedy je otworzył, Schellenberg zawołał: - W latach trzydziestych Liam Devlin był jednym z najlepszych strzelców IRA! Warto, eby cie, panowie, mieli ten fakt na uwadze.

Berger zrozumiał natychmiast, e ta uwaga skierowana była do niego. U miechn ął si bladło, odparł „tak jest, panie generale”, po czym odwrócił si i wyszedł, a Eggar pod ył za nim.

- Nieprzyjemny facet. Wolałbym trzyma si od niego z daleka. Mimo wszystko... - Baron spojrział na zegarek. - Min ła pi ta, Walterze. Co by powiedział na kieliszek szampana?

Major Arthur Frear miał pi dziesi t cztery lata, ale w swym wymi tym garniturze i z siwizn ą na głowie wygl dał na wi cej. Dostawałby ju skromn emerytur , yj c w dystyngowanym ubóstwie w Brighton albo Torquay, gdyby nie Adolf Hitler, dzi ki któremu otrzymał stanowisko doradcy wojskowego w ambasadzie brytyjskiej w Lizbonie, gdzie był nieoficjalnym przedstawicielem ZOS.

Klub „ wiatła Lizbony” na południowych obrze ach dzielnicy Alfama nale ał do jego ulubionych miejsc. Dobrze si składało, e Devlin grywał tam na pianinie, cho w tym momencie nie mógł go nigdzie dostrzec. W rzeczywisto ci Devlin przygl dał mu si z zaplecza przez kotar z koralików. Miał na sobie szarawy płócienny garnitur. Ciemne włosy opadały mu na czoło, a ywe niebieskie oczy obserwowały Freara z wyrazem rozbawienia. Major zauwa ył obecno Devlina dopiero wtedy, gdy ten usiadł obok niego na taborecie i zamówił piwo.

- Pan Frear, prawda? - powiedział, wskazuj c głow ą na barmana. - Miguel wspominał mi, e handluje pan winem.

- Zgadza si - odparł jowialnie Frear. - Moja firma od lat eksportuje je do Anglii.

- Mam odmienny gust - stwierdził Devlin. - Gdyby chodziło o irlandzk whiskey, to co innego.

- Obawiam si , e nic z tego. - Frear ponownie si roze miał. - Ciekawe, czy zdaje pan sobie spraw , e nosi pan krawat Brygady Gwardyjskiej?

- Naprawdę? A jak pan to rozpoznał? - Devlin uśmiechnął się do niego przyjaźnie. - I pomyśle, że zaledwie tydzień temu kupiłem go od handlarza na pchlim targu.

Zsunął się z taboretu, a Frear zapytał:

- Niczego nam pan nie zagra?

- Och, przyjdzie na to pora. - Devlin podszedł do drzwi i uśmiechnął się szeroko powiedział jeszcze „panie majorze”, a potem zniknął.

Bar „Flaming” był niewielki podrzydnym knajp. Berger musiał pozostawić inicjatywę Eggarowi, który mógł się swobodnie dogadać. Pocztkowo nie mieli szczęścia. Owszem, Devlin przez jakiś czas tam pracował, ale zrezygnował przed trzema dniami. Potem jednak pewna kobieta, która weszła sprzedawać klientom kwiaty, usłyszała, o czym mówił, i wtrąciła się do rozmowy. Irlandczyka zatrudniano w innym lokalu, do którego zagłądała, w „Wiatłach Lizbony”, tyle że nie był kelnerem, lecz pianistą w barze. Eggar dał jej napiwek, po czym wyszli na zewnątrz.

- Zna pan to miejsce? - zapytał Berger.

- O, tak, całkiem dobrze. To jest tu w starej dzielnicy. Muszę pana ostrzec, że mają tam paskudną klientelę. Typową dla tego rejonu.

- Zawsze radziłem sobie z szumowinami - stwierdził Berger. - Proszę wskazać mi drogę.

Przemierzali labirynt wąskich uliczek, mając nad głowami wysokie mury Castelo de Sao Jorge, a kiedy znaleźli się na niewielkim placu przed kościołem, ujrzeli Devlina, który wyłonił się z alei i przeciwstawił im drogę, szedł po bruku w kierunku baru.

- Mój Boże, to on - mruknął Eggar. - Dokładnie jak na zdjęciu.

- Oczywiście, głupcze - powiedział Berger. - Czy to „Wiatła Lizbony”?

- Nie, panie majorze, to inny lokal. Cieszy się w Alfamie szczególnie złośców. Przychodzą tam Cyganie, toreadorzy, rozmaici przestępcy.

- Dobrze wiemy, że jesteście myśliwi. Kiedy tam wejdziemy, niech pan ma pistolet w prawej kieszeni i trzyma go w ręku.

- Ale generał Schellenberg rozkazał nam wystrzelać...

- Proszę nie dyskutować. Nie chcę, żeby mi się ten facet wymknął. Niech pan idzie za mną i wykonuje polecenia. - Powiedziawszy to, Berger ruszył w stronę baru, z którego dobiegały dźwięki gitary.

Mimo zapadającego zmierzchu w lokalu było jasno i przewiewnie. Za marmurowym kontuarem baru, obok staromodnego lustra, stały rzędy butelek. Bielone ściany były poobwieszane plakatami z corrido. Barman - krępy, szpetny facet z bielmem na jednym oku,

ubrany w fartuch i poplamion koszul - siedział na wysokim stołku, czytając gazetę. Czterej inni mężczyźni - smagli Cyganie o groźnym wyglądem - grali przy stole w pokera, a oparty o ścianę młody człowiek brzdakał na gitarze.

Poza tym lokal był pusty, jeżeli nie liczyć Devlina, który siedział ze szklanką piwa przy stoliku na drugim końcu sali, czytając jakiś tomik. Zaskrzypiały drzwi i wszedł Berger. Eggar trzymał się tuż za nim. Gitarzysta przestał grać i zapadło milczenie, gdy Berger stanął w progu jak śmierć, która wyszła im na spotkanie. Po chwili minął grających w karty mężczyźni. Eggar również podszedł bliżej, trzymając się z lewej strony.

Devlin podniósł wzrok i uśmiechając się przyjaźnie wziął do lewej ręki szklankę piwa.

- To pan jest Liam Devlin? - zapytał Berger.

- A kim mam przyjemność?

- Sturmbannführer Horst Berger z Gestapo.

- Jezu, a dlaczego nie przysłali samego diabła? Mam z nim dobre układy.

- Jest pan niemiły, niż sobie wyobrażałem - oznajmił Berger. - Nie powiem, żeby byłem pod wrażeniem.

Devlin ponownie się uśmiechnął.

- Ci głębię mi to mówi, synu.

- Muszę prosić, żeby poszedł pan z nami.

- Przeczytałem dopiero połowę książki. The Midnight Court, i to po irlandzku. Czy pan uwierzy, że zaledwie w zeszłym tygodniu znalazłem ją u sprzedawcy na pchlim targu?

- Natychmiast! - warknął Berger. Devlin wypił następną łykę piwa.

- Przypomina mi pan średniowieczny fresk, który widziałem kiedyś na ścianie kościoła w Donegal. Ludzie uciekający w popłochu przed człowiekiem w kapturze, bo jego dotknięcie skazywało na czarną śmierć.

- Eggar! - Głos Bergera brzmiał rozkazująco.

Devlin wystrzelił spod blatu stołu i kula odłupała kawałek tynku przy drzwiach. Eggar próbował wydobyć z kieszeni pistolet. Walther, spoczywający dotychczas na kolanie Devlina, znalazł się nad stołem i ponownie wypalił, przestrzelując Eggarowi prawą dłoń. Policjant krzyknął i osunął się na ścianę, a jeden z Cyganów chwycił upuszczony przez niego pistolet.

Berger wsadził rękę pod marynarkę, sięgając po mauzera, którego nosił w kaburze pod pachę. Devlin chluznął mu piwem w twarz i przewrócił na niego stolik. Krawiec blatu uderzyła Bergera w nogi, pozbawiając go równowagi. Devlin przytknął Niemcowi do szyi lufę walthera i sięgnwszy mu pod marynarkę wy dobył mauzera, którego rzucił na bar.

- To prezent dla ciebie, Barbosa.

Barman uśmiechnął się, podnosząc broń. Cyganie byli już na nogach, a dwaj z nich mieli w rękach noże.

- Miał pan szczęście trafić do lokalu, w którym nikt nie wzywa glin - stwierdził Devlin. - Ci faceci to prawdziwi zbójcy. Nawet człowiek w kapturze niewiele dla nich znaczy. Barbosa spotykał się z nim prawie w każdej popołudnie na arenach Hiszpanii. To właśnie tam dostał rogiem w oko.

Wyraz twarzy Bergera wskazywał, że ma już dosyć. Devlin wsunął sobie do kieszeni kłódkę i trzymając walthera przy nodze obszedł Niemca, by obejrzeć rękę Eggara.

- Stracił pan parę kostek. Nie obejdzcie się bez lekarza. Powiedziawszy to, wsunął do kieszeni walthera i odwrócił się, aby odejść.

W tym momencie słabne nerwy Bergera nie wytrzymały. Podbiegł do niego, wyciągając ręce. Devlin zrobił obrót i wysunawszy prawą nogę kopnął Bergera pod lewe kolano. Kiedy Niemiec zgiął się wzdłuż, grzmotnął go podniesionym kolaniem w twarz, a ten poleciał z powrotem w kierunku baru. Po chwili podniósł się i oparł o marmurowy kontuar, wzbudzając miętę Cyganów.

Devlin pokręcił głową.

- Na Boga, synu. Powinniście, na mój gust, poszukać sobie obaj innego zajęcia - powiedział, po czym odwrócił się i wyszedł.

Kiedy Schellenberg wszedł do niewielkiego ambulatorium, Eggar siedział przy biurku, a lekarz z poselstwa bandałował mu prawe dło.

- W jakim jest stanie? - zapytał Schellenberg.

- Przez ję. - Lekarz skończył i uciął starannie opatrunek. - W przyszłości ci ręką może być trochę sztywna. Słuszkowane kostki.

- Mogę pana na chwilę przeprosić? - Lekarz skinął głową i wyszedł, a Schellenberg, zapaliwszy papierosa, usiadł na krześle przy biurku. - Domyślam się, że znaleźliście Devlina?

- Jeszcze panu nie powiedziano, generale? - zapytał Eggar.

- Nie rozmawiałem na razie z Bergerem. Dowiedziałem się tylko, że wróciliście takśówką w kiepskiej formie. Proszę opowiedzieć mi teraz dokładnie, co się wydarzyło.

Eggar niczego nie ukrywał, gdy wraz z narastającym bólem wzbierała w nim złość.

- W ogóle nie chciał słuchać, panie generale. Musiał zrobić wszystko po swojemu.

Schellenberg położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie pańska wina, Eggar. Obawiam się, że major Berger za dużo o sobie pozwala. Pora dać mu nauczkę.

- Och, Devlin ju o to zadbał - stwierdził Eggar. - Twarz majora nie wygl dała najlepiej, kiedy si ostatnio widzieli my.

- Doprawdy? - Schellenberg u miechn ł si . - Nie przypuszczałem, e co mo e jej jeszcze zaszkodzi .

Berger stał rozebrany do pasa obok umywalki w niewielkiej sypialni, któr mu przydzielono, i przygl dał si w lustrze swojej twarzy. Wokół lewego oka pojawił si ju siniak, a nos był cały spuchni ty. Schellenberg wszedł do pokoju i zamkn wszy za sob drzwi oparł si o nie.

- A wi c zlekcewa ył pan moje rozkazy.

- Działałem w najlepszej wierze - odparł Berger. - Nie chciałem, eby mi si wymkn ł.

- A okazał si od pana lepszy. Ostrzegałem. Kiedy Berger dotkn ł policzka, na jego widocznej w lustrze twarzy malowała si w ciekło .

- Irlandzki b kart! Nast pnym razem go załatwi .

- Nie zrobi pan tego, poniewa odt d sam si wszystkim zajm - stwierdził Schellenberg. - A mo e woli pan, eby Reichsfuhrer otrzymał ode mnie raport, e stracili my tego człowieka z powodu pa skiej głupoty?

Berger obrócił si na pi cie.

- Generale Schellenberg, protestuj !

- Prosz zł czy stopy, kiedy pan ze mn rozmawia, Sturmabannfuhrer! - warkn ł Schellenberg. Berger wykonał polecenie. Wyniesiona z SS elazna dyscyplina wzi ła gór . - Wst puj c do SS składał pan przysi g . lubował pan absolutne posłusze stwo swemu Führerowi oraz tym, którzy zostali wyznaczeni na pa skich zwierzchników. Zgadza si ?

- Jawohl, Brigadefuhrer.

- Znakomicie - powiedział Schellenberg. - Ju pan sobie przypomniał. I prosz wi cej o tym nie zapomina . Konsekwencje mogłyby si okaza katastrofalne. - Skierował si do drzwi i otworzywszy je pokr cił głow . - Fatalnie pan wygl da, majorze. Prosz doprowadzi do porz dku twarz, zanim zejdzie pan na obiad.

Kiedy wyszedł, Berger spojrział ponownie w lustro.

- Cholerny skurwieli! - powiedział cicho.

Liam Devlin siedział przy pianinie w klubie „ wiatła Lizbony”. Miał pod r k kieliszek wina, a z k cika ust zwi sał mu papieros. Była dziesi ta, brakowało zaledwie dwóch godzin do Bo ego Narodzenia i w zatłoczonym lokalu panowała radosna atmosfera. Devlin grał swój ulubion melodi Autostrada w blasku ksi yca, wolny, nastrojowy kawałek.

Zauważył Schellenberga, gdy tylko się pojawił, nie dlatego, że znał tego człowieka, lecz z powodu jego wyglądu. Obserwował, jak podchodzi do baru i zamawia kieliszek wina, a potem odwrócił wzrok, zdając sobie sprawę, że tamten zmierza w jego kierunku.

- Autostrada w blasku księżyca - odezwał się Schellenberg. - Bardzo to lubi. Jeden z najlepszych utworów Ala Bowlly'ego - dodał, wymieniając nazwisko człowieka, który był a do śmierci najpopularniejszym w Anglii wykonawcą sentymentalnych piosenek.

- Zginął podczas bombardowania Londynu. Wiedział pan o tym? - zapytał Devlin. - Nigdy nie chciałem zejść z innymi do schronu, kiedy ogłaszano alarm. Zginął we mnie od wybuchu bomby.

- Wielka szkoda - powiedział Schellenberg.

- To chyba zależy, po której stronie jest stronica. Devlin zaczął grać mglisty dzieł w Londynie, a Schellenberg stwierdził:

- Jest pan wszechstronnie uzdolniony, panie Devlin.

- Gram tylko na pianinie w barze, nic więcej - odparł Devlin. - Błędnie młodo ci. - Sięgnął po kieliszek z winem, grając nadal jeden ręk. - A kim pan jest?

- Nazywam się Schellenberg. Walter Schellenberg. Byłoby pan o mnie słyszał.

- Oczywiście. - Devlin uśmiechnął się szeroko. - Mieszkałem w Berlinie dostatecznie długo. Jest pan już generałem, prawda? I to w SD. Czy ma pan coś wspólnego z tymi dwoma kretynami, którzy chcieli mi dzisiaj dołożyć?

- Bardzo nad tym boję się, panie Devlin. Człowiek, którego pan postrzelił, to attache policji przy poselstwie, a ten drugi, major Berger, jest z Gestapo. Towarzyszy mi tylko dlatego, że taki był rozkaz Reichsführera.

- Chryste, znowu ten staruszek Himmler? Kiedy się ostatnio widzieliście, nie bardzo przypadłem mu do gustu.

- Cóż, teraz jest mu pan potrzebny.

- Do czego?

- Aby załatwić nam pewną sprawę w Anglii, panie Devlin. Jak ci leży mówić: w Londynie.

- Nie, dziękuję. Podczas tej wojny pracowałem już dwa razy dla niemieckiego wywiadu. Najpierw w Irlandii, gdzie o mało nie odstrzelili mi głowy. - Dotknął blizny po kulach na czole.

- A potem oberwał pan w prawe ramię w Norfolk i cudem się pan stamtąd wy dostał, zostawiając na miejscu Kurta Steinera.

- Wiem pan o tym wie?

- O „Operacji Orzeł”? Owszem.

- Z tego pułkownika był dobry człowiek. Niewiele miał wspólnego z nazistami...

- Słyszał pan, co się z nim stało?

- Pewnie. Kiedy byłem w szpitalu w Holandii, przywieziono tam Maxa Radia, który miał atak serca. Dostał raport od wywiadu z Anglii, że Steiner zginął w Meltham House, próbując zastrzelić Churchilla.

- Nie zgadzają się tu dwie rzeczy - powiedział Schellenberg. - O dwóch sprawach Radl nie wiedział. Churchilla tam wtedy nie było. Udawał się właśnie na konferencję do Teheranu. Zastąpił go dubler, jakiś aktor rewiowy.

- Wielki Boże! - Devlin przestał grać.

- A co ważniejsze, Kurt Steiner nie zginął. Ma się całkiem dobrze i jest w londyńskim Tower. Właśnie dlatego chcę pana posłać do Anglii. Widzi pan, powierzono mi zadanie sprowadzenia go z powrotem do Rzeszy i mam na to nieco ponad trzy tygodnie.

Frear wszedł do baru parę minut wcześniej i natychmiast rozpoznał Schellenberga. Cofnął się za przepierzenie z boku sali, zawołał kelnera i zamówiwszy piwo obserwował, jak obaj mężczyźni wychodzą do ogrodu na tyłach lokalu. Usiedli przy stoliku, patrząc w dół na wiatła statków, które płynęły w dole po Tagu.

- Przegraliście tę wojnę, panie generale - powiedział Devlin. - Po co jeszcze próbować?

- Och, musimy wszyscy robić, co się da, dopóki ta cholerna sprawa się nie skończy. Zawsze powtarzam, że trudno zeskoczyć z kręcącej się karuzeli. Bierzymy udział w grze.

- Tak jak ten stary skurwiel z siwymi włosami, który obserwuje nas z kątów sali - zauważył Devlin.

Schellenberg rozejrzył się jakby od niechcienia.

- Kto to taki?

- Podobno handluje winem. Nazywa się Frear. Dowiedziałem się od przyjaciół, że jest tutaj doradcą wojskowym w ambasadzie brytyjskiej.

- Doprawdy? - Schellenberg spokojnie kontynuował rozmowę. - Czy interesuje pana moja oferta?

- A powinna?

- Chodzi o pieniądze. Za udział w „Operacji Orzeł” dostał pan na rachunek w Genewie dwadzieścia tysięcy funtów.

- I siedzę tutaj, nie mając nawet dwóch pensów przy duszy.

- Dwadzieścia tysięcy funtów, panie Devlin. Na wskazany przez pana rachunek.



Devlin zapalił kolejnego papierosa i oparł się o krzesło.

- Do czego jest wam potrzebny? Po co tyle zachodu?

- To kwestia bezpieczeństwa. Devlin za miał się nieprzyjemnie.

- Niech pan da spokój, generale. Chce pan, abym znów wyskakiwał po ciemku z Dorniera na wysoko ci pi ciu tysi cy stóp, jak wtedy nad Irlandi , a wciska mi pan takie brednie.

- No dobrze. - Schellenberg podniósł dłoń w pojednawczym geście. - Dwudziestego pierwszego stycznia Führer ma się spotkać we Francji z Rommlem, Canarisem i Himmlerem. Nie wie na razie o „Operacji Orzeł”. Reichsführer chciałby podczas tego spotkania zaprezentować Steinera. Przedstawi mu go.

- Niby w jakim celu?

- Misja Steinera zakończyła się niepowodzeniem, ale poprowadził niemieckich ochotników do walki na angielskiej ziemi. Jest bohaterem Rzeszy.

- Co za bzdura!

- Poza tym Reichsführer i admirał Canaris nie zawsze się ze sobą zgadzają. I nagle pojawia się Steiner. - Wzruszył ramionami. - Fakt, że jego ucieczkę zorganizowało SS...

- Postawi Canarisa w złym świetle. - Devlin pokręcił głową. - Dobrane towarzystwo! Nie obchodzi mnie żaden z nich ani motyw tego starego kruka, Himmlera, ale Kurt Steiner to inna sprawa. Wspaniałe z niego człowiek. Gdyby nie to cholerne Tower!

Ponownie pokręcił głową, a Schellenberg powiedział:

- Nie bój się go tam trzymać. Przypuszczam, że zostanie przeniesiony w jakie bezpieczne miejsce w Londynie.

- A jak się tego dowiecie?

- Mamy w Londynie agenta. Pracuje w hiszpańskiej ambasadzie.

- Jesteście pewni, że nie działa na dwie strony?

- W jego przypadku w zasadzie tak. - Devlin zmarszczył brwi, a Schellenberg kontynuował: - Trzydzieści tysięcy funtów. - Po chwili dodał z uśmiechem: - Znam się na swojej robocie, panie Devlin. Przygotuj dla pana plan, który musi się udać.

Devlin pokiwał głową i mówił „zastanowi się”, wstał z krzesła.

- Nie możemy jednak tego odkładać. Muszę wracać do Berlina.

- A ja potrzebuję czasu do namysłu. Poza tym jest Boże Narodzenie. Obiecałem, że pojedzie na wieś zobaczyć byki, które hoduje mój przyjaciel Barbosa. Był kiedyś sławnym toreadorem w Hiszpanii, a tam lubi ostre rogi. Wróć za trzy dni.

- Ale, panie Devlin... - Schellenberg nie dawał za wygraną.

- Je eli mnie pan potrzebuje, b dzie pan musiał zaczeka . - Devlin poklepał go po ramieniu. - No, Walterze, niech pan korzysta ze wi t w Lizbonie. wiatła, muzyka, pi kne dziewcz ta. W Berlinie obowi zuje teraz zaciemnienie i zało si , e pada tam nieg. Wi c co pan woli?

Schellenberg za miał si bezradnie, a siedz cy w gł bi baru Frear wstał od stolika i wyszedł.

W dzie Bo ego Narodzenia Dougal Munro sp dził cały ranek w swoim gabinecie w centrali ZOS, załatwiaj c pilne sprawy. Miał ju wychodzi , gdy przy ku tykał Jack Carter. Min ło wła nie południe.

- Mam nadziej , e to co naprawd pilnego, Jack - powiedział Munro. - Jem dzisiaj wi teczny obiad z przyjaciółmi w Garrick.

- S dziłem, e ta informacja b dzie dla pana wa na, sir. - Carter podał mu depez . - Przysłał to major Frear, nasz człowiek z Lizbony. Chodzi o Devlina.

- Co si z nim dzieje? - zapytał Munro.

- Prosz zgadn , z kim konwersował wczoraj przez cały wieczór w jednym z klubów w Lizbonie. Z Walterem Schellenbergiem.

Munro usiadł przy biurku.

- A có to nasz drogi Walter knuje, do cholery?

- Bóg jeden wie, sir.

- Chyba raczej diabeł. Zadepeszuj jak najszybciej do Freara. Niech bacznie obserwuje poczynania Schellenberga. Gdyby wyje d ał razem z Devlinem z Portugalii, natychmiast mnie zawiadomi .

- Zaraz si tym zajm , sir - powiedział Carter i pospiesznie wyszedł.

W czasie wi t Bo ego Narodzenia spadło w Londynie troch niegu, ale wieczorem dwudziestego siódmego grudnia, gdy Jack Carter skr cał w zabudowan starymi domami mał uliczek w pobli u Portman Square, padał ulewny deszcz. Miejsce to znajdowało si niedaleko centrali ZOS i wła nie dlatego je wybrał, gdy zadzwonił do niego Vargas. Bar nosił nazw „Spi arnia Mary” i miał zaciemnione okna, ale w rodku l niły wi teczne ozdoby i gał zki ostrokrzewu. Był wczesny wieczór i lokal go cił zaledwie trzech czy czterech klientów.

Vargas siedział w k cie, pij c kaw i czytaj c gazet . Był ubrany w gruby niebieski płaszcz, a na stole poło ył kapelusz. Miał oliwkow cer , zapadni te policzki i hiszpa ski w sik, a l ni ce od brylantyny włosy zaczesał z przedziałkiem na rodku głowy.

- Mam nadziej , e to co wa nego - powiedział Carter.

- Czy fatygowałbym pana, gdyby było inaczej, senor? - zapytał Vargas. - Dostałem wiadomość od kuzyna z Berlina.

- No i co?

- Chcę dalszych informacji na temat Steinera. Był próbował go uwolnić.

- Jest pan tego pewien?

- Tak mi przekazano. Chcę wiedzieć, gdzie dokładnie przebywa. Przypuszczam, że nie boby dziecię trzymali go w Tower.

- Kto taki? Abwehra?

- Nie. Sprawę zajmuje się generał Schellenberg z SD. Dla niego przynajmniej pracuje mój kuzyn.

Carter, mocno podekscytowany, pokiwał głową i podniósł się z krzesła.

- Proszę do mnie zadzwonić o jedenastej pod ten sam numer co zwykle, kolego. I niech pan nie nawali. - Pochylił się naprzód. - To duża sprawa, Vargas. Jeśli okaże się pan sprytny, zarobi pan kup forsy.

Odwrócił się i wyszedł, pokonując drogę wzdłuż Baker Street tak szybko, jak tylko pozwalała na to okaleczona noga.

Dokładnie w tym samym czasie Walter Schellenberg szedł pod górę stromą brukowaną aleją Lizbońskiej dzielnicy Alfama w kierunku klubu „Wiatła Lizbony”. Jeszcze zanim tam dotarł, usłyszał muzykę. Kiedy wszedł do rodka, w lokalu nie było nikogo prócz barmana i Devlina, który siedział przy pianinie.

Irlandczyk przestał grać, zapalił papierosa i przywitał go uśmiechem.

- Spdził pan miło wita, generale?

- Mogło być gorzej. A pan?

- Byki biegały jak należy. Stratowały mnie. Wszystko przez nadmiar alkoholu.

- To ryzykowna zabawa.

- Właściwie nie. W Portugalii spijowuje się im rogi. Na arenie nikt nie ginie.

- Strata czasu - stwierdził Schellenberg.

- Prawda? Wino, owoce, byki i całe mnóstwo słowca - tak właściwie spędziłem wita, panie generale. - Zaczęła grać Autostrada w blasku księżyca. - A właściwie o tym, jak stary Al Bowlly zginął podczas bombardowania, o Londynie i ulicach we mgle. Czy to nie dziwne?

Schellenberg odczuwał narastające podniecenie.

- Poleci pan?

- Pod jednym warunkiem. Mogę w ostatniej chwili zmienić zdanie, jeśli uznam, że coś nie gra.

- Zgoda.

Devlin wstał i wyszli razem na taras.

- Rano polecimy do Berlina - powiedział Schellenberg.

- Pan poleci, generale. Ja nie.

- Ale , panie Devlin...

- Wie pan, e w tej grze trzeba my le o wszystkim. Prosz spojrze .

Frear rozmawiał za przepierzeniem z jednym z kelnerów, który wycierał wła nie stoj ce na zewn trz stoliki.

- Stary Frear ma mnie na oku. Widział, jak rozmawiałem z wielkim Walterem Schellenbergiem. Przypuszczam, e nie omieszka zawiadomi o tym Londynu.

- Co pan wi c proponuje?

- Polecisz pan z powrotem do Berlina i zaczniesz przygotowania. B dzie sporo do zrobienia. Prosz załatwi mi w poselstwie odpowiednie papiery, pieni dze na podró i tak dalej, a ja przyjad kolej . To zmniejszy ryzyko. Pojad z Lizbony do Madrytu, potem wsi d w ekspres do Pary a. Stamt d, je li si da, mo e mi pan załatwi samolot albo znowu złapi poci g.

- Straci pan co najmniej dwa dni.

- Powtarzam, e jest jeszcze sporo do załatwienia. Nie powie mi pan, e wszystko da si zrobi od r ki. Schellenberg skin ł głow .

- Ma pan racj . Wi c napijmy si na to konto. Za nasz angielsk eskapad .

- Naj wi tsza Panienko, tylko nie to, generale. Kto u ył ju przy mnie tego okre lenia, nie zdaj c sobie sprawy, e tak wła nie nazywano hiszpa sk Armad . A prosz nie zapomina , jaki spotkał j los.

- Wi c wypijmy nasze zdrowie, panie Devlin - powiedział Schellenberg. - Ja pa skie, a pan moje. Zaraz potem weszli ponownie do lokalu.

Munro siedział przy biurku w swym mieszkaniu na Haston Place i słu chał uwa nie, gdy Carter przedstawiał mu pokrótce przebieg rozmowy z Vargasem. Na koniec pokiwał głow i powiedział:

- Mamy dwa fragmenty łamigłówki, Jack. Schellenberg chce uwolni Steinera. A gdzie jest teraz Schellenberg? Gaw dzi sobie w Lizbonie z Liamem Devlinem. Jakie by z tego wyci gn ł wnioski?

- Chce zwerbowa do akcji Devlina, sir.

- Oczywi cie. To idealny kandydat. - Munro pokiwał głow . - Ta sytuacja stwarza interesuj ce mo liwo ci.

- Na przykład? Munro pokrcił głowę.

- Tylko głono myślał. Tak czy inaczej, czas już zastanowił się nad przeniesieniem Steinera. Co by proponował?

- Mamy więzienie w Kensington - odparł Carter.

- Daj spokój, Jack. Tam są tylko tymczasowo zatrzymani, prawda? Jeśliby wojenni, zestrzeleni piloci Luftwaffe.

- Jest jeszcze Cockfosters, sir, ale to tylko zwykłe więzienie. No i szkoła naprzeciwko zakładu karnego w Wandsworth. Trzymano tam wielu niemieckich agentów. - Na Munro nie zrobiło to wrażenia, więc Carter próbował dalej. - Jest, oczywiście, Mytchett Place w Hampshire. Miejsce, które zamieniono w miniaturę fortecy dla Hessa.

- I było tam komfortowo w takiej samotności, a w czerwcu czterdziestego pierwszego roku próbował się zabić, wyskakując z balkonu. Nie, nic z tego. - Munro podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Ulewa zmieniła się w deszcz ze śniegiem. - Chyba już czas, abym porozmawiał z naszym przyjacielem Steinerem. Spróbujemy jutro to załatwić.

- W porządku, sir. Wszystko zorganizuję. Munro odwrócił się.

- Ten Devlin - czy mamy w aktach jego fotografie?

- Zdjęcie paszportowe, sir. Kiedy był w Norfolk, musiał wypełnić kartę meldunkową dla cudzoziemców. Obywatele Irlandii mają taki obowiązek i potrzebne jest wtedy zdjęcie. Przesłali je nam z Wydziału Specjalnego. Nie jest zbyt wyraźne.

- Jak zwykle. - Munro niespodziewanie się uśmiechnął. - Już wiem, Jack. Mam miejsce dla Steinera. Klasztor Najświętszej Marii Panny w Wapping.

- U Sióstr Miłosierdzia, sir? Ale to hospicjum dla nieuleczalnie chorych.

- Zajmij się tam teściami, którzy przeżyli psychiczne załamanie, prawda? Dzielniymi pilotami RAF-u, którzy nie wytrzymali napięcia.

- Tak jest, sir.

- A przypomnij sobie sprawę tego agenta Abwehry, Bauma. To było w lutym. Dostał kulę w pierś, kiedy ludzie z Wydziału Specjalnego i MI 5 próbowali zatrzymać go w Bayswater. Był leczony i przesłuchiwany w klasztorze. Widziałem raporty na ten temat. Wiem też całkiem pewnie, że sekcja MI 5 nie korzysta z tego miejsca regularnie. Byłoby to idealne. Klasztor zbudowano w siedemnastym wieku. Cały teren jest otoczony murem, bo kiedy obowiązywała tam ścisła klauzura. Budynek przypomina fortecę.

- Nigdy tam nie byłem, sir.

- A ja owszem. Dziwne miejsce. Przez wiele lat, kiedy katolicy byli wyjątkami spod prawa, należało do protestantów. W czasach wiktoriańskich jako przemysłowiec, fanatyk

religijny, zrobił tam przytułek dla ludzi z ulicy. Potem przez lata budynek stał opuszczony, a w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku kupił go jakiś dobroczyca. Został ponownie poświęcony przez Kościół rzymskokatolicki i wprowadziły się tam Siostry Miłosierdzia. - Pokiwał głowę z zadowoleniem. - Tak, myślenie ten klasztor znakomicie się nada.

- Jest tylko jeden problem, sir. Chciałbym przypomnieć, że to sprawa dla kontrwywiadu, więc powinna się nią zajmować wyłącznie sekcja MI 5 i Wydział Specjalny.

- Chyba że nie będzie o niczym wiedział. - Munro uśmiechnął się. - Kiedy zadzwoni Vargas, natychmiast się z nim spotkaj. Ka mu zaczeka trzy albo cztery dni, a potem niech powiadomi kuzyna, że przenosimy Steinera do klasztoru Najświętszej Marii Panny.

- Czy by chciał ich pan zachęcić do przeprowadzenia tej operacji, sir?

- Dlaczego nie, Jack? Mielibyśmy w garści nie tylko Devlina, ale i wszystkich jego współników. Nie może przecież działać sam. To otwiera przed nami bardzo wiele możliwości. No dobrze, idź już.

- Tak jest, sir.

Kiedy Carter ku tykał w kierunku drzwi, Munro dorzucił:

- Co za głupiec ze mnie. Zapominam o oczywistych sprawach. Walter Schellenberg będzie chciał znać źródło tej informacji. Musi to brzmieć przekonująco.

- Czy mógłby coś zaproponować, sir?

- Jak najbardziej.

- Jose Vargas jest czynnym homoseksualistą, sir, a w Tower pełni teraz służbę kompania szkockich gwardzistów. Powiedzmy, że Vargas zaprzyjaźnił się z jednym z nich w którymś z odwiedzanych przez ołnierzy pobliskich pubów.

- Bardzo dobry pomysł, Jack. Znakomity - pochwalił Munro. - A więc zajmij się tym.

Frear obserwował dyskretnie z hali portu lotniczego pod Lizboną, jak Schellenberg i Berger idą po płycie lotniska, a potem wsiadają do samolotu. Przyglądał się jeszcze, jak samolot kołuje, i wyszedł na postój taksówek dopiero wówczas, gdy odlecieli.

W pół godziny później zjawił się w klubie „wiatła Lizbony” i usiadł przy barze. Zamówił piwo, po czym zapytał barmana:

- Gdzie się podziewa nasz irlandzki przyjaciel?

- Ach, ten? Już go nie ma. - Barman wzruszył ramionami. - Były z nim same kłopoty. Szef go wywalił. Wczoraj wieczorem mieliśmy tu klienta. Miły facet, chyba Niemiec. Devlin zrobił mu awanturę. O mało się nie pobili. Trzeba ich było rozdzielać.

- Co podobnego - zdziwił się Frear. - Ciekawe, co będzie teraz robił.

- W Alfamie jest mnóstwo barów, señor - odparł barman.

- Tak, oczywiście ma pan rację. - Frear dokończył piwo. - No dobrze, pójdźmy.

Kiedy wyszedł, Devlin wychylił się zza kotary z koralików na zapleczu baru.

- Dzięki, Miguel. A teraz napijmy się na pożegnanie.

Było późne popołudnie. Kiedy zjawił się Carter, Munro siedział przy biurku w swoim gabinecie w centrali ZOS.

- Frear przysłał kolejną depesz, sir. Schellenberg odleciał dziś rano do Berlina, ale Devlin mu nie towarzyszył.

- Jeśli nie przeceniam jego sprytu, Jack, musiał wiedzieć od samego początku, kim jest Frear. Kiedy ktoś pełni funkcję doradcy wojskowego ambasady w takim miejscu, jak Lizbona, nie da się tego ukryć.

- Chce pan powiedzieć, że udał się do Berlina inną drogą, sir?

- Właśnie. Chociaż kluczy i kręty jak lis, wszystko na próżno. Munro uciekł.

- Mamy w garści River i Vargasa, a to oznacza, że będziemy zawsze o krok do przodu.

- Wiadomo, co teraz robimy, sir?

- Czekamy, Jack, po prostu czekamy na ich następny ruch. Zorganizowałem już spotkanie ze Steinerem?

- Tak, sir.

Munro podszedł do okna. Wskazywał na widząc, że deszcz z niebem zmienił się w ulewę.

- Zdaje się, że będziemy teraz mieli mgłę. Cholerna pogoda. - Westchnął ciężko. - Cóż to za wojna, Jack. Co za wojna!

Kiedy samochód przejechał przez Tower Hill, znad Tamizy nadciągnęła mgła.

- Jak przedstawia się tutaj sytuacja? - zapytał Munro.

- Cały teren jest strzeżony, panie generale. Nie wpuszcza się do środka zwiedzających, jak było przed wojną. O ile wiem, organizowane są czasem wycieczki dla alianckich żołnierzy.

- A halabardnicy?

- O, nadal są na miejscu i mieszkają z rodzinami w kwaterach. Cały teren był wielokrotnie bombardowany. Trzy razy, kiedy przebywał tu Rudolf Hess, przypomina pan sobie?

Zatrzymano ich koło wartowni, aby skontrolować przepustki. Potem pojechali dalej w głąb jak wata mgły, słysząc stłumione odgłosy ulicznego ruchu i jakby dźwięki syreny statku, płynącego Tamizą w kierunku morza.

Po następnej kontroli przejechali przez zwodzony most i bramę.

- Taki dzień nie skłania do szczególnego optymizmu - zauważył Munro.

Mgła przesłaniała niemal wszystko. Posuwali się naprzód, widząc tylko szare kamienne mury, a w końcu dotarli na wewnętrzny dziedziniec, tak samo pogroby we mgle.

- Szpital jest tam, sir - oznajmił Carter.

- Przygotowałem wszystko tak, jak kazałem?

- Tak, sir, chociaż niech mnie.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Jack, ale ta wojna to nic dobrego. Chodź, wysi dziemy tutaj i pójdziemy dalej piechotą.

- W porządku, sir.

Carter z trudem wysiadł za Munro, jak zwykle mając kłopoty z nogami. Mgła, gryzącą gardło jak opary kwasu.

- Szukajcie wrażenia, prawda? - stwierdził Munro. - Ta mgła przypomina zupę. Jak o niej mówił Dickens? Specyficznie londyńska?

- Chyba tak, sir.

- Co za cholerne miejsce, Jack - powiedział, gdy ruszyli naprzód. - Podobno strasz tu duchy. Ta nieszczęśliwa dziewczyna, lady Jane Grey i Walter Raleigh snują się ciemno po murach. Ciekawe, co na to Steiner?

- Nie przypuszczam, żeby mógł spać spokojnie, sir. W tym momencie wyłonił się z mgły jeden z czarnych kruków, z których słynie Tower, i zakrakał trzepocząc potężnymi skrzydłami. Munro gwałtownie się wzdygnął.

- Wynosi się, obrzydliwy potworze! - Przeszedł go dreszcz. - A nie mówiłem? To duchy zmarłych.

Niewielka szpitalna sala pomalowana była na ciemnozielony kolor. Stało w niej wieszak, kredens i szafa. Obok znajdowała się łazienka. Kurt Steiner siedział przy oknie w piżamie i aksamitnym szlafroku, czytając książkę. Okno było zakratowane, dawało się jednak otworzyć na zewnątrz. Lubił siedzieć w tym miejscu, gdy przy lepszej pogodzie mógł wyglądać na dziedziniec i widzieć Biały Wież. Dawało to złudzenie przestrzeni, a przestrzeń oznaczała wolność.

Zazgrzytały zasuwki przy masywnych drzwiach i w sali pojawił się andarm.

- Ma pan go, ci, pułkowniku. Wszedł Munro, a za nim Carter.

- Moście nas zostawić, kapralu - powiedział do andarma.

- Tak jest, sir. - Policjant wyszedł, zamykając drzwi na klucz.



Munro był w mundurze głównie po to, by wywrze odpowiednie wrażenie. Kiedy zrzucił wojskowy płaszcz, Steiner zauważył jego stopie i czerwone dystynkcje oficera sztabowego.

- Oberstleutnant Kurt Steiner? Steiner wstał z krzesła.

- «Panie generale.

- Nazywam się Munro, a to mój adiutant, kapitan Jack Carter.

- Panowie, już dawno podałem swoje nazwisko, stopie i numer - oznajmił Steiner. - Nie mam nic więcej do powiedzenia. Mogę co najwyżej wyrazić zdziwienie, że od tamtej pory nie usiłowano wydobyć ze mnie dalszych informacji. Przepraszam, że nie zaproponuję, byście panowie usiedli, ale mam tu tylko jedno krzesło.

Mówił doskonale po angielsku i Munro poczuł do niego sympatię.

- Jeśli pan pozwoli, usiądziemy na łódkę. Jack, pożycz pan pułkownika papierosem.

- Nie, dziękuję - odparł Steiner. - Kula w piersi to dobra wymówka, żeby rzucić palenie. Kiedy usiedli, Munro stwierdził:

- Znakomicie mówi pan po angielsku. Steiner uśmiechnął się.

- Z pewnościami pan wie, generale, że moja matka była Amerykanką, a w dzieciństwie spędziłem wiele lat w Londynie, kiedy ojciec pracował jako doradca wojskowy w niemieckiej ambasadzie. Uczyłem się w St. Paul's.

Miał dwadzieścia siedem lat i był w dobrej formie. Jedynie nieco zapadnięte policzki świadczyły o pobycie w szpitalu. Był zupełnie spokojny, lekko uśmiechnięty i emanowała z niego ta aura niezależności, którą Munro dostrzegał u wielu desantowców.

- Nie poddawano pana dalszym przesłuchaniom nie tylko ze względu na ciężki stan, w jakim się pan przez dłuższy czas znajdował - wyjaśnił Munro - lecz także dlatego, że wiemy wszystko, co trzeba, na temat „Operacji Orzeł”.

- Doprawdy? - zapytał oschle Steiner.

- Owszem. Pracuję w Zarządzie Operacji Specjalnych, pułkowniku. Naszym zadaniem jest zdobywanie informacji. Pewnie zdziwi pana fakt, że człowiekiem, którego próbował pan zastrzelić tamtej nocy w Meltham House, nie był Churchill.

Twarz Steinera wyrażała niedowierzanie.

- Co usiłuje mi pan wmówić? Co to za bzdury?

- To żadne bzdury - odezwał się Jack Carter. - Tym człowiekiem był niejaki George Howard Foster, znany w przemysłowej rewii jako Wielki Foster. Słynny parodysta.

Steiner zaś miał się bezradnie.

- Wspaniała historia! Co za cholerna ironia losu! Zdaje pan sobie sprawę? Gdyby wszystko się udało i gdyby my zabrali go ze sobą... Mój Boże, aktor rewiowy! Chciałbym zobaczyć wtedy minę tego drania Himmlera. - Uwiadomiwszy sobie, że za daleko się posuwa, zaczerpnął tchu i wziął się w garść. - I co dalej?

- Pański przyjaciel, Liam Devlin, został ranny, ale przeżył - powiedział Carter. - Wyszedł z holenderskiego szpitala i uciekł do Lizbony. O ile nam wiadomo, pana zastępca, Neumann, także żyje i przebywa w szpitalu.

- Podobnie jak pułkownik Max Radl, który zorganizował akcję - wtrcił się Munro. - Miał atak serca.

- A więc niewielu nas zostało - stwierdził beztrząsco Steiner.

- Jednego nie mogę zrozumieć, pułkowniku - powiedział Carter. - Wiemy, że nie jest pan nazistą. Zrujnował pan sobie karierę, próbując pomóc w Warszawie żydowskiej dziewczynie, a jednak wtedy w Norfolk usiłował pan pochwycić Churchilla.

- Jestem żołnierzem, panie kapitanie. Toczyła się gra. Przyzna pan, że to po prostu gra, prawda?

- Ale w końcu to ona panem zawładnęła - zauważył słusznie Munro.

- Co w tym rodzaju.

- A czy z całą sprawą nie miał nic wspólnego fakt, że pański ojciec, generał Karl Steiner, był więziony w berlińskiej kwaterze Gestapo przy Prinz Albrechtstrasse za współudział w spisku na życie Führera? - zapytał Carter.

Steiner zbladł.

- Kapitanie Carter, Reichsführer Himmler słynie z wielu rzeczy, ale miłosierdzie i współczucie są mu obce.

- A właśnie Himmler wszystkim kierował - powiedział Munro. - Zmusił Maxa Radia, by działał bez wiedzy admirała Canarisa. Nawet Führer nie miał pojęcia o całej sprawie. I nadal o niej nie wie.

- Nic mnie już nie zdziwi - stwierdził Steiner. Wstał, podszedł do ściany i odwrócił się. - No dobrze, panowie, o co właśnie ciwie chodzi?

- Oni chcą dostać pana z powrotem - wyjąknął Munro.

Steiner wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Nie mówi pan tego poważnie. Po co mieliby zawracać sobie głowy?

- Wiem tylko tyle, że Himmler chce pana stąd wydostać. Steiner ponownie usiadł.

- Ale to bzdura. Przy całym szacunku dla moich rodaków, nie słycha było jako , eby niemieckim je com udawało si ucieka z Anglii, przynajmniej od czasów pierwszej wojny.

- Znam jeden taki przypadek - powiedział Carter. - Pilot Luftwaffe, ale nawet on musiał zbiec z Kanady do Stanów, zanim Amerykanie przyst pili do wojny.

- Nie w tym rzecz - stwierdził Munro. - Nie mówimy o zwykłej ucieczce wi nia. Chodzi o spisek, je li chce pan to tak nazwa . O starannie zaplanowan operacj , któr organizuje generał Walter Schellenberg z SD. Zna go pan?

- Tylko o nim słyshałem - odparł bez namysłu Steiner.

- Oczywiście, akcj musi pokierowa odpowiedni człowiek i dlatego potrzebny jest Liam Devlin - dodał Carter.

- Devlin? - Steiner pokr cił głow . - Bzdura. Devlin to jeden z najwspanialszych ludzi, jakich znałem, ale nawet on nie potrafiłby mnie st d wydosta .

- No có , nie b dzie pan siedział tutaj. Przenosimy pana do Wapping. Do klasztoru Naj wi tszej Marii Panny. Pó niej pozna pan szczegóły.

- Nie, nie wierz . To jaka sztuczka - powiedział Steiner.

- Wielkie nieba, człowieku, a jak mogliby my mie z tego korzy ? - zapytał Munro. - W ambasadzie hiszpa skiej w Londynie pracuje niejaki Jose Vargas, radca handlowy. Czasem dla pieni dzy dostarcza informacji waszym ludziom. Ma kuzyna w ambasadzie hiszpa skiej w Berlinie i działa za jego po rednictwem, korzystaj c z poczty dyplomatycznej.

- Widzi pan, my tak e go opłacamy - wyja nił Carter. - Niemcy skontaktowali si z nim, o wiadczyli, e chc pana uwolni , i poprosili o szczegółowe informacje na temat miejsca pa skiego pobytu.

- A my wszystko mu powiedzieli my - wtr cił Munro. - Zna nawet pa ski nowy adres w klasztorze.

- Teraz rozumiem - odparł Steiner. - Pozwolicie im realizowa plan i Devlin zjawi si w Londynie. B dzie, oczywiście, potrzebował pomocy innych agentów czy kogo tam, a wy w stosownej chwili wszystkich ich zaaresztujecie.

- Tak, to jeden z wariantów - przyznał Munro. - Oczywiście, istnieje jeszcze inna mo liwo .

- Cóż takiego?

- Pozwol po prostu, eby akcja si powiodła. Ucieknie pan do Niemiec...

- I tam b d pracował dla pana? - Steiner pokr cił głow . - Niestety, panie generale, kapitan Carter miał racj . Nie jestem nazist , ale nie przestałem by ołnierzem - niemieckim ołnierzem. Trudno by mi było pogodzi si z rol zdrajcy.

- Czy pana zdaniem pa ski ojciec i inni byli zdrajcami, poniewa próbowali pozby si Führera? - zapytał Munro.

- To inna sprawa, gdy Niemcy staraj si rozwi za własne problemy.

- Subtelna ró nica. - Munro odwrócił si i dał znak Jackowi. Carter podszedł do drzwi i zastukał. W wej ciu pojawił si andarm. Munro wstał i rzekł:

- Pozwoli pan ze mn , pułkowniku. Chciałbym panu co pokaza .

Zdaniem Adolfa Hitlera zdrajca nie miał prawa do godnej mierci. aden oficer, skazany za udział w spisku na jego ycie, nie stawał przed plutonem egzekucyjnym. Statutowa kara przewidywała mier przez powieszenie, zazwyczaj na rze niczym haku. Nierzadko stosowano strun z fortepianu. Agonia skaza ców trwała na ogół długo i wygl dała cz sto wyj tkowo nieprzyjemnie. Führer kazał utrwała wszystkie tego typu egzekucje na filmie. Niektóre były tak wstrz saj ce, e nawet Himmler wychodził podobno z pokazów, nie mog c opanowa mdło ci.

Film, który wy wietlano wła nie w du ym magazynie na ko cu korytarza, był nie najlepszej jako ci. Obraz migotał i miał zamazane kontury. Młody sier ant wywiadu, niewidoczny w ciemno ci za aparatem projekcyjnym, wykorzystywał pomalowan na biało cian jako ekran. Steiner siedział samotnie na krze le, a Munro i Carter stali za nim.

Niesiony przez dwóch esesmanów generał Karl Steiner zmarł wcze niej na atak serca, co w całej tej sprawie stanowiło jedyn pociech . Powiesili go jednak na haku i odeszli. Przez moment kamera pokazywała kołysz c si lekko na boki posta , która wzbudzała lito , a potem obraz znikn ł z ekranu.

Operator wł czył wiatło. Kurt Steiner wstał, odwrócił si i bez słowa ruszył do drzwi. Otworzywszy je min ł andarma i poszedł korytarzem do swego pokoju. Munro i Carter pod yli za nim. Kiedy weszli do sali, Steiner stał przy oknie, zaciskaj c dłonie na kratkach i wygl daj c na zewn trz. Po chwili odwrócił si , bardzo blady.

- Wiecie, panowie, chyba ju pora, ebym znów zacz ł pali . Jack Carter wygrzebał papierosa z paczki playersów i podał mu ogie .

- Bardzo mi przykro - odezwał si Munro - ale powinien pan wiedzie , e Himmler nie dotrzymał słowa.

- Niech pan da spokój, generale - odparł Steiner. - Wcale nie jest panu przykro. Chciał mi pan co zademonstrowa i zrobił pan to. Nigdy nie wierzyłem, bym swoim post powaniem

mógł wpłynąć w jakikolwiek sposób na ocalenie życia ojcu. Jeśli chodzi o Himmlera, dotrzymanie obietnicy ma dla niego niewielką wartość.

- Co pan teraz powie?

- A więc dochodzimy do sedna sprawy? Czy teraz, w porywie gniewu, zaoferuję swoje usługi aliantom? Czy pozwoli się wywieźć do Niemiec, by przy pierwszej nadarzy się okazji dokonać zamachu na Hitlera? - Pokręcił głowę. - Nie, panie generale. Będzie mnie to kosztowało kilka bezsennych nocy, bym może nawet poprosił o wizytę księdza, ale istota sprawy pozostaje ta sama. Mój ojciec brał udział w spisku na życie Hitlera jako Niemiec. Robił to dla kraju.

- Tak, nie da się ukryć - odezwał się Carter. Steiner odwrócił się do niego.

- Musi pan więc również zdawać sobie sprawę, że przystając na propozycję generała zdradziłbym ideały ojca, za które oddał życie.

- W porządku - powiedział Munro wstając. - Tracimy tylko czas. W Nowy Rok przeniesiemy pana, pułkownika, do klasztoru Najświętszej Marii Panny. Pański przyjaciel, Devlin, nie może mieć, oczywiście, nadziei na wydostanie pana, ale bardzo byśmy chcieli, aby podjął tak próbę. - Odwrócił się do Cartera. - Ruszamy w drogę, Jack.

- Jeszcze jedna sprawa, generale, jeśli można - powiedział Steiner.

- Słucham?

- Chodzi o mój mundur. Chciałbym przypomnieć, że zgodnie z Konwencją Genewską mam do niego prawo. Munro spojrzał na Cartera, który odrzekł:

- Trzeba było go zszokować, pułkowniku, i wyczyścić. Zadbam o to, by dotarł do pana jeszcze dzisiaj, oczywiście ze wszystkimi odznaczeniami.

- A więc dobrze - powiedział Munro i wyszedł. Carter wyjął paczkę papierosów i pudełko zapalek, kładąc je na szafce.

- Wspomniał pan o księdzu! Postaram się, aby tu przyszedł, jeśli trzeba.

- Dam panu znać.

- Przysłał mi więcej papierosów?

- Lepiej nie. Ten zupełnie mi nie smakował. - Steiner zdobył się na uśmiech.

Carter podszedł do drzwi, ale zatrzymał się jeszcze i odwrócił.

- Jeśli to w czym pomoże, pułkowniku, pański ojciec zmarł prawdopodobnie na atak serca. Nie wiem tylko, w jakich okolicznościach.

- Och, jestem w stanie je sobie wyobrazić, ale mimo wszystko dziękuję - odparł Steiner.

Stał spokojnie, trzymając ręce w kieszeniach szlafroka. Carter, nie mając już nic więcej do powiedzenia, wyszedł na korytarz i pospieszył za Munro.

Kiedy jechali we mgle przez Tower Hill, Munro zapytał:

- Nie pochwalasz tego, co zrobiłem, prawda, Jack?

- Nie bardzo, sir. Moim zdaniem to zbyt skuteczne okrucieństwo.

- No cóż, mówiłem ci już, że ta wojna nie jest miła. Teraz przynajmniej wiemy, czego możemy oczekiwać od naszego przyjaciela Steinera.

- Chyba tak, sir.

- A co do Devlina, jeżeli będzie na tyle szalony, aby podjąć się tej akcji, niech się zjawi, kiedy chce. Skoro Vargas donosi nam o kałamie jego posunięciu, na pewno sobie poradzimy. Usadził się wygodnie i przysnął.

Właśnie w Nowy Rok Devlin dotarł wreszcie do Berlina. Przez dwa dni czekał na miejsce w ekspresie z Madrytu do Paryża. Tam, dzięki otrzymanym od Schellenberga pełnomocnictwom, dostał się do pociągu ekspresowego do Berlina, ale bombowce B 17 z amerykańskiej Ósmej Jednostki Sił Powietrznych, która działała z terytorium Anglii, wyrzuciły poważne szkody na stacji rozrządowej we Frankfurcie i większość pociągów z Francji i Holandii musiano kierować do Niemiec innymi trasami.

W Berlinie była fatalna pogoda. Zima pokazywała swoje kaprysy: lekki opad niegłuch przechodził w deszcz ze śniegiem, a potem w ulewę. Devlin, mając na sobie garnitur stosowniejszy w klimacie Portugalii, zdołał co prawda zaopatrzyć się w Paryżu w nieprzemakalny płaszcz, ale gdy przeciskał się przez tłum na dworcu w Berlinie, był zmarznięty i nieszczęśliwy.

Ilse Huber, która stała przy barierce obok stanowiska kontroli dokumentów, rozpoznała go od razu dzięki fotografii z akt. Załatwiła już wszystko z pełnym służbowym sierżantem i kiedy Devlin podszedł bliżej, niosąc torby i przygotowane do okazania papiery, natychmiast wkroczyła do akcji.

- Herr Devlin? Proszę tu dy. - Wyciągnęła rękę. - Jestem Ilse Huber, sekretarka generała Schellenberga. Kiepsko pan wygląda.

- I fatalnie się czuję.

- Czeka na nas samochód - oznajmiła.

Był to mercedes, limuzyna z umieszczonym na widocznym miejscu proporczykiem SS.

- Przypuszczam, że dzięki temu ludzie szybko usuwają się z drogi - stwierdził Devlin.

- Na pewno si przydaje - odparła. - Generał Schellenberg miał obawy, e ta pogoda mogła pana zaskoczy .

- Wcale si pani nie myli.

- Zabior pana do sklepu z u ywan odzie . Dostaniemy tam wszystko, czego panu potrzeba. Poza tym musi si pan gdzie zatrzyma . Mam mieszkanie niedaleko od głównej kwatery. S tam dwie sypialnie. Mo e pan zaj jedn z nich na czas pobytu w Berlinie, je li b dzie panu odpowiadała.

- Wa niejsze, czy pani to odpowiada? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

- Panie Devlin, mój m zgin ł podczas Kampanii Zimowej w Rosji. Nie mam dzieci. Matk i ojca zabiły bomby RAF-u w Hamburgu. ycie mogłoby by nie do zniesienia, gdyby nie jedna sprawa. Pracuj c dla generała Schellenberga jestem zwykle zaj ta co najmniej szesna cie godzin na dob , wi c prawie nie bywam w domu.

U miechn ła si i Devlin poczuł do niej sympati .

- A wi c zgoda. Ma pani na imi Ilse, prawda? Pojed my po te ubrania. Czuj si tak, jakby niektóre cz ci ciała zamarzły mi na ko .

Kiedy w czterdzie ci minut pó niej wyszli ze sklepu z u ywan odzie , do którego go zabrała, miał na sobie tweedowy garnitur, sznurowane buty, si gaj cy prawie do kostek gruby płaszcz, r kawiczki i filcowy kapelusz.

- Nareszcie jest pan odpowiednio zaopatrzone, eby prze y stycze w Berlinie - stwierdziła.

- Dok d teraz, do pani mieszkania?

- Nie, pojedziemy tam pó niej. Generał Schellenberg chce jak najszybciej pana widzie . Jest teraz na Prinz Albrechtstrasse.

Schodz c po stromych stopniach, Devlin usłyszał odgłosy wystrzałów.

- A có to takiego?

- Strzelnica w podziemiach - wyja niła Ilse. - Generał nie chce wyj z wprawy.

- Radzi sobie jako ?

Wydawała si niemal zaszokowana tym pytaniem.

- Nie ma sobie równych! Nigdy nie widziałam, by kto strzelał lepiej od niego.

- Czy by? - Devlin nie był o tym przekonany.

Ale w chwil pó niej, gdy otworzyli drzwi i weszli do rodka, miał podstawy, by zrewidowa swoj opini . Schellenberg strzelał do serii tekturowych postaci, przedstawiaj cych rosyjskich ołnierzy. Przygl dał si temu starszy sier ant SS, który najwyra niej miał tam słu b .

Schellenberg strzelił do trzech kolejnych postaci, umieszczając po dwie kule dokładnie w miejscu serca. Kiedy przerwał, by ponownie załadować broń, zauważył ich obecność.

- A, pan Devlin. Wiem wreszcie pan tu dotarł.

- To była koszmarna podróż, panie generale.

- Widz, że Ilse zajęła się pańską garderobą.

- A po czym pan to poznał? - zapytał Devlin. - Chyba tylko po zapachu naftaliny.

Schellenberg rozejrzał się, załadowując ponownie swego mauzera.

- Schwarz - zwrócił się do starszego sieranta - znajdźcie coś dla pana Devlina. Zdaje się, że całkiem nieźle strzela.

Schwarz wepchnął magazynek do kolby walthera PPK i wręczył go Irlandczykowi.

- W porządku? - zapytał Schellenberg.

- Pański strzał, generale.

Ukazały się nowe tarcze. Schellenberg oddał błyskawicznie sześć strzałów i znów kałda z trzech postaci miała w okolicach serca po dwie dziury.

- No proszę! - powiedział Devlin, po czym wyprostował rękę i wystrzelił trzy pociski w takim tempie, że brzmiało to niemal jak jeden strzał. Na czole kałdej z trzech postaci pojawił się otwór.

Odłoczył walthera, a Ilse Huber powiedziała z podziwem:

- Mój Boże!

Schellenberg podał swój pistolet Schwarzowi.

- Przejawia pan wybitne zdolności, panie Devlin.

- To raczej przeładujca mnie wybitnie kłótnia. Co dalej, panie generale?

- Reichsführer zaczął sobie pana widzieć. Devlin jęknął.

- Podczas naszego ostatniego spotkania nie przypadłem mu do gustu. Co za masochista! No dobrze, załatwmy to.

Mercedes skręcił z Wilhelmplatz w Yosstrasse i pojechał w kierunku Kancelarii Rzeszy.

- Jak przedstawiają się sprawy? - zapytał Devlin.

- To już nie te czasy, gdy Goering twierdził, że jeśli na Berlin spadnie choć jedna bomba, możemy mówić do niego Meier.

- A więc się pomylił?



- Obawiam się, że tak. Führer kazał zbudować pod Kancelarią bunkier. To podziemne centrum dowodzenia. Beton ma trzydzieści metrów grubości, więc ci z RAF-u mogą sobie zrzucić tyle bomb, ile zechcą.

- Czy by to miał być jego ostatni bastion? - zapytał Devlin. - Z płynąc z głosił muzykę Wagnera?

- No cóż, wolimy się nad tym nie zastanawiać - stwierdził Schellenberg. - Wam niejsze osobistości mają tam na dole rezerwowe kwatery. Oczywiście Reichsführer również.

- I co dalej? Spodziewaj się, że RAF zbombarduje dziś w nocy miasto, czy jak?

- Nie będzie tak ciekawie. Führer lubi od czasu do czasu zwoływać zebrania sztabu w pokoju operacyjnym. Potem zaprasza wszystkich na obiad.

- W tych podziemiach? - Devlina przeszedł dreszcz. - Wolałbym poprzestać na kanapce z mielonką.

Kiedy mercedes podjechał do rampy, podszedł do nich wartownik z SS. Mimo generalskiego munduru Schellenberga zostali przepuszczeni dopiero po dokładnej kontroli dokumentów.

Devlin podał za Schellenbergiem wzdłuż korytarza. Szli w półmroku wśród betonowych ścian, słysząc cichy szum elektrycznych wentylatorów i czując od czasu do czasu podmuch zimnego powietrza. Tu i ówdzie pełnili straż esesmani, ale obecność innych osób pozostawała dla nich niezauważalna. Nagle otworzyły się jakieś drzwi i wyłonił się z nich młody kapral, a za jego plecami Devlin dostrzegł pokój, który wypełniały urzędnicy i obsługujący je ludzie.

- Myliłby się pan szczerze, że nikogo tu nie ma - powiedział Schellenberg. - Wokoło jest mnóstwo różnych pomieszczeń. W takich salach, jak to centrum dowodzenia, przebywa kilkaset osób.

W głębi korytarza otworzyły się kolejne drzwi i Devlin zobaczył ze zdumieniem, że wychodzi z nich Hitler w towarzystwie barczystego, dosyć krępego młodego człowieka w mało efektownym mundurze. Kiedy podeszli bliżej, Schellenberg odsunął Devlina na bok i stanął na baczność. Führer, który mówił coś cicho do swego towarzysza, przeszedł obok i zaczął iść w dół schodami na drugim końcu korytarza, w ogóle nie zwracając na nich uwagi.

- Ten człowiek, który z nim był, to Borman - wyjąknął Schellenberg. - Reichsleiter Martin Borman. Szef Kancelarii Partii Narodowych Socjalistów. Ma ogromną władzę.

- A więc to był Führer - odezwał się Devlin. - Dotknęłam niemal rękawki jego szaty. Schellenberg uśmiechnął się.

- Zastanawiam się czasem, przyjacielu, jakim cudem żyje pan tak długo.

- No cóż, chyba dzięki temu, że jestem przystojny, generale.

Schellenberg zastukał do drzwi, otworzył je i wprowadził Devlina do rodzka. W kącie siedziała przy maszynie do pisania młoda kobieta w mundurze służby pomocniczej SS. Pozostałe części pokoju zajmowały w większości szafy z kartotekami i biurko, przy którym siedział Himmler, przeglądając jakieś akta. Podniósł wzrok i zdjął binokle.

- A więc zjawił się wreszcie, generale.

- Niech Bóg was wszystkich błogosławi - odezwał się Devlin pogodnym tonem.

Himmler skrzywił się i powiedział do dziewczyny:

- Proszę nas zostawić. Wróci pani za kwadrans. - Kiedy wyszła, ciągnął dalej: - Oczekiwałem, że wczynie się pan w Berlinie, Herr Devlin.

- Wasza kolej miała, zdaje się, jakieś problemy z RAF-em - oznajmił Devlin zapalając papierosa głównie dlatego, że wiedział, jak bardzo Himmler nie znosi tego nałogu.

Himmler był rozdrażniony, ale nie zabronił mu palić. Powiedział natomiast do Schellenberga:

- Zdaje się, że stracił pan już niepotrzebnie dużo czasu, generale. Dlaczego Herr Devlin nie przyleciał z Lizbony razem z panem?

- Och, pan generał bardzo się starał - oznajmił Devlin. - Ale miałem już inne plany na wieczór. Pan generał okazał się naprawdę rozsądny. W przeciwieństwie do tego drugiego faceta, Bergera. Zupełnie nie mogłem się z nim dogadać.

- Słyszałem - odrzekł Himmler. - To zresztą bez znaczenia, gdy Sturmbannführer Berger ma teraz inne obowiązki. - Oparł się o krzesło. - A więc pańskim zdaniem ta akcja jest wykonalna? Wierzy pan w możliwość uwolnienia Steinera?

- Trzeba opracować odpowiedni plan - odparł Devlin - ale nie ma rzeczy niemożliwych. Himmler pokiwał głową.

- To byłaby dla nas wszystkich niezwykła operacja.

- Niewykłuczone - stwierdził Devlin. - Martwi mnie tylko, jak wyjść z tego całości. Poprzednim razem ledwo uszedłem z życiem.

- Dobrze panu wtedy zapłacono i proszę nie zapominać, że tym razem będzie podobnie.

- To prawda - przyznał Devlin. - Jak mawiała moja stara matka, pieniądze mnie wykończą.

Himmler wydawał się maksymalnie rozdrażniony.

- Czy wy, Irlandczycy, nie traktujecie niczego poważnie?

- Odpowiedziałem ju na to pytanie, kiedy miałem ostatnio przyjemno spotka si z wasz wysoko ci . Wszystko z powodu deszczu.

- Och, niech pan go st d zabierze - rozkazał Himmler. - I prosz zaj si t spraw , generale. Nie musz chyba dodawa , e oczekuj regularnych sprawozda o post pie przygotowa .

- Tak jest, Reichsfuhrer - powiedział Schellenberg, wskazuj c Devlinowi drzwi.

Irlandczyk szeroko si u miechał.

- Nie le si ubawiłem - powiedział, rzucaj c papierosa na podłog i rozdeptuj c go. W tej samej chwili zza rogu wyłonił si Berger. Niósł pod pach zwini t map .

Był w mundurze i miał Krzy e elazne I i II klasy. Na ich widok przybrał sztywn postaw . Devlin powitał go wesoło:

- Pi knie, synu, ale wygl da mi na to, e kto popsuł ci aparycj .

Berger był bardzo bład i chocia opuchni cie ust piło, dało si zauwa y , e ma złamany nos. Nie zwracaj c uwagi na Devlina, powitał Schellenberga skinieniem głowy, po czym min ł ich i zastukał do drzwi gabinetu Himmlera.

- Musi mie si z pyszna - zauwa ył Devlin.

- Tak. - Schellenberg pokiwał głow . - To ciekawe.

-.Dok d teraz? Do pa skiego biura?

- Nie, wystarczy, jak pojedziemy tam jutro. Zabior pana na obiad, a potem podruc do mieszkania Ilse. Niech pan si dobrze wy pi, a rano we miemy si do pracy.

Kiedy dotarli do wylotu tunelu, Devlin poczuł powiew wie ego powietrza i gł boko odetchn ł.

- Dzi ki Bogu - powiedział i nagle zacz ł si mia .

- O co chodzi? - zdziwił si Schellenberg.

Devlin wskazał wisz cy na cianie plakat, na którym widniała do wyidealizowana posta ołnierza SS, a umieszczony poni ej napis głosił: „U kresu czeka zwyci stwo”.

Devlin znowu si za miał.

- Niech Bóg ma nas w opiece, generale. S ludzie, którzy uwierz we wszystko.

Stan wszy przed biurkiem Himmlera Berger strzelił obcasami.

- Mam tu plan Chateau de Belle-Ile, Reichsfuhrer.

- Znakomicie - odparł Himmler. - Prosz mi go pokaza . Berger rozwin ł map , a Reichsfuhrer dokładnie si jej przyjrzał.

- Dobrze. Bardzo dobrze. - Podniósł wzrok znad biurka. - Zajmie si pan wszystkim osobi cie, Berger. Ilu ludzi proponuje pan do gwardii honorowej?

- Dwudziestu pi ciu. Najwy ej trzydziestu, Reichsfuhrer.

- Był pan tam ju ? - zapytał Himmler.

- Przedwczoraj poleciałem do Cherbourga i stamt d podjechałem do zamku. Jest bardzo okazały. Nale y do francuskich arystokratów, którzy uciekli do Anglii. W tej chwili mieszka tam tylko dozorca z on . Poinformowałem go, e zajmiemy niedługo zamek, nie podaj c, rzecz jasna, powodu.

- Znakomicie. W ci gu najbli szych tygodni nie ma potrzeby si tam pokazywa . Innymi słowy, prosz czeka do ostatniej chwili z przeje ciem zamku. Wie pan, jaki jest ten tak zwany francuski ruch oporu. Sami terrory ci. Podkładaj bomby, zabijaj ... - Zwin ł plan i oddał go Bergerowi. - B d co b d , b dziemy podczas tej konferencji bezpo rednio odpowiedzialni za ycie Führera, majorze. To wi ty obowi zek.

- Oczywiście, Reichsfuhrer.

Berger strzelił obcasami i wyszedł. Himmler wzi ł do r ki pióro i znowu zaczą ł co pisa .

Kiedy mercedes jechał wzdłu Kurfurstendamm, znowu zaczą ł pada nieg. Wsz dzie wida było lady bombardowa , a zaciemnienie i zapadaj cy zmierzch nie nastrajały optymistycznie.

- Prosz spojrze - powiedział Schellenberg. - To było kiedy wspaniałe miasto. Słyn ło ze sztuki, muzyki, teatru. I z nocnych klubów, panie Devlin. „Raj” i „Bł kitny Nil”. Zawsze było tam pełno najpi kniej ubranych transwestytów, jakich mo na sobie wyobrazi .

- Nigdy w tym nie gustowałem - stwierdził Devlin.

- Ani ja. - Schellenberg wybuchn ł miechem. - Zawsze byłem zdania, e wiele trac . Ale teraz pora co zje . Jest tu niedaleko, w bocznej uliczce, niewielka restauracja, całkiem niezła. Czarny rynek, ale znaj mnie tam, a to pomaga.

Przytulny lokal mie cił najwy ej tuzin stolików. Prowadziło go mał e stwo, najwyra niej dobrze znaj ce Schellenberga. Generał przeprosił za brak kanapek z mielonk , zamówił natomiast rosół z baraniny, mi so jagni cia, ziemniaki z kapust , a do tego butelk re skiego wina.

Wn ka, w której siedzieli, pozwalała na do swobodn rozmow , kiedy wi c sko czyli posiłek, Schellenberg zapytał:

- Naprawd pan uwa a, e ta akcja jest wykonalna?

- Nie ma rzeczy niemo liwych. Pami tani taki przypadek z czasów rewolucji irlandzkiej. To było w tysi c dziewi set dwudziestym. „Czarno-brunatni” schwytali Michaela Fitzgeralda, znanego przywódc IRA. Trzymali go w wi zieniu Limerick. Niejaki

Jack O'Malley, który służył w armii brytyjskiej we Flandrii w stopniu kapitana, wyciągnął stary mundur, przebrał pół tuzina swoich ludzi za żołnierzy i poszedł do więzienia Limerick z fałszywym rozkazem, że Fitzgerald ma być przeniesiony do zamku w Dublinie.

- I udało się ?

- Bez problemu. - Devlin rozlał do dwóch szklanek resztę wina. - Pozostaje jednak pewien problem. Bardzo istotny.

- Co takiego?

- Vargas.

- Przecież to już załatwione. Powiedzieli mi, że oczekujemy dokładnych informacji, dokąd zamierzają przenieść Steinera.

- Jest pan przekonany, że to zrobi ?

- Na pewno. Nie będzie trzymał go dłużej w Tower. To bez sensu.

- Myśli pan zatem, że Vargas przekaza nam prawdziwe informacje? - Devlin pokręcił głową. - Musi być dobry.

- Abwehra potwierdziła, że w przeszłości ci nigdy nie nawalał. To hiszpański dyplomata, panie Devlin, człowiek o uprzywilejowanej pozycji. Nie jest zwyczajnym agentem. Jego kuzyn, ten Rivera, został dokładnie sprawdzony.

- W porządku, jestem skłonny się zgodzić. Powiedzmy, że Rivera jest czysty jak łaźnia, ale kto sprawdza Vargasa? Zupełnie nikt. Rivera to tylko kanał, przez który przepływają informacje, a co będzie, jeżeli Vargas okaże się kim innym?

- Sądzi pan, że to sprytny pomysł brytyjskiego wywiadu, żeby nas zwabił ?

- Cóż, spójrzmy na sprawę z ich punktu widzenia. Agent, który trafi do Londynu, będzie tam potrzebował pomocy jakiejś organizacji. Na miejscu brytyjskiego dowództwa zarzuciłbym przynętę, pozwolił na rozpoczęcie akcji, a potem aresztował wszystkich po kolei. Byłby to dla nich nie lada wyczyn.

- Czy by się pan rozmyślił? Nie chce pan już tam jechać ?

- Wcale tak nie jest. Ale jeżeli mam to zrobić, muszę zakładać, że na miejscu będzie mnie oczekiwać. Że Vargas nas sprzedał. A to całkowicie odmienna sytuacja.

- Mówi pan poważnie? - zapytał Schellenberg.

- Wyszędłbym na idiotę, gdyby my zorganizowali wszystko zakładając, że Vargas jest po naszej stronie, a na miejscu okazałoby się coś innego. Taktyka, panie generale - tego nam trzeba. Jak w szachach. Trzeba mi z góry przemyślane trzy kolejne ruchy.

- Niezwykły z pana człowiek, panie Devlin - powiedział Schellenberg.

- W czasach mojej wietno ci byłem geniuszem - odparł skromnie Devlin.

Schellenberg zapłacił rachunek i opuścił lokal. Kiedy szli do samochodu, nadal prószył nieg.

- Zabior pana teraz do mieszkania Ilse i spotkamy się rano. - W tym momencie zabrzmiały syreny. Schellenberg zawołał na kierowcę, po czym, zwracając się do Devlina, dodał: - Chyba wrócimy jednak do restauracji i posiedzimy w piwnicy jak inni rozsądni ludzie. Jest całkiem wygodna. Już tam kiedy byłem.

- Dlaczego nie - odparł Devlin, zwracając się razem z nim. - Kto wie, może znajdzie się dla nas jaka buteleczka.

Za nimi słychać już było odgłosy wystrzałów, dudniące jak grzmoty na obrzeżach miasta.

Kiedy dojechali do biura Schellenberga przy Prinz Albrechtstrasse, poranne powietrze przesycone było dymem.

- Zdaje się, że dziś w nocy nie pudłowali - powiedział Schellenberg.

- Nie myli się pan - odparł Devlin.

Otworzyły się drzwi i Ilse Huber skinęła im głową na powitanie.

- Jest pan, generale. Trochę się już martwiłam.

- Pan Devlin i ja spędziliśmy noc w piwnicy tej restauracji przy Marienstrasse.

- Rivera jest w drodze - oznajmiła.

- O, to dobrze. Niech go pani poprosi, kiedy się zjawi.

Wyszła, a w dziesięć minut później wprowadziła Rivera do gabinetu. Hiszpan stanął przed nimi, mrużąc w rzęskach kapelusza i spoglądając nerwowo na Devlina.

- Może pan swobodnie mówić - zapewnił go Schellenberg.

- Dostałem znowu wiadomość od mojego kuzyna, panie generale. Twierdzi, że przenoszą Steinera z Tower do klasztoru pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny.

- Przekazał panu, gdzie to jest?

- Powiedział tylko, że w Wapping, nad rzeką.

- Niezwykły człowiek z tego pańskiego kuzyna - wtrącił Devlin - skoro z tak łatwo ci zdobył tak ważne informacje. Rivera uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Jose jest pewien, że są prawdziwe, senor. Dostał je od przyjaciela z gwardii szkockiej, którego kompania pełniła niegdyś w Tower. Ci ołnierze bywają w okolicznych pubach, a mój kuzyn... - Rivera wzruszył ramionami. - To trochę delikatna sprawa.

- Tak, rozumiemy, panie Rivera. - Schellenberg pokiwał głową. - W porządku, na razie może pan odejść. Dam znać, kiedy będzie pana potrzebował.

Ilse odprowadziła go do drzwi i zaraz wróciła.

- Ma pan dla mnie jakie zlecenia, generale?

- Tak, prosz odszuka w aktach jeden z tych skorowidzów nazw. Wie pani, o co chodzi. Szczegółowy spis ulic i dzielnic Londynu. Mo e znajdzie tam pani to miejsce.

Po jej wyj ciu Devlin powiedział:

- Był taki okres, kiedy dobrze znałem Wapping.

- Działaj c w IRA?

- Chodziło o zamachy bombowe. Paru twardych facetów zawsze musiało by w akcji. Rzuciliby bomb nawet na papie a, gdyby uznali, e to pomo e sprawie. W tysi c dziewi set trzydziestym szóstym pewne komando podło yło jeden czy dwa ładunki w Londynie. Wie pan, jak to wygl da. Gin kobiety, dzieci, przypadkowi przechodnie. Byłem wówczas odpowiedzialny za przestrzeganie dyscypliny i szefowie domagali si , eby sko czy z tymi akcjami. Rozumie pan, robiły nam fataln reklam .

- I wła nie wtedy trafił pan do Wapping?

- Miałem tam znajomego z czasów młodo ci, jeszcze z County Down. Był wła ciwie przyjacielem mojej matki.

- Kto to taki?

- Michael Ryan. Ukrywał u siebie ludzi. Nie brał udziału w adnych akcjach. Był w pełnej konspiracji.

- Zrobił pan porz dek z tym komando?

- Było ich tylko trzech. - Devlin wzruszył ramionami. - Nie dali si przekona . Potem pojechałem do Hiszpanii. Wst piłem do Brygady Lincolna-Waszyngtona i powalczyłem troch przeciwko Franco, dopóki Włosi nie wzi li mnie do niewoli. Wyci gn ła mnie stamt d Abwehra.

- A ten pa ski znajomy z Wapping, ten Ryan. Ciekaw jestem, co si z nim stało.

- Przypuszczam, e stary Michael ci gle si ukrywa i woli o niczym nie wiedzie . Taki ju jest. Nie popierał stosowania przemocy. Kiedy w czterdziestym pierwszym Abwehra wysłała mnie do Irlandii, spotkałem w Dublinie jego znajomego. Z tego, co mi mówił, wynika z cał pewno ci , e IRA nie wykorzystywała Micka do zamachów bombowych w Anglii na pocz tku wojny.

- Czy to si nam mo e przyda ? - zapytał ostro nie Schellenberg.

- Mój Bo e, panie generale, czy nie dzieli pan skóry na nied wiedziu?

W tym momencie zjawiała si Ilse z pomara czow ksi k .

- Znalazłam, panie generale. Klasztor Najświętej Marii Panny w Wapping. Proszę zobaczyć, to tu nad brzegiem Tamizy. Schellenberg i Devlin przyjrzyli się mapie.

- Niewiele nam to da - stwierdził Devlin. Schellenberg pokiwał głową.

- Co mi się właściwie nie przypomniało. „Operacja Lew Morski” z tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

- Ma pan na myśli tę inwazję, do której nigdy nie doszło?

- Owszem. Dokładnie jej jednak zaplanowano. Jednym z zadań, jakie otrzymała SD, było sporządzenie szczegółowego planu Londynu. Chodziło o przydatność określonych budynków na wypadek, gdyby miasto znalazło się pod okupacją.

- Jednym słowem o miejsca nadające się na siedzibę Gestapo czy coś w tym rodzaju? Schellenberg uśmiechnął się przyjaźnie.

- Właśnie. Do archiwum trafiła lista kilkuset takich miejsc. Łącznie z planami, jeżeli tylko dało się je zdobyć. - Zwrócił się do Ilse Huber. - Proszę to sprawdzić.

- W tej chwili, panie generale.

Devlin siedział przy oknie, a Schellenberg za biurkiem. Zapalili papierosy i Schellenberg powiedział:

- Powiedział pan wczoraj w nocy, że woli pan się liczyć ze zdrajcą Vargasem.

- Zgadza się.

- Wić co pan zrobi? Jak pan to rozegra?

- Nic prostszego. Podczas wczorajszego nalotu miałem przebłysk geniuszu, panie generale. Nie powiemy Vargasowi, że tam jadł.

- Nie bardzo rozumiem.

- Wydobądźmy od niego niezbędną informację. Prawdopodobnie mówiąc, mamy ich już chyba wystarczająco dużo. Potem, raz w tygodniu, Rivera będzie na pańskie polecenie prosił o dalsze szczegóły. Jaki Steiner ma tam rozkład dnia, jak zmieniają się strażnicy, i tak dalej. Tyle że ja byłam wtedy w Londynie. No cóż, Walterze, musi pan przyznać, mój stary, że nie leżało to w moim interesie.

Schellenberg załamywał sobie ręce, a potem wstał z krzesła.

- Bardzo dobrze. Cholernie błyskotliwy pomysł. Zejdźmy do kantyny i napijmy się w nagrodę kawy.

Nieco później Schellenberg zadzwonił po samochód i pojechali razem do Tiergarten. Gdy spacerowali wokół jeziora, pod ich nogami chrzęściły liście.

- Jest jeszcze jeden problem - powiedział Devlin. - Kiedy byłem w Norfolk, wpadli na mój trop ludzie z Wydziału Specjalnego. Na szczęście trochę się spóźnili, ale fakt jest faktem.



A wszystko głównie dlatego, że jako Irlandczyk musiałem wypełnić na policji druk meldunkowy dla cudzoziemców i załatwić zdjęcia paszportowe.

- Rozumiem. Co pan więc proponuje?

- Całkowicie zmianę wyglądu. Tak z prawdziwego zdarzenia.

- Chodzi panu o kolor włosów i tak dalej? Devlin przytaknął.

- Powinienem się trochę postarzeć.

- Chyba da się zrobić - stwierdził Schellenberg. - Mam tu w Berlinie przyjaciół w studio filmowym UFA. Ich charakteryzatorzy potrafią dokonywać cudów.

- I jeszcze jedno. Nie chcę tym razem meldować się jako cudzoziemiec. Pochodzę z County Down, czyli z Ulsteru, co oznacza, że jestem oficjalnie obywatelem brytyjskim. Trzymajmy się tej wersji, kiedy będzie pan dla mnie wyrabiał fałszywe papiery, i w ogóle.

- A co z pańską to samo ci?

- Poprzednio byłem bohaterem wojennym. Dzielnym Irlandczykiem, który został ranny pod Dunkierką i zwolniony z wojska. - Devlin dotknął blizny po kuli na czole. - To, oczywiście, pomogło.

- Dobrze. Wiąże pan tak będzie. A jak dotrze pan na miejsce?

- Och, na spadochronie, tak jak poprzednio.

- 'Wyskoczy pan nad Anglię? Devlin pokręcił głową.

- Za duże ryzyko. Jeżeli ktoś mnie zauważy, na pewno o tym zamelduje. Nie, polec do Irlandii, tak jak wtedy. Jeżeli mnie tam zobacz, nikt się tym nie przejmie. Przechodzę przez granicę do Ulsteru, wsiadam w poranny pociąg do Belfastu i już jestem na brytyjskiej ziemi.

- A co potem?

- Statek z Belfastu do Heysham w Lancashire. Poprzednio musiałem płynąć inną trasą, z Larne do Stranraer w Szkocji. Statki są przepełnione, tak samo jak pociągi. - Devlin uśmiechnął się szeroko. - Jest wojna, panie generale.

- A zatem dociera pan do Londynu. Co wtedy? Devlin zapalił papierosa.

- No cóż, jeżeli mam trzymać się z daleka od Vargasa, nie mogę liczyć na pomoc ze strony żadnego z waszych oficjalnych agentów. Schellenberg zmarszczył brwi.

- Ale czyjej pomocy będzie pan przecie potrzebował. Takie bronie i nadajniki, bez których czno ci...

- W porządku - przerwał mu Devlin. - A wiążę parę rzeczy trzeba będzie przyjąć na słowo. Mówili my wcześniej o moim dawnym znajomym z Wapping. Spora szansa, że Michael Ryan dalej tam mieszka, a jeżeli tak jest, będzie w stanie pomóc, przynajmniej w nawiązaniu odpowiednich kontaktów.

- Z kim, na przykład?

- Michael je dźił taksówk i pracował na lewo dla bukmacherów. W dawnych czasach miał wielu przyjaciół z pół wiatka. Zbirów, którzy zrobi wszystko za pieni dze, handlarzy broni , i tak dalej. To komando IRA, które w trzydziestym szóstym musialem zlikwidowa w Londynie, miało cz ste kontakty z podziemiem. Kupowali nawet od nich materiały wybuchowe.

- Byłoby znakomicie. Pomoc znajomego z IRA, a w razie potrzeby poparcie ze strony wiata przest pczego. Nie wie pan jednak, czy ten pa ski znajomy jest nadal w Londynie.

- Albo czy nie zgin ł podczas bombardowania, panie generale. Nie ma adnej pewno ci.

- I mimo wszystko chce pan spróbowana ?

- Dotr do Londynu i zorientuj si w sytuacji, bo i tak musz to zrobi , cho by nawet plan, który tu obmy limy, wydawał si nie wiem jak błyskotliwy. Gdyby Michael Ryan był nieosi galny, gdyby cała akcja okazała si po prostu nierealna, wracam nast pnym statkiem do Belfastu, przekraczam granic i l duj bezpiecznie w Dublinie, zanim si pan zorientuje. - Devlin u miechn ł si szczerze. - Przekła panu złe wiadomo ci z waszej tamtejszej ambasady. Czy mogliby my wróci ju do pa skiego biura? Jest tak cholernie zimno, e chyba zaraz odpadn mi jaja.

Po obiedzie kontynuowali rozmow w gabinecie. Ilse siedziała w k cie, robi c notatki.

- Załó my teoretycznie - powiedział Schellenberg - e pewnego ciemnego wieczoru udaje si panu w Londynie uwolni Steinera.

- To znaczy wydosta go z klasztoru?

- Wła nie. To dopiero pierwszy krok. Jak pan z nim wróci? Zabierze go pan do Irlandii? T sam drog , któr pan przybył?

- Nie byłoby to zbyt bezpieczne - odparł Devlin. - Irlandzki premier, De Valera, prowadzi bardzo zr czn gr . Irlandia nie przyst piła do wojny, co wcale nie znaczy, e darz u nich wzgl dami waszych ludzi. Wszyscy piloci Luftwaffe, którzy tam si znale li, trafiaj do obozów jenieckich. Z drugiej strony, je eli jaki zabł kany samolot RAF-u musi awaryjnie l dowa w Irlandii, jego załoga dostaje zwykle na niadanie jajka na bekonie, a potem jest odsyłana do domu.

- O ile wiem, członkowie IRA te trafiaj do wi zie .

- W czterdziestym pierwszym wróciłem na statku neutralnego pa stwa, na brazylijskim frachtowcu z Irlandii, który zawin ł do Lizbony, ale było to ryzykowne - stwierdził Devlin. - Niczego nie mo na zagwarantowa .

Ilse odezwała się nie miała:

- Kiedy pułkownik zniknie, na pewno zaraz zacznie go szukać.
- Właśnie - przyznał Devlin. - Policja, wojsko, jednostki obrony kraju, służą bezpieczeństwu. Będą kontrolować wszystkie porty, zwłaszcza na trasach do Irlandii. - Pokręcił głową. - Nie, musimy opuścić Anglię niemal natychmiast po wyjściu z klasztoru. Trzeba ruszyć w drogę, zanim się zorientują, co się stało.

Schellenberg pokiwał głową, zastanawiając się nad tym.

- Myślę, że jednym z najsprytniejszych posunięć „Operacji Orzeł” był sposób, w jaki pułkownik Steiner i jego ludzie zostali przerzuceni do Anglii.

- Chodzi panu o dakotę? - zapytał Devlin.

- O dakotę RAF-u, która lądowała przymusowo w Holandii, a po remoncie została znów wykorzystana do akcji. Wyglądała na wracający do bazy brytyjski samolot i żeby zrzucić spadochroniarzy, musiała tylko lecieć poniżej pułapu o miuset stóp, bo na wielu odcinkach angielskiego wybrzeża nie ma radarów, wykrywających przeloty na małej wysokości.

- Udało się znakomicie - stwierdził Devlin. - Gorzej było z powrotem. Gericke, pilot tej maszyny, był razem ze mną w szpitalu. Zestrzelił go nocny myśliwiec Luftwaffe.

- Miał pecha, ale sam pomysł wart jest zastanowienia. Niewielki samolot, lecz cyfrowy zasięg radarów. Oczywiście brytyjski. Trzeba by tylko poszukać odpowiedniego miejsca do lądowania. W krótkim czasie znalazłby się pan razem ze Steinerem bezpiecznie we Francji.

- Co by było gdyby, panie generale. Nie wystarczyłby odpowiedni samolot i lądowisko. Pozwól sobie przypomnieć, że potrzebowaliby pan pilota o wyjątkowych umiejętnościach.

- No cóż, panie Devlin, nie ma rzeczy niemożliwych. Dysponujemy tak zwaną Eskadrą Samolotów Nieprzyjacielskich, w której Luftwaffe testuje przechwycone przez nas brytyjskie i amerykańskie maszyny różnych typów. Mają nawet B-17. Sam widziałem. - Odwrócił się do Ilse. - Proszę zaraz się z nimi skontaktować. I niech pani poszuka w materiałach dotyczących „Operacji Lew Morski” informacji o wszelkich miejscach na obszarze całego Londynu, które zamierzali my wykorzystywać do tajnych działań, nocnych zrzutów, i tak dalej.

- Proszę znaleźć pilota - powiedział Devlin. - Tak jak mówiłem, kogoś o specjalnych umiejętnościach.

- Zaraz się tym zajmij.

Kiedy się odwróciła, usłyszeli pukanie do drzwi i do gabinetu weszła młoda kobieta w mundurze służby pomocniczej SS, niosąc duży teczek z aktami.

- Klasztor Najświętszej Marii Panny w Wapping. Tego pan potrzebował, generale?

Ilse uśmiechnęła się triumfalnie.

- Dobrze się spisała, Sigrid. Zaczekaj na mnie w biurze. Mam dla ciebie coś jeszcze. - Odwróciła się i wyczytała akta Schellenbergowi. - Zapoznaj się z tą drugą sprawą.

Kiedy była już przy drzwiach, Schellenberg dodał:

- Jest jeszcze jedna możliwość, Ilse. Niech pani sprawdzi dane na temat brytyjskich organizacji prawicowych, które stały się tak popularne przed wojną. Należeli do nich czasami członkowie parlamentu.

Gdy wyszła, Devlin zapytał:

- A cóż to, do cholery, za ludzie, panie generale?

- Antysemita, osoby o sympatiach faszystowskich. Wielu przedstawicieli brytyjskiej arystokracji i wyższych klas podziwiała Führera, szczególnie przed wybuchem wojny.

- Ci, którzy byli rozczarowani, nie mogli zobaczyć niemieckich czołgów przed pałacem Buckingham?

- Co w tym rodzaju. - Schellenberg otworzył pakiet teczek, wyciągnął pierwszy plan i rozłożył go. - A więc, panie Devlin, oto on w całości okazało ci. Klasztor Najświętszej Marii Panny.

Asa Yaughan miał dwadzieścia siedem lat. Urodził się w Los Angeles, a jego ojciec był producentem filmowym. Od najmłodszych lat fascynowało go latanie. Uzyskał licencję pilota, zanim jeszcze trafił do akademii w West Point. Później uzupełniał umiejętności, latając na myśliwcach, i radził sobie tak dobrze, że wysłano go na kurs instruktorów, organizowany w San Diego przez marynarkę wojenną. A potem, pewnej nocy, cały jego wiat rozpadł się w gruzy. Po pijanemu wdał się w awanturę w portowym barze i uderzył pięścią w twarz jakiegoś majora.

Pięćpa dziennika 1939 roku. Miał tę datę wyrytą w sercu. Nie było żadnego skandalu, żadnego sędu wojskowego. Nikomu na tym nie zależało. Po prostu złożył rezygnację. Wytrzymał zaledwie tydzień w domu bogatych rodziców w Beverly Hills, a potem spakował torbę i wyruszył do Europy.

Wówczas wybuchła wojna i do RAF-u przyjmowano Amerykanów, ale jego przeszłość budziła zastrzeżenia. Później, trzydziestego listopada, Rosjanie zaatakowali

Finlandii. Finowie bardzo potrzebowali pilotów. Ochotnicy różnych narodowości zgłaszali się tłumnie do fińskich sił powietrznych. Asa był jednym z nich.

Mimo waleczności fińskiej armii prowadzili od początku beznadziejną wojnę, dysponując przestarzałymi w większości myśliwcami. Rosjanie nie byli, co prawda, wiele lepsi, mieli jednak kilka nowych niemieckich maszyn typu FW 190, które Hitler obiecał Stalinowi jako gest dobrej woli w zamian za traktat w sprawie Polski.

Asa latał na dwupłatowcach, takich jak włoski Fiat Falco czy brytyjski Gloucester Gladiator, które zdecydowanie ustępowały klasom samolotom wroga i tylko niezwykłym umiejętnościom pilota udawało się przezwyciężyć ich przewagę. Mając na koncie siedem zestrzeleń był prawdziwym asem. A pewnego ranka, lecąc po omacku w porywistym wietrze i nie mając zamiaru na wysokość czterystu stóp, w ostatniej chwili stracił kontrolę nad silnikiem i musiał awaryjnie lądować.

To było w marcu 1940 roku, dwa dni przed kapitulacją Finów. Z powodu powłóki i uszkodzenia kręgosłupa spędził osiemnaście miesięcy w szpitalu. Kończąc kurację, był wówczas jeszcze porucznikiem fińskich sił powietrznych, gdy dwudziestego piętego czerwca 1941 roku Finlandia przyłączyła się do faszystowskich Niemiec i wypowiedziała wojnę Rosji.

Powracał do latania stopniowo, pracując jako instruktor i nie biorąc bezpośredniego udziału w akcjach. Mijały miesiące i nagle jakby wszystko zaczęło się walić. Najpierw nalot na Pearl Harbor, a potem wypowiedzenie przez Amerykę wojny Niemcom i Włochom.

Trzy miesiące przesiedział w niemieckim obozie, a potem odwiedzili go oficerowie z SS. Himmler tworzył w SS Legii Cudzoziemskiej - ze Skandynawów, Francuzów, obywateli neutralnej Szwecji i słuchaczy w brytyjskiej armii Hindusów, których wzięto do niewoli w północnej Afryce. Istniał nawet Niezależny Korpus Brytyjski, którego żołnierze nosili na kołnierzu naszywki z trzema leopardami zamiast znaku SS, a na lewym rękawie emblemat z brytyjską flagą. Nie było zresztą zbyt wielu takich, najwyżej pięćdziesięciu ludzi, głównie podejrzany element z obozów jenieckich, znający obietnicami dobrego życia, kobiet i pieniędzy.

Inaczej wyglądała sprawa z Legionem Jerzego Waszyngtona. Na ile Asa zdołał się zorientować, utworzono go ponoć dla Amerykanów sympatyzujących z ideami hitleryzmu i jednostka ta liczyła najwyżej kilka osób, których zresztą nigdy nie spotkał. Miał do wyboru: legion albo obóz koncentracyjny. Opierał się, jak mógł. Zgodzono się w końcu na to, że będzie służył wyłącznie na Froncie Wschodnim. W sumie rzadko brał udział w akcjach

bojowych, gdy jego umiejętność ci pilota ceniono tak bardzo, że obsługiwał głównie loty kurierskie, przewoził wysokich rangą oficerów.

I oto teraz Hauptsturmführer Asa Vaughan ze Stanów Zjednoczonych Ameryki siedział za sterami storcha, lecąc na wysokość tysięcy stóp nad pokrytymi niegłębokimi lasami gdzieś w pobliżu granicy polsko-rosyjskiej. Za nim zajmował miejsce Brigadeführer SS Farber, przeglądając mapy.

- Jak długo jeszcze? - zapytał Farber, podnosząc wzrok.

- Dwadzieścia minut - odparł Asa. Mówił doskonale po niemiecku, choć miał amerykański akcent.

- To dobrze. Przemarzę na kość.

Jak ja się w to wpłatałem, do cholery? - pytał siebie w myślach Asa. - I jak z tego wybrnąć?

W tym momencie padł na nich wielki cień. Storch gwałtownie szarpnął i Farber krzyknął z przerażenia. Po prawej stronie pojawił się przez moment myliwiec z wyraźnym czerwonym gwiazdą na kadłubie, lecz zaraz potem zrobił skręt w bok.

- Rosyjski jak - stwierdził Asa. - Jesteśmy w opałach.

Myliwiec nadleciał błyskawicznie od tyłu, strzelając równocześnie z działka i karabinów maszynowych. Storch zadrżał, a ze skrzydeł posypały się fragmenty poszycia. Asa zrobił skręt i zanurkował. Jak mignął za nim, zawracając półkolem i znów siadając mu na ogonie. Wiadomo, swojej absolutnej przewagi pilot zamachał skrzydłami samolotu, najwyraźniej dobrze się bawił.

- Sukinsyn! - zaklął Asa.

Jak ponownie zrobił skręt i nadleciał z dużym prędkością, dziurawiąc storcha pociskami z działka. Farber wrzasnął z bólu, kiedy kula ugodziła go w ramię, a widząc rozbitą na kawałki przednią szybę, zawołał:

- Na lito bosku, niech pan coś zrobi!

Asa, którego odłamek zranił w policzek, wykrzyknął:

- Jak pan sobie życzy! Zobaczmy, czy ten sukinsyn potrafi latać! Zanurkował na wysokość dwóch tysięcy stóp, zaczekał, a jak go dopędzi, po czym zrobił skręt i ponownie mignął w dół. Za niego las zdawał się pędzić im na spotkanie.

- Co pan wyprawia?! - krzyknął Farber.

Asa sprowadził samolot na wysokość tysiąca stóp, potem piąset, a jak tylko zdobył, cięgle siedział mu na ogonie. W odpowiedniej chwili Amerykanin opuścił klapy. Próbując uniknąć zderzenia, myliwiec zrobił skręt i przy szybkości trzystu pięćdziesięciu mil

na godzinę runął wprost na las. W niebo buchnęły języki ognia. Asa cięgnął dręk, wyrównując lot na wysokość dwóch tysięcy stóp.

- Wszystko w porządku, panie generale?

Farber trzymał się kurczowo za rami, z którego tryskała krew.

- Jest pan geniuszem, prawdziwym geniuszem. Dopilnuj, żeby dostał pan za to elazny Krzyż.

- Dzięki. - Asa otarł krew z policzka. - Tylko tego mi trzeba.

Idąc w kierunku mesy oficerskiej w bazie Luftwaffe pod Warszawą Asa odczuwał dziwne przygnębienie. Wojskowy lekarz założył mu na policzek dwa szwy, bardziej martwił go jednak stan Brigadeführera Farbera.

Asa wszedł do mesy i zdjęł lotniczą kurtkę. Pod spodem miał piżmę skrojony szary polowy mundur, z naszywkami SS na kołnierzu. Na lewym rękawie widniał emblemat amerykańskiego flaga, a mankiet zdobił napis „Legion Jerzego Waszyngtona”. Na bluzie munduru miał baretka Krzyża elaznego II klasy i fińskiego Złotego Krzyża za Waleczność.

Ponieważ tak bardzo się wyróżniał, inni piloci najczęściej go unikali. Zamówił koniak, szybko opróżnił kieliszek i poprosił o następny.

- Za wcześnie nawet na obiad - odezwał się jakiś głos za jego plecami.

Odwróciwszy się Asa zobaczył, że obok niego siedzi na stołku Gruppenkommandant, pułkownik Erich Adler.

- Szampana - rozkazał barmanowi.

- A cóż to za okazja? - zdziwił się Asa.

- Po pierwsze, mój nieszczesny jankesie, nasz drogi Brigadeführer Farber złożył wniosek o natychmiastowe odznaczenie ci Krzyżem elaznym I klasy i sędziąc z jego opowiadania zasłużył na to.

- Ale, Erichu, dostałem już medal - stwierdził płacząco Asa. Adler puścił uwagę mimo uszu, czekając na szampana, po czym podsunął mu kieliszek.

- Po drugie masz wolne. Uziemili ci.

- Co takiego?

- Odlatujesz najbliższym samolotem do Berlina. Sprawa pierwszorzędnej wagi. Zwykle stoi za czym takim Goering. Masz się zameldować u generała Waltera Schellenberga w centrali SD w Berlinie.

- Chwileczkę - zaprotestował Asa. - Latam tylko na Front Wschodni. Taka była umowa.

- Na twoim miejscu nie sprzeciwiabym się. Ten rozkaz przekazał sam Himmler. - Adler podniósł kieliszek. - ycz szcz cia, przyjacielu.

- Zdaje się, że b d go potrzebował - odparł Asa Yaughan. - Niech Bóg mi dopomo e.

Około trzeciej nad ranem obudziły Devlina dalekie odgłosy kanonady. Wstał i przemkn ł do salonu, aby wyjrze przez szpar w zasłonach. Dostrzegł odległe błyski na horyzoncie, za granicami miasta. Ilse stan ła za nim, zapalaj c wiatło w kuchni.

- Ja te nie mogłam zasn . Przygotuj kaw .

Włó yła szlafrok, aby nie zmarzn . Z włosami zwi zanyymi w dwa ogonki wydawała się dziwnie bezbronna. Devlin poszedł po płaszcz i narzuciwszy go sobie na pi am usiadł z papierosem przy stole.

- Od dwóch dni nie mo na znale odpowiedniego l dowiska dla samolotu - stwierdził. - Generał ju się chyba niecierpliwi.

- Lubi mi wszystko zrobione na wczoraj - powiedziała Ilse. - Znale li my przynajmniej odpowiedni baz na wybrze u Francji i pilota, z którym mo na wi za du e nadzieje.

- Ma pani wi t racj - odparł Devlin. - Jankes w SS. S dz c z jego yciorysu, nie miał biedak wi kszego wyboru. Nie mog si ju doczeka , kiedy go poznam.

- Mój m słu ył w SS. Wiedział pan o tym? Był starszym sier antem w pułku pancernym.

- Bardzo przepraszam - zmieszał się Devlin.

- Na pewno uwa a pan nas czasem za łajdaków, panie Devlin, ale musi pan zrozumie , od czego się wszystko zaczę ło. Po pierwszej wojnie wiatowej Niemcy były na kolanach, całkowicie zrujnowane.

- I wtedy zjawił się Führer.

- Wydawało się, że daje nam tak wiele. Odzyskan dum , dobrobyt. A potem zaczę ło się dzia tyle zła. Przede wszystkim sprawa ydów. - Zawahała się przez moment. - Jedna z moich prababek była ydówk . Mój m musiał dosta specjalne zezwolenie, eby my mogli się pobra . Mam to zapisane w papierach. Budz się nieraz w rodku nocy, my l c, co by się ze mn stało, gdyby kto zechciał zrobi z tego u ytek.

Devlin wzi ł j za r ce.

- Ju dobrze, moja droga. Wszyscy znamy to uczucie, gdy człowiek budzi się o trzeciej nad ranem i widzi wiat w czarnych kolorach. - Ilse miała w oczach łzy. - Zaraz pani czym rozwesel . Zobaczmy, czy pani zgadnie, kogo mam zamiar udawa podczas tej eskapady.



- Prosz mi powiedzie - odparła, ju lekko si u miechaj c.

- Ksi dza.

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Pan, ksi dza? - Zacz ła si mia . - No nie, panie Devlin!

- Chwileczk , zaraz wszystko wyja ni . Zdziwi si pani, jak du e mam do wiadzenie w sprawach religii. Naprawd . - Powa nie pokiwał głow . - Byłem ministrantem, a potem, kiedy w tyś c dziewi set dwudziestym pierwszym Brytyjczycy powiesili mojego ojca, przenie li my si z matk do starego wuja, który był ksi dzem w Belfa cie. Posłał mnie do szkoły jezuitów. Tam wbijaj w człowieka wiar jak nale y. - Zapalił nast pnego papierosa. - Mog odgrywa ksi dza równie dobrze, jak ka dy inny ksi dz, je eli rozumie pani, co mam na my li.

- Có , miejmy nadziej , e nie b dzie pan musiał odprawia mszy ani wysłuchiwa spowiedzi - powiedziała ze miechem. - Prosz napi si jeszcze kawy.

- Dobry Bo e, podsun ła mi pani wła nie pewien pomysł. Gdzie jest pani teczka? Te akta, które przegl dali my, z kartotek generała? Poszła do sypialni i za chwil je przyniosła.

- Prosz bardzo.

Devlin szybko przerzucił kartki, po czym pokiwał głow .

- Nie myliłem si . Mamy to w jego aktach. Steinerowie s rodzin z katolickimi tradycjami.

- Do czego pan zmierza?

- Takie miejsce jak klasztor Naj wi tszej Marii Panny stale odwiedzaj spowiednicy. W porównaniu z nami Siostry Miłosierdzia s wi te, musz si jednak wypowieda , zanim przyst pi do komunii, a do obu sakramentów potrzebuj ksi dza. Poza tym i w ród pacjentów zdarzaj si katolicy.

- Na przykład Steiner?

- Nie mogliby mu odmówi wizyty ksi dza, zwłaszcza w takim miejscu - stwierdził z jowialnym u miechem. - To jest my l.

- Zastanowił si pan ju nad zmian wygl du? - zapytała.

- Och, mo emy z tym poczeka jeszcze par dni, a potem zgłosz si do jednego z tych charakteryzatorów, o których wspominał generał. Oddam si w ich r ce.

Ilse pokiwała głow .

- Miejmy nadziej , e w tych aktach „Operacji Lew Morski” co si znajdzie. Kłopot w tym, e tyle trzeba ich przejrze . - Podniosła si z krzesła. - Tak czy inaczej, chyba si ju poło .

W tym momencie zabrzmiał za oknem dźwięk syreny, ostrzegającej przed nalotem. Devlin uśmiechnął się z przekąsem.

- Nic z tego. Grzecznie się pani ubierze i zjedziemy na dół, żeby spędzić kolejną noc w piwnicy. Do zobaczenia za pięć minut.

Ksiądz? - powtórzył Schellenberg. - Tak, to mi się podoba.

- Mnie też - odparł Devlin. - Widzi pan, to tak, jakbym był w mundurze. Spotykając ołnierza, listonosza czy bagażnika owego na stacji nie zapamiętam ich twarzy, tylko zewnętrzny wygląd. Jak mówi, liczy się mundur. Z ksiądzem mi jest tak samo. Są uprzejmi i anonimowi.

Przed nimi, na blacie ustawionego przez Schellenberga rozkładanego stołu, leżały plany klasztoru Najświętszej Marii Panny.

- Miał pan parę dni na ich dokładne przestudiowanie. I co pan powie? - zapytał Schellenberg.

- Najciekawszy jest ten plan. - Devlin postukał we palec. - Zmiany architektoniczne, dokonane w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, kiedy klasztor przywrócono Kościołowi rzymskokatolickiemu i przejęły go Siostry Miłosierdzia.

- Co pan ma na myśli?

- Pod Londynem znajduje się labirynt, podziemny system kanałów. Czytałem kiedyś, że przepływają one pod miastem rzeką mającą ponad sto mil długości. Na przykład rzeka Fleet: zaczyna się w Hampstead i wpada do Tamizy w Blackfriars. I cały czas płynie pod ziemią...\*

- A więc?

- Są tam kanały liczące siedemset czy osiemset lat, podziemne rzeki, tunele, i o połowie z nich nic nie wiadomo, dopóki ktoś nie zacznie robić wykopów albo renowacji, jak było w przypadku klasztoru. Proszę spojrzeć na ten projekt architektoniczny. Krypta pod kaplicą regularnie zalewała woda. Poradzono sobie z tym problemem, odkrywając strumień, który przepływał obok osiemnastowiecznym tunelem. Jak pan widzi, z planu wynika, że wpada do Tamizy.

- To bardzo interesujące - stwierdził Schellenberg.

- W cianach krypty wbudowano kratę, aby woda mogła uchodzić do tego tunelu. Jest to odnotowane na planie.

- Myśli pan o drodze ucieczki?

- Byłaby taka możliwość. Trzeba to sprawdzić. - Devlin rzucił ołówek na stół. - Rzecz w tym, panie generale, żeby dowiedzieć się, jak tam naprawdę jest. Sądząc z naszych informacji, cała sprawa może okazać się dziecinnie prosta. Paru strażników, luźna dyscyplina.

- Ale z drugiej strony, mogł tam na pana czekać.

- Raczej nie, dopóki nie się działo, więc jestem ci wdzięczny w Berlinie - przypomniał mu Devlin.

W tej samej chwili weszła Ilse Huber, bardzo czymś podekscytowana.

- Miał pan rację, generale, radzę ci sprawdzić informacje na temat organizacji prawicowych w Wielkiej Brytanii. Znalazłam tam dane człowieka, który miał powiązania z „Operacją Lew Morski”.

- Jak się nazywa? - zapytał Schellenberg.

- Shaw. Sir Maxwell Shaw - odparła, kładąc na stole dwie pakieteczki.

Romney Marsh, obszar położony na wybrzeżu hrabstwa Kent jakieś czterdzieści kilometrów na południowy wschód od Londynu, to dwieście kilometrów kwadratowych ziemi, wydartej morzu dzięki systemowi grobli i kanałów, których budowę rozpoczęto jeszcze za czasów rzymskich. Spora część tego terenu znajduje się poniżej poziomu morza i tylko niezliczone rowy odwadniające chronią go przed powrotem do naturalnego stanu.

Charbury trudno było nawet nazwać miasteczkiem. Cała osada stanowiła najwyżej pięćdziesiąt domostw, kościół i sklep. Nie istniała już gospoda, w połowie domów nie było nikogo, zostali tylko najstarsi mieszkańcy. Młodszy wyjechali dawno temu, aby pracować dla wojska albo służyć w siłach zbrojnych.

Sir Maxwell Shaw szedł w deszczowy poranek po jedynej ulicy osady z czarnym labradorem przy nodze. Był dobrze zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu, o pomarszczonej twarzy. Jej wygląd świadczył o nadużywaniu alkoholu i czarny wosk nie mógł tego ukryć. Sprawiał na ogół wrażenie zagniewanego, szukającego zwady ponuraka, więc ludzie najczęściej go unikali.

Miał na sobie tweedowy kapelusz z opuszczonym rondem, nieprzemakalną myśliwską kurtkę i wysokie buty z cholewami. Pod pachą niósł dubeltówkę kaliber dwanaście. Kiedy dotarł do sklepu, schylił się i potarł nos o uszy labradora. Jego twarz stała się mniej surowa.

- Nell, dobre psisko. Zostań tutaj.

Gdy wchodził do sklepu, zadzwonił dzwonek. Mężczyzna po siedemdziesięciu latach opierał się o lada, rozmawiając ze stojącą po drugiej stronie kobietą, która była jeszcze starsza.

- Dzień dobry, Tinker - powiedział Shaw.

- Dzień dobry, sir Maxwell.

- Obiecywała mi pani jakie papierosy, pani Dawson. Staruszka wyjęła spod lady paczkę.

- Zdobyłam dla pana dwie sztuki playersów od mojego dostawcy z Dymchurch, sir Maxwell. Niestety, to czarnorynkowy towar, więc sporo kosztuje.

- A cóż jest dzisiaj tanie? Proszę zapisać to na mój rachunek.

Włożył paczkę do jednej z kieszeni myliwskiej kurtki i wyszedł. Kiedy zamykał drzwi, usłyszał, jak Tinker mówi „biedny stary”.

Wcisnął głowę boko powietrze, aby opanować gniew, po czym poklepał swego labradora.

- Chodźmy, moja mała - powiedział i zaczął wracać sam ulicą.

Rodzinny majątek był zasługą dziadka Maxwella Shawa, producenta artykułów elaznych z Sheffield, który zawdzięczał swą karierę rozkwitowi przemysłu w epoce wiktoriańskiej. To właśnie on nabył posiadłość, nazwaną później Shaw Place, i w 1885 roku osiedlił się w niej na stare lata jako milioner z tytułem baroneta. Jego syn nie wykazywał zainteresowania należąc do rodziny firm, która przeszła w końcu w inne ręce. Został zawodowym żołnierzem i zginał, prowadząc swoich ludzi do walki pod Spion Kop podczas wojny burskiej.

Maxwell Shaw, urodzony w 1890 roku, poszedł w ślady ojca. Szkoła w Eton, Sandhurst, stopień oficerski w indyjskiej armii. W czasie pierwszej wojny światowej służył w Mezopotamii i w 1916 roku powrócił do domu, aby przenieść się do pułku piechoty. Była wtedy jeszcze jego matka. Młodsza siostra, Lavinia, wyszła za pilota Królewskiego Korpusu Sił Powietrznych i pracowała jako pielęgniarka. W roku 1917 Shaw wrócił z Francji poważnie ranny, za to z Krzyżem Wojennym. W czasie rekonwalescencji poznał na balu myliwską dziewczynę, która miała później zostać jego żoną. Pobrali się, zanim wyjechał z powrotem do Francji.

W 1918, ostatnim roku wojny, wydarzyło się wiele rzeczy naraz. Stracił matkę, a potem żonę, która pechowo spadła z konia podczas polowania. Była jeszcze przez dziesięć dni, na tyle długo, że Shaw zdecydował się wystarać o okolicznościowy urlop i pospieszył do domu, aby być przy jej mierci. Lavinia pomagała mu przez cały ten czas i podtrzymywała go nad grobem żony, ale w miesiąc później i ona pozostała sama, gdy jej matka zestrzelono gdzieś na zachodnim froncie.

Wojna pozostawiła im w spadku, jak wszystkim ludziom, zupełnie inny świat, którego Shaw nie akceptował. On i Lavinia mieli przynajmniej siebie i Shaw Place, choć z upływem lat zaczynało brakować pieniędzy i było im coraz trudniej. Przez jakiś czas Shaw zajmował

miejsce w Parlamencie z ramienia Partii Konserwatywnej, lecz potem przeżył upokorzenie, tracąc je na rzecz jakiegoś socjalisty. Podobnie jak wielu ludzi jego pokroju był zdecydowanym antysemitą i to właśnie, w poświęceniu z polityczną porażką, zbliżyło go do sir Oswalda Mosleya i Ruchu Brytyjskich Faszystów.

Lavinia we wszystkim go popierała, choć interesowało ją głównie to, by utrzymali się na powierzchni i nie utracili posiadłości. Rozczarowani zmianami, które zaszły w społeczeństwie, i swojej pozycją, jak wiele osób z ich otoczenia uważali Hitlera za wzór do naśladowania, patrzyła z podziwem na to, co robi dla Niemiec.

A potem, w styczniu 1939 roku, poznali na przyjęciu w Londynie majora Wernera Keitla, doradcę wojskowego ambasady Niemiec. Przez parę miesięcy Lavinia przeżywała namilostwy romans, a major często odwiedzał Shaw Place, gdy jako pilot Luftwaffe podzielał jej pasję latania. Lavinia miała w starej stodole samolot typu Tiger Moth i wykorzystywała trawiasty teren South Meadow jako pas startowy. Często latali wspólnie tym dwumiejscowym dwupłatowcem, pokonując długie odcinki południowego wybrzeża, a Keitel mógł dawać upust swojemu zamiłowaniu do fotografii lotniczej.

Shaw nie miał nic przeciwko temu. Lavinia wzięła się już przedtem z różnymi mężczyznami, choć jego samego kobiety specjalnie nie interesowały. A jednak sprawa Keitla, ze względu na jej konsekwencje, była czymś zupełnie innym.

No cóż, w przypadku Shawa wiemy przynajmniej, z kim mamy do czynienia - stwierdził Devlin. - Dzieci takich ludzi zsyłano do Australii za kradzieżą bochenka chleba.

Schellenberg począł stawać go papierosem.

- Werner Keitel był agentem Abwehry. Zatrudniano go wówczas do werbowania ludzi, którzy mieli stanowić zakonspirowane zaplecze. Nie chodziło o zwyczajnych agentów. Nikt nie miał wątpliwości, że zbliżyła się wojna i „Operacja Lew Morski” planowano z dużym wyprzedzeniem.

- A staruszek mieszkał w idealnym miejscu - zauważył Devlin. - Na zupełnym pustkowiu, a jednak zaledwie czterdzieści pięć mil od Londynu. No i było tam to idealne dowisko dla samolotu, South Meadow.

- Tak. Keitel donosił w raporcie, że zwerbował ich bez najmniejszych trudności. Dostarczył im nadajnik. Siostra Shawa знаła już alfabet Morse'a. Rzecz jasna, zabroniono im wyrażać się ani w jakikolwiek inny sposób. Keitel, nawiasem mówiąc, zginął w bitwie o Wielką Brytanię.

- Czy mieli jakiś kryptonim?

Ilse, która siedziała dotąd cicho, wyjęła z teczek kolejną kartkę papieru.

- Kryptonim „Sokół”. Hasło wywoławcze brzmiało: Czy Sokół nadal czeka? Nadeszła pora, aby uderzyć.

- A więc siedzieli tam - stwierdził Devlin - i czekali na ten wielki dzień, na inwazję, do której nigdy nie doszło. Ciekaw jestem, jak teraz wygląda sytuacja?

- Tak się składa, że są jeszcze dalsze informacje - powiedziała Ilse. - Mamy tu artykuł, który ukazał się w amerykańskim czasopiśmie. - Sprawdziła datę. - Marzec tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego. Ma tytuł „Ruch Brytyjskich Faszystów”. Dziennikarz zrobił wywiad z Shawem i jego siostrą. Jest też zdjęcie.

Lavinia siedziała na koniu, z chustką na głowie, i wyglądała o wiele atrakcyjniej, niż Devlin się spodziewał. Shaw stał obok niej, trzymając pod pachą strzelbę.

Schellenberg przeczytał szybko artykuł i przekazał go Devlinowi.

- Smutna historia. Wynika z tego, że jak wiemy, około podobnych mu ludzi był w tysiąc dziewięćset czterdziestym więziony przez kilka miesięcy bez wyroku na mocy paragrafu osiemnastego B.

- W więzieniu w Brixton? To musiał być dla niego wstrząs - stwierdził Devlin.

- Dalsza część tej historii brzmi jeszcze smutniej. Wyprzedzając temat, utrata służy. Zostali tylko we dwoje w tym starym, walcym się domu - powiedział Schellenberg. - Wie pan, to może być idealne miejsce. Proszę rzucić okiem na mapę kanału. - Podeszli do stołu. - Tutaj. Cap de la Hague i Chernay. Kiedyś był to klub lotniczy. Teraz Luftwaffe ma tam awaryjne lądowisko - gdy komuś zabraknie paliwa, czy coś w tym rodzaju. Obsługę stanowi tylko kilku ludzi. To dla nas idealne miejsce, bo leży zaledwie jakieś trzydzieści mil od Chateau de Belle-Ile, a tam Führer zwołał konferencję.

- Jak daleko mamy do naszych przyjaciół z Romney Marsh?

- Sto pięćdziesiąt mil. Wiemy, że trasa przebiega nad morzem.

- W porządku - odparł Devlin. - Jest tylko jeden problem. Czy pan Shaw i jego siostra zechcą się jeszcze zaangażować?

- Czy Vargas nie mógłby się tego dowiedzieć?

- Już panu mówiłem, że Vargas może nas wszystkich wsypać. Tego wcale nie chciałby brytyjski wywiad. Mieliby okazję przyskrzynić całą grupę. - Devlin pokręcił głową. - Nie, pan Shaw i jego siostra będą musieli zaczekać, a dotrą na miejsce. Wszystko musi poczekać. Jeśli się zgodzą, rozpoczniemy akcję.

- Ale jak będzie się pan z nami kontaktował? - zapytała Ilse.

- Mo e maj jeszcze nadajnik, a tym sprz tem potrafi si posługiwa . Kiedy Abwehra zleciła mi w czterdziestym pierwszym robot w Irlandii, przeszkolili mnie, jak korzysta z radia i nadawa alfabetem Morse'a.

- A gdyby nie mieli nadajnika? Devlin roze miał si .

- Wtedy go gdzie wyprosz , po ycz albo ukradn . Mój Bo e, za bardzo si pan przejmuje, generale.

Zobaczywszy królika, Shaw przyło ył strzelb do ramienia, ale uczynił to za pó no i chybił. Zakł ł, wyj ł z kieszeni piersiówk i poci gn ł łyk. Nell zaskamlała, wpatruj c si w niego wyczekuj co. Trzciny si gały tam na wysoko człowieka. Słycha było szemranie umykaj cych do morza potoków. Wra enie całkowitego pustkowie pot gowały czarne, nabrzmiałe od deszczu chmury. Kiedy zacz ło pada , pojawiła si Lavinia, galopuj c na koniu wzdu grobli w jego kierunku. ci gn ła cugle i powiedziała:

- Dzie dobry, mój drogi. Usłyszałam twój strzał.

- Teraz nie trafiam ju nawet w mur, siostrzyczko. - Przyło ył do ust piersiówk , a potem zatoczył r k łuk w dramatycznym ge cie. - Rozejrzyj si wokół - to martwy wiat, Lavinio. Wszystko jest martwe, do cholery, nawet ja. Gdyby tak co mogło si zdarzy . Cokolwiek. - Powiedziawszy to, znowu podniósł do ust butelk .

Asa Yaughan zamkn ł teczk , podnosz c wzrok. Schellenberg pochylił si nad biurkiem i pocz stował go papierosem.

- I co pan na to?

- Dlaczego wła nie ja?

- Poniewa słyzałem, e jest pan znakomitym pilotem, który wsz dzie doleci.

- Pochlebstwem mo na wiele osi gn , panie generale, ale przypatrzmy si tej sprawie. Kiedy zostałem, powiedzmy sobie, wcielony do SS, zawarto ze mn umow , e b d walczył tylko przeciw Rosjanom. Obiecywano mi wyra nie, e nie b d musiał bra udziału w adnej akcji sprzecznej z interesami mojego kraju.

Devlin, który siedział przy oknie, za miał si nieprzyjemnie.

- Co za stek bzdur, chłopcze. Skoro w to uwierzyłe , uwierzysz we wszystko. Maj ci w gar ci, odk d wsadzili ci w ten mundur.

- Obawiam si , e to prawda, kapitanie - powiedział Schellenberg. - W rozmowie z Reichsfuhrerem takie argumenty nie zaprowadz pana zbyt daleko.

- Wyobra am sobie - stwierdził Asa z rozpacz na twarzy.

- O co wła ciwie chodzi? - zapytał Devlin. - Gdzie wolisz by , z powrotem na Froncie Wschodnim czy tutaj? I tak nie masz wyboru. Je li odmówisz, ta stara kanalia, Himmler, wy le ci do obozu koncentracyjnego.

- Nie byłoby sprawy, gdyby nie jeden drobiazg - powiedział Asa, - Je eli dam si złapa Anglikom w tym mundurze, czeka mnie najszybsza w historii Ameryki rozprawa przed s dem wojennym i pluton egzekucyjny.

- Nie licz na to, stary - odparł Devlin. - Po prostu ci powiesz . A teraz sprawa tego lotu. Dałby sobie rad ?

- Czemu nie? Ale je li miałbym to zrobi , musiałbym wiedzie , jak wróci przez kanał. Z tego, co widz , prawie cały czas leciałbym nad wod , a nad l dem tylko kilka ostatnich mil.

- Zgadza si - przyznał Schellenberg.

- Koło tego domu, Shaw Place, musiałbym l dowa w nocy. Nawet przy wietle ksi yca potrzebowalbym naprowadzania. - Pokiwał głow , zastanawiaj c si nad tym. - W dzieci stwie miałem w Kalifornii instruktora, który latał kiedy we Francji w Lafayette Escadrille. Pami tam, jak mi opowiadał, e wtedy - kiedy wszystko było jeszcze prymitywne - u ywali cz sto kilku lamp rowerowych, uło onych w kształcie odwróconego L, którego podstawa wskazywała kierunek wiatru.

- To do proste - stwierdził Devlin.

- Pozostaje sprawa samolotu. Musiałby by niedu y. Co takiego jak fieseler storch.

- Tak, no có , mam nadziej , e to ju załatwione - stwierdził Schellenberg. - Rozmawiałem z dowódc Eskadry Samolotów Nieprzyjacielskich. Stacjonuj w Hildorf. To dwie godziny jazdy z Berlina. Oczekuj nas rano. Twierdzi, e znalazł odpowiedni maszyn .

- Wi c to ju chyba wszystko - powiedział Asa wstaj c. - Co teraz?

- Zjemy co , mój drogi - oznajmił Devlin. - To, co najlepsze na czarnym rynku. Potem wrócisz ze mn do mieszkania Frau Huber i zajmiemy u niej wspólnie wolny pokój. Mo esz si nie obawia . S tam dwa łó ka.

Kaplica klasztoru Sióstr Miłosierdzia pod wezwaniem Naj wi tszej Marii Panny była zimna i wilgotna, przesycona zapachem wiec i kadzideł. Ojciec Frank Martin sko czył wła nie spowiada jedn z sióstr i czekał, a odejdzie. Potem zgasił wiatło i wyszedł z konfesjonału.

Jako pleban, oddalonego o dwie przecznice ko cioła wi tego Patryka, pełnił zarazem funkcj ojca spowiednika klasztoru. Miał siedemdziesi t sze lat. Był drobnym, w tłym



człowiekiem o bardzo siwych włosach. Gdyby nie wojna, przeniesiono by go ju dawno na emerytur . Ale w owych czasach wygl dało to wła nie tak: ka dy był potrzebny.

Poszedł do zakrystii, zdj ł kom i starannie zło ył fioletow stul . Potem si gn ł po nieprzemakalny płaszcz, rozmy laj c o tym, jak dobrze byłoby uda si wcze nie na spoczynek, ale jak zwykle współczucie i chrze cija skie miłosierdzie wzi ły gór . Miał teraz pod opiek osiemnastu pacjentów, w tym siedmiu umieraj cych. Nie zaszkodzi przej si ostatni raz po pokojach. Był u nich z wizyt wczesnym popołudniem, ale to za mało.

Po wyj ciu z kaplicy zobaczył, e matka przeło ona, siostra Maria Palmer, zmywa podłog . Podejmowała si tego niewdzi cznego zaj cia, maj c na wzgl dzie sw najwi ksz słabo : grzech pychy.

Ojciec Martin przystan ł i pokr cił głow .

- Jest siostra dla siebie zbyt surowa.

- Jeszcze za mało - odparła. - Dobrze, e ojca widz . Kiedy ojciec wyszedł, co si wydarzyło. Przysłali nam znowu niemieckiego je ca.

- Naprawd ?

Wyszli z kaplicy do holu przy drzwiach.

- Tak, to oficer Luftwaffe. Został niedawno ranny, ale ju wraca do zdrowia. Pułkownik Kurt Steiner. Umie cili go na najwy szym pi trze, tak samo jak tych, których mieli my tu przedtem.

- Kto go pilnuje?

- Kilku andarmów. Dowodzi nimi młody podporucznik, niejaki Benson.

W tym momencie po głównych schodach zeszli Jack Carter i Dougal Munro. Siostra Maria Palmer zapytała:

- Czy wszystko w porz dku, panie generale?

- W idealnym - odezwał si Munro. - B dziemy si starali sprawia jak najmniej kłopotów.

- Nie ma o czym mówi - odparła. - Przy okazji, to jest ojciec Martin, nasz duszpasterz.

- Witam, ojcze - powiedział Munro, po czym zwrócił si do Cartera: - Id ju , Jack. Nie zapomnij sprowadzi lekarza, eby go zbadał.

- Chyba nie powiedziano panu, generale, e ja jestem lekarzem - odezwała si siostra Maria Palmer. - Bez wzgl du na to, jakiego rodzaju pomocy potrzebuje pułkownik Steiner, jestem przekonana, e b dziemy w stanie mu jej udzieli . W zasadzie, skoro panowie ju sko czyli cie, pójd sprawdzi , czy niczego mu nie brakuje.

- Prawd mówi c, nie wiem, czy to mo liwe, siostró - odezwał si Jack Carter.

- Kapitanie Carter, pozwól sobie przypomnie , e ten klasztor, którego jestem przeło on , to nie tylko dom bo y, lecz równie miejsce, gdzie opiekujemy si chorymi i umieraj cymi. Widziałam kart choroby pułkownika Steinera i stwierdzam, e zaledwie kilka tygodni temu odniósł powa ne obra enia. B dzie potrzebował mojej opieki, a poniewa z jego akt wynika poza tym, e jest wyznania rzymskokatolickiego, mo e potrzebowa równie posługi obecnego tutaj ojca Martina.

- Całkiem słusznie, siostró - przyznał Munro. - Zajmij si tym, Jack, dobrze?

Kiedy wyszedł, Carter odwrócił si i pod ył po schodach na gór . Były tam nabite wiekami i wzmocnione stalowymi klamrami drzwi, obok których siedział przy niewielkim stoliku andarm.

- Otwórzcie - rozkazał mu Carter. andarm zapukał do drzwi, które otworzył po chwili inny ołnierz. Weszli do rodka.

- Wykorzystujemy pozostałe pokoje jako kwatery dla naszych ludzi - wyja nił Carter.

- Zd yłam si zorientowa - stwierdziła siostra Maria Palmer.

Drzwi do pierwszego pokoju były otwarte na o cie . Obok w skiego łó ka stało niewielkie biurko, przy którym siedział młody podporucznik Benson. Zerwał si na ich widok.

- Słucham, sir?

- Siostra przeło ona i ojciec Martin maj tu wolny wst p. To rozkaz generała Munro. Chcemy teraz porozmawia z wi niem.

Na zewn trz, na samym ko cu korytarza, gdzie zamykała go ciana, siedział na krze le jeszcze jeden andarm.

- Mój Bo e, dobrze pilnujecie tego człowieka - stwierdził ojciec Martin.

Benson przekr cił w zamku klucz i stoj cy przy oknie Steiner odwrócił si w ich stron . Wygl dał imponuj co, maj c na sobie stalowy mundur Luftwaffe, a pod szyj Krzy Rycerski z Li mi D bu. Pozostałe medale tak e dumnie si prezentowały.

- To matka przeło ona, siostra Maria Palmer - dokonał prezentacji Carter. - Nie miał pan dot d okazji z ni rozmawia . A to ojciec Martin.

- Jutro wezm pana na dół, do gabinetu lekarskiego, na dokładne badania, pułkowniku - o wiadczyła siostra Maria Palmer.

- Czy zgadza si pan na to, sir? - zapytał Benson.

- Na lito bosk , niech pan sam z nim zejdzie, poruczniku - powiedziała siostra Palmer. - Mo e go pan nawet otoczy wszystkimimi swoimi lud mi, ale je li o dziesi tej nie znajdzie si w gabinecie, porozmawiamy sobie.

- Nie ma sprawy - stwierdził Carter. - Prosz tego dopilnowa , Benson. Co jeszcze, siostro?

- Nie, na dzisiaj wystarczy.

- Chciałbym zamieni z pułkownikiem par słów na osobno ci, je li pan pozwoli - odezwał si ojciec Martin. Carter skin ł głow i zwrócił si do Steinera.

- Od czasu do czasu b d pana sprawdzał.

- Jestem tego pewien.

Wszyscy wyszli z pokoju, z wyj tkiem ojca Martina, który zamkn ł drzwi i usiadł na łó ku.

- Mój synu, wiele przeszedł , widz to po twojej twarzy. Kiedy byłe ostatnio na mszy?

- Tak dawno temu, e ju nie pami tam. Wojna, ojczy, komplikuje ycie.

- Nie byłe te u spowiedzi? Pewnie od bardzo dawna nie mo esz pozby si ci aru swoich grzechów.

- Niestety. - Steiner u miechn ł si , czuj c przyływ sympatii do tego człowieka. - Wiem, ojczy, e masz dobre intencje.

- Wielkie nieba, człowieku, nie chodzi o nas. Interesuje mnie jedynie twój zwi zek z Bogiem. - Ojciec Martin wstał. - B d si za ciebie modlił, mój synu, i codziennie ci odwiedzał. Gdy tylko odczujesz potrzeb spowiedzi i mszy, daj mi zna , a załatwi , aby mógł towarzyszy nam w kaplicy.

- Obawiam si , e porucznik Benson chciałby koniecznie i ze mn - stwierdził Steiner.

- A czy jego nie miertelna dusza równie by na tym nie skorzystała? - Stary ksi dz u miechn ł si pod nosem i wyszedł.

Asa Yaughan siedział w mieszkaniu Ilse Huber przy du ym stole w salonie, maj c przed sob Devlina.

- Naprawd pan my li, e to si mo e uda ? - zapytał Amerykanin.

- Wszystko jest mo liwe, dopóki chodzi silnik, czy tak nie jest? Asa wstał i zacz ł przechadza si niespokojnie po pokoju.

- Co ja tu wła ciwie robi , do diabła? Jest pan w stanie to zrozumie ? Wszystko dzieje si jakby poza mn . Po prostu tak si zdarzyło. Nie miałem wła ciwie wyboru. Tak samo zreszt , jak teraz.

- Przecie jest inne wyj cie - stwierdził Devlin. - Mo esz si zgodzi na lot do Anglii, wyl dowa tam i podda si .

- A có by to dało? Nigdy by mi nie uwierzyli, panie Devlin. - Na jego twarzy było przera enie, kiedy dodał: - I nigdy nie uwierz , skoro ju o tym mowa.

- Wi c powiniene mie nadziej , e Adolf wygra t wojn - stwierdził Devlin.

Nast pnego ranka Amerykanin wydawał si jednak w znacznie lepszym nastroju, gdy major Koenig, dowódca Eskadry Samolotów Nieprzyjacielskich, oprowadzał ich po bazie lotnictwa w Hildorf. Wygl dało na to, e maj tam wi kszo typów maszyn alianckich: B 17, bombowiec lancaster, hurricane, mustang. Na wszystkich wymalowane były znaki Luftwaffe.

- A teraz co , co moim zdaniem powinno panom odpowiada - oznajmił major. - Tutaj, w ostatnim hangarze.

Stał tam jednopłatowiec z pojedynczym silnikiem o rozpi to ci skrzydeł powy ej pi dziesi ciu stóp.

- Bardzo ładny - przyznał Asa. - Co to takiego?

- Westland lysander. Wyci ga maksymalnie dwie cie trzydzie ci mil na wysoko ci dziesi ciu tysi cy stóp. Krótki start i l dowanie.

Przy pełnym obci eniu potrzebuje zaledwie dwie cie czterdzie ci jardów.'

- To znaczy, e wystarczyłaby panu na przelot niecała godzina - powiedział Schellenberg, ale Asa pu cił t uwag mimo uszu.

- Co z pasa erami?

- Ilu ma pan na my li? - zapytał Koenig.

- Dwóch.

- Pełny komfort. Mie ci si trzech. W razie potrzeby nawet czterech. - Zwrócił si do Schellenberga. - Kiedy zasi gał pan u nas informacji, od razu pomy lałem o tym samolocie. Zdobyli my go w zeszłym miesi cu we Francji. Nale ał do RAF-u. Pilot dostał kul w pier , kiedy zaatakował go nocny my liwiec. Zdołał wyl dowa , ale zmarł, zanim zd ył zniszczy maszyn . Brytyjski wywiad u ywa tych samolotów do tajnych operacji. Korzysta z nich francuski ruch oporu, przerzucaj c agentów z Anglii albo wywo c ich z kraju. To idealna maszyna do takich zada .

- Dobrze. Wi c j przejmuj - stwierdził Schellenberg.

- Ale, panie generale... - zaproponował Koenig. Schellenberg wyjął z kieszeni list polecający Führera.

- Niech pan to przeczyta.

Koenig wypełnił jego polecenie, po czym zwrócił list i karnie strzelił obcasami.

- Jestem na pańskie rozkazy, generale. Schellenberg zwrócił się do Asy.

- Czego pan zatem potrzebuje?

- Có, b d chciał, oczywiście, trochę polatać. Muszę się do tej maszyny przyzwyczaić, chociaż nie przypuszczam, żeby były z tym problemy.

- Co jeszcze?

- Tak. Chcę, żeby kółka RAF-u były na swoim miejscu, kiedy polecę do Anglii. Ale umocujcie je tylko prowizorycznie. Jakie brezentowe pokrowce, które mogą na zerwać, tak bym w powrotnej drodze miał znowu znaki Luftwaffe.

- To żaden kłopot - zapewnił Koenig.

- Znakomicie - powiedział Schellenberg. - Hauptsturmführer Yaughan zostanie tutaj i przetestuje teraz samolot. Przez resztę dnia może odbywać bez ograniczeń próbne loty. Potem dopilnuje pan, żeby zrobiono przy maszynie wszystko, co trzeba, i dostarczono ją pod koniec tygodnia do Francji. Moja sekretarka poinformuje pana dokąd.

- Oczywiście, panie generale - odparł Koenig.

- Niech pan się dobrze bawi, póki można - powiedział Schellenberg, zwracając się do Asy. - Załatwiłem w Luftwaffe, żeby wypoczył nam fieselera storcha. Polecimy jutro do Chernay obejrzeć dowisko. A skoro już tam będziemy, chciałbym też rzucić okiem na Chateau de Belle-Ile.

- I to ja mam lecieć? - zapytał Asa.

- Nie przejmuj się, chłopie. Mamy do ciebie pełne zaufanie - powiedział Devlin, wychodząc razem z Schellenbergiem.

Dougal Munro pracował przy biurku w swoim gabinecie w Londynie, gdy wszedł Jack Carter.

- O co chodzi, Jack?

- Sir, dostałem od siostry Marii Palmer orzeczenie lekarskie na temat stanu zdrowia Steinera.

- I co mówi?

- Nie jest jeszcze do końca wyleczony. Ma jakieś pozostałości infekcji. Prosiła o pomoc w zdobyciu tego nowego cudownego leku, penicyliny. Podobno leczy niemal wszystko, ale trudno go dostać.

- Wi c załatw go dla niej, Jack. Postaraj si .

- Tak jest, sir. Na pewno mi si uda.

Kiedy oci gał si z wyj ciem, Munro powiedział zniecierpliwiony:

- Na lito bosk , czego jeszcze chcesz, Jack? Jestem zawałony robot , a do tego o trzeciej mamy zebranie personelu w Kwaterze Głównej Naczelnego Dowództwa Aliantów, któremu przewodniczy sam generał Eisenhower.

- Chodzi mi o spraw Steinera, sir. Umie cili my go w klasztorze - i co dalej?

- Mało prawdopodobne, Jack, eby Liam Devlin - je li to na niego si zdecyduj - wyl dowal ju jutro na spadochronie na klasztornym dziedzi cu. A gdyby nawet, to co? eby mie Steinera jeszcze bardziej na oku, który z andarmów musiałyby z nim spa , a i to mogłoby nie wystarczy .

- Wi c po prostu czekamy, sir?

- Oczywiście. Je li zdecyduj si na akcj , przygotowania potrwa wiele tygodni, ale to bez znaczenia. Mamy przecie w gar ci Vargasa. Gdyby cokolwiek si działo, dowiemy si o tym pierwsi.

- Tak jest, sir.

Kiedy Carter otworzył drzwi, Munro dodał:

- Mamy całe mnóstwo czasu, Jack. Podobnie jak Steiner.

Tego wieczoru Steiner poszedł do kaplicy w towarzystwie porucznika Bensona i kaprała andarmerii. Było tam chłodno i wilgotno, a pal ce si u stóp ołtarza wiece oraz rubinowa lampka sanktuarium stwarzały nieco tajemniczy nastrój. Steiner instynktownie zanurzył palce w wi conej wodzie, jak zwykł to robi w dzieci stwie. Potem podszedł do ko ca ławki, na której siedziały dwie zakonnice, i usiadł obok nich, czekaj c na swój kolejk . Z konfesjonau wyszła matka przeło ona i mijaj c go u miechn ła si . Potem przyst piła do spowiedzi jedna z zakonnice, a gdy sko czyła, jej miejsce zaj ła nast pna.

Kiedy przyszła kolej na Steinera, ukl kn ł w konfesjonale, którego mrok sprawił mu nieoczekiwan ulg . Zawahał si przez moment, a potem o yły nagle znowu wspomnienia z dzieci stwa i powiedział niemal bezwiednie:

- Pobłogosław mi, ojcze...

Ojciec Martin musiał go oczywiście rozpozna . Nie mogło by inaczej.

- Niech Pan nasz, Jezus Chrystus, błogosławi ci i pomo e wyzna grzechy - powiedział.

- Do diabła, ojcze - wybuchn ł Steiner. - Nie wiem nawet, po co tu jestem. Mo e chciałem po prostu wyj z pokoju.

- Och, Bóg na pewno ci to wybaczy, synu. - Steiner ogarn ła szale cza ochota, eby si roze mia , a staruszek zapytał: - Czy chcesz mi co powiedzie ? Cokolwiek?

I nagle Steiner zacz ł mówi :

- Mój ojciec. Oni zamordowali mi ojca. Powiesili go na haku jak kawał mi sa.

- Kto to zrobił, mój synu?

- Gestapo. Cholerne Gestapo. - Steiner z trudem oddychał, miał sucho w gardle, piekły go oczy. - Odczuwam tylko nienawi i ch zemsty. Chc si m ci . I co na to powie taki człowiek jak ty, ojczu? Czy nie popełniam wielkiego grzechu?

- Niech nasz Pan, Jezus Chrystus, przebaczy ci - powiedział cicho ojciec Martin - a ja, za jego przyzwoleniem, odpuszczam ci grzechy w imi Ojca i Syna, i Ducha wi tego.

- Ale ojciec niczego nie rozumie - rzekł Kurt Steiner. - Nie potrafi si ju nawet modli .

- Nic nie szkodzi, mój synu - odparł ojciec Martin. - Pomodl si za ciebie.

7.

- Lot z Berlina do Cap de la Hague trwał nieco ponad trzy godziny. Asa wybrał tak tras , e przelatywali nad cz ci okupowanej Holandii, Belgii , a potem Francji . Dotarli do Chernay od strony morza. Było to opustoszałe miejsce, nie mają ce nawet wie y kontrolnej, a jedynie trawiaste l dowisko, na którego ko cu powiewał r kaw, wskazuj cy kierunek wiatru. Stały tam trzy stare, przedwojenne hangary i kilka baraków, zbudowanych zapewne przez Luftwaffe. Był również skład paliwa.

Asa wywołał ich przez radio.

- Tu storch, zapowiadany lot z Gatow.

- Tu wie a kontrolna Chernay - odezwał si jaki głos. - Zezwalamy na l dowanie. Wiatr południowo-wschodni o sile trzy do czterech. Ochładza si .

- Bardzo wczuwa si w swój rol - rzucił przez rami Asa. - No to l dujemy.

Posadził idealnie samolot i zacz ł kołowa w stron hangarów, gdzie czekało kilku m czynz w kombinezonach Luftwaffe. Kiedy Schellenberg i Devlin wysiedli, z baraku, nad którym górował maszt radiowy, wyłonił si jaki sier ant i pospieszył w ich kierunku.

Zauwa ywszy mundur Schellenberga karnie zł czył stopy.

- Panie generale!

- Pa skie nazwisko?

- Leber, panie generale. Sier ant lotnictwa.

- Pan tu dowodzi?

- Tak, panie generale.

- Prosz to przeczyta . - Schellenberg wr czył mu list polecaj cy od Führera. - Pan i pa scy ludzie jeste cie teraz pod moj komend . Chodzi o spraw o szczególnym znaczeniu dla Rzeszy.

Leber znowu zł czył stopy i oddał mu list.

- Jestem na pa skie rozkazy, generale.

- Hauptsturmfuhrer Yaughan dokona niebezpiecznego i ci le tajnego przelotu nad kanałem. B dzie korzystał z nietypowej maszyny. Sam pan si przekona, kiedy j tu dostarcz .

- A co b dzie nale ało do naszych obowi zków, panie generale?

- Poinformuj pana pó niej. Czy sprz t radiowy jest w porz dku?

- O tak, panie generale. Mamy najlepsze nadajniki, jakimi dysponuje Luftwaffe. Czasem samoloty wracaj znad kanału w kiepskim stanie. W razie potrzeby musimy nawi zywa z nimi kontakt.

- To dobrze. - Schellenberg pokiwał głow . - Czy zna pan przypadkiem miejsce o nazwie Chateau de Belle-Ile? Według mapy to jakie trzydzie ci mil st d w kierunku Carentan.

- Niestety nie, panie generale.

- Nie szkodzi. Damy sobie rad . Prosz załatwi nam teraz jakiego d ipa.

- Oczywi cie, panie generale. Mog zapyta , czy zatrzymacie si tu panowie na noc?

Schellenberg spojrział na otaczaj ce ich pustkowia.

- Raczej nie, sier ancie, ale nigdy nie wiadomo. Prosz uzupełni paliwo i przygotowa storcha do powrotnego lotu.

- Dobry Bo e - powiedział Devlin, gdy Leber prowadził ich do d ipa, zaparkowanego obok baraku z radiem. - Niech pan tylko spojrzy. Co za parszywe miejsce! Zastanawiam si , jak oni to wytrzymuj .

- Lepiej tu ni w Rosji - odparł Asa Yaughan.

Asa siedział za kierownic , Devlin obok niego, a Schellenberg z tyłu, z rozło on na kolanach map .

- To tutaj. Droga na południe od Cherbourga prowadzi do Carentan. Trzeba z niej zjecha gdzie w kierunku wybrze a.

- Czy nie byłoby sensowniej wyl dowa w bazie Luftwaffe w Cherbourgu? - zapytał Asa.

- Tak jak Führer w czasie konferencji? - Schellenberg pokr cił głow . - Na razie nie powinni my si wychyla . Nie musimy w ogóle przeje d a przez Cherbourg. Na południu



jest sie wiejskich dróg, które przecinaj całe wybrze e. To tylko trzydzie ci mil, mo e trzydzie ci pi .

- Po co wła ciwie ta przeja d ka? - zapytał Devlin.

- Zamek Belle-Ile bardzo mnie intryguje. - Schellenberg wzruszył ramionami. - A skoro nadarza si okazja, chc zobaczy , co tam mamy.

- Zastanawiałem si wła nie - powiedział Devlin - czy Reichs-Führer wie, e tu jeste my?

- Wie o naszym locie do Chernay albo dowie si wkrótce. Za yczył sobie regularnych raportów.

- No có , panie generale, to osobna sprawa, ale zamek Belle-Ile - to co innego.

- Całkiem słusznie, panie Devlin, całkiem słusznie.

- Naj wi tsza Panienko, ale z pana szczwany lis - stwierdził Devlin. - al mi my liwego, który miałby pana ciga .

Niektóre wiejskie drogi były tak w skie, e dwa pojazdy nie mogłyby si na nich min , ale w pół godziny pó niej wyjechali na główn szos , prowadz c na południe z Cherbourga do Carentan. Wła nie wtedy Schellenberg stracił orientacj na mapie, łut szcz cia sprawił jednak, e w pobli u miejscowoci St.-Aubin natkn li si na przydro n tablic z napisem „Dwunasty Oddział Spadochroniarzy”. Za drzewami wida było zabudowania gospodarcze.

- Spróbujmy tutaj - powiedział Schellenberg i Asa zjechał z drogi.

Wszyscy znajduj cy si na dziedzi cu ołnierze nale eli do Fallschirmjager. Byli to młodzi, ale nad wiek do wiadczeni twardzi faceci o krótko przystrzy onych włosach. Prawie wszyscy mieli na sobie panterki i buty spadochroniarzy.. Wielu siedziało na ławach pod cian , czyszcz c bro . Dwóch pracowało przy silniku transportera. Spojrzeli z zaciekawieniem na nadję d aj cego d ipa, a zobaczywszy mundur Schellenberga stan li na baczno .

- W porz dku, nie przeszkadzajcie sobie - powiedział.

Z budynku gospodarstwa wyszedł młody kapitan. Miał Krzy elazny I i II klasy, a na r kawie naszywki, dowód udziału w walkach na Krecie i przynale no ci do Korpusu Afryka skiego. Nosił równie baretk Kampanii Zimowej. Był młodym, twardym człowiekiem o surowej twarzy.

- Pan tu dowodzi? - zapytał Schellenberg.

- Tak, panie generale. Hauptmann Erich Kramer. W czym mog pomóc?

- Szukamy miejsca o nazwie Chateau de Belle-Ile - oznajmił Schellenberg. - Zna je pan?

- Bardzo dobrze. To jakie dziesięć kilometrów na wschód, na wybrzeżu. Pokaż panu na mapie okolice.

Poszli za nim do budynku. W salonie zamienionym na centrum dowodzenia stało radio, a na ścianie wisiały mapy w dużej skali. Prowadząca do Belle-Ile boczna droga dała się odszukać bez trudu.

- Znakomicie - oznajmił Schellenberg. - Proszę mi powiedzieć, jakie zadania wypełnia tutaj pańska jednostka?

- Chodzi o zapewnianie ochrony, panie generale. Patrolujemy ten rejon i staramy się utrzymać w ryzach francuski ruch oporu.

- Macie z nimi dużo problemów?

- Właściwie nie. - Kramer może miał się. - Zostało mi w tej jednostce tylko trzydziestu pięć ludzi. Mieliśmy szczęście, udało nam się wydostać spod Stalingradu. To dla nas wypoczynek.

Wyszli na zewnątrz, a kiedy wsiadli z powrotem do dżipa, Devlin powiedział:

- Widzisz, walczył pan na Krecie, w Korpusie Afrykańskim i pod Stalingradem. Znał pan Steinera?

Nawet o niego czyszcząc broń podnieśli wzrok, słysząc to nazwisko.

- Oberst Kurt Steiner? - odparł Kramer. - Kto z naszej branży go nie zna? Był legendarnym Pułkiem Spadochroniarzy.

- A więc spotkał go pan?

- Kilka razy. To pański znajomy?

- Można by tak powiedzieć.

- Słyszeliśmy pogłoski, że zginął - stwierdził Kramer.

- No cóż, nie trzeba wierzyć we wszystko, co się słyszy - powiedział Devlin.

- Hej, kapitanie. - Schellenberg zsalutował i Asa ruszył w dalszą drogę.

- Dobry Boże - stwierdził Devlin. - Zastanawiam się czasem, dlaczego Steiner sam się nie uwolnił i nie wrócił przez kanał, kroczył po wodzie.

Zamek Belle-Ile wyglądał imponująco. Stał na szczycie wzgórza nad samym morzem, a za nim rozciągały się szerokie ujścia rzeki i wieńce odsłonięte przez odpływ ławice piasku. Asa wjechał dżipem pod górę po jedynej w okolicy drodze. Minął wspaniały most nad rozpadliną, która była bardziej wozem niż fosą. Ogromne wrota w łukowatej bramie stały otworem. Wjechali przez nie na brukowany dziedziniec. Asa zatrzymał samochód u

podnó a szerokich schodów, prowadz cych w gór do frontowych drzwi, nad którymi wznosiły si mury i wie e zamku.

Wysiedli z d ipa i Schellenberg poszedł przodem. W d bowych, wypaczonych ze staro ci drzwiach tkwiły pordzewiałe, elazne rygle i klamry ze stali. Obok wisiał na cianie dzwonek. Schellenberg poci gn ł za ła cuch i dzwonienie rozbrzmiało po całym dziedzi cu, odbijaj c si echem od murów.

- Mój Bo e - odezwał si Devlin. - Brakuje nam tylko Quasimodo.

W chwil pó niej drzwi otworzyły si z łoskotem i pojawił si ten, o kim była mowa, a przynajmniej jego wierna kopia. Był to starzec o długich do ramion siwych włosach, ubrany w czarny aksamitny frak, który pami tał lepsze czasy, i w par bardzo lu nych sztruksowych spodni, jakie nosz wie niacy.

Miał pomarszczon twarz, która stanowczo wymagała ogolenia.

- Qui, monsieurs - powiedział. - Czym mog panom słu y ?

- Pan jest tu dozorc ? - zapytał Schellenberg.

- Tak, monsieur. Jestem Pierre Dissard.

- Mieszka pan tutaj z on ?

- Kiedy jest na miejscu, monsieur. Teraz pojechała do Siostrzenicy do Cherbourga.

- Rozumiesz to wszystko? - zapytał Devlin.

- Ani słowa - odparł Asa. - Nie mówi po francusku.

- Pewnie całe ycie grałe w piłk . Natomiast generał i ja, jako ludzie inteligentni i wykształceni, rozumiemy tego starego bez problemów. W razie potrzeby słu tłumaczeniem.

- Chc przeprowadzi tu inspekcj - oznajmił Schellenberg.

Min wszy Dissarda trafił do przestronnego holu, którego granitow posadzk przykrywały tu i ówdzie dywany. Z jednej strony znajdował si ogromny kominek, a schody prowadz ce na pi tro były tak szerokie, e wszedłby po nich cały pułk.

- Jest pan z SS, monsieur? - zapytał Dissard.

- S dziłem, e to oczywiste - odparł Schellenberg.

- Ale którego dnia mieli my ju tu inspekcj , monsieur. Ten oficer był w mundurze podobnym do pa skiego.

- Przypomina pan sobie jego nazwisko?

- Powiedział, e jest majorem. - Staruszek z wysiłkiem zmarszczył brwi. - Miał z jednej strony okaleczon twarz.

- To Berger - oznajmił spokojnie Schellenberg. - Czy tak si przedstawił?

Dissard skwapliwie przytakn ł.

- Wła nie tak, monsieur. Major Berger. Kiepsko mówił po francusku.

- O co chodzi? - zapytał Asa.

- On twierdzi, że kto był tu już przed nami - wyjął Devlin. - Major SS o nazwisku Berger.

- Zna go pan?

- O, bardzo dobrze. Zwłaszcza jego nos. Ale wyjął to pózniej.

- A więc już pan wie, że przejmujemy wkrótce ten obiekt - powiedział Schellenberg. - Zechce pan nas oprowadzić .

- Zamek jest zamknięty od tysiąca czterdziestego roku, monsieur. Mój pan, hrabia de Beaumont, pojechał do Anglii walczyć ze Szwabami.

- Doprawdy? - odparł oschle Schellenberg. - No to nie zwlekajmy. Zaczniemy od góry, a potem zobaczymy, co jest na dole.

Starzec poprowadził ich po schodach, które mieli przed sobą. Na górze znajdowały się liczne sypialnie, a w niektórych miały łóżka z baldachimami. Meble osłonięte były płótnem. Dwie pary drzwi prowadziły do oddzielnych skrzydeł, których nie używano od tak dawna, a podłoga pokrywała gruba warstwa kurzu.

- Matko boska, czy tak u bogaczy? - zapytał Devlin, kiedy tamtędy szli. - Widział pan, jak daleko do łazienki?

Schellenberg zwrócił uwagę na drzwi, znajdujące się przy końcu podestu na wysokości głównego wejścia.

- Co tam jest?

- Pokażę panu, monsieur. To dodatkowe przejście do jadalni.

Znaleźli się w długiej, ciemnej galerii, biegnącej nad ogromnym pomieszczeniem. Sufit zdobiły łukowate, drewniane belki, a w dole był wielki kominek w renesansowym stylu. Naprzeciwko niego stał olbrzymi drewniany stół, otoczony krzesłami o wysokich oparciach. Nad kominkiem wisały bojowe sztandary.

Kiedy zeszli po schodach, Schellenberg zapytał:

- Co to za chorągwie?

- Pamiętki z wojny, monsieur. Rodzina de Beaumont zawsze wiernie służyła Francji. Widzi pan ten rodkowy sztandar, ten szkarłatno-złoty? Przodek hrabiego niósł go pod Waterloo.

- Co podobnego - odezwał się Devlin. - Zawsze myślałem, że Francuzi tam przegrali.

Schellenberg rozejrzał się po jadalni, a potem poprowadził ich przez wysokie drewniane drzwi z powrotem do głównego holu.

- Zobaczyłem ju wystarczaj co du o. Co powiedział panu major Berger?

- Powiedział, e tu wróci, monsieur. - Starzec wzruszył ramionami. - Za tydzie albo dwa.

Schellenberg poło ył mu dło na ramieniu.

- Nikt nie mo e si dowiedzie , e tu byli my, przyjacielu. Zwłaszcza major Berger.

- Monsieur? - Dissard wydawał si zaskoczony.

- To sprawa najwy szej wagi, któr nale y zachowa w cisłej tajemnicy - wyja nił Schellenberg.

- Rozumiem, monsieur.

- Gdyby nasza wizyta wyszła na jaw, nie b dzie w tpliwo ci, kto o tym doniósł. - Poklepał Dissarda po ramieniu dłoni przyodzian w r kawiczk . - Nie byłoby to dla pana korzystne.

Starzec wydawał si miertelnie przera ony.

- Monsieur, błagam. Nie pisan ani słowa. Przysi gam. Wyszli, wsiedli do d ipa i odjechali.

- Walterze, kiedy pan chce, potrafi pan by bezwzgl dnym łajdakiem - stwierdził Devlin.

- Tylko w razie konieczno ci - odparł Schellenberg, po czym zapytał As : - Damy rad wróci dzisiaj do Berlina?

Zapadał ju zmrok, nad morzem gromadziły si ciemne chmury, a po wilgotnym piasku zacinał deszcz.

- Niewykluczone - odparł Asa. - Je li dopisze nam szcz cie. A mo e trzeba b dzie przenocowa w Chernay i wylecie o wicie.

- Ale perspektywa - stwierdził Devlin. Podniósł kołnierz płaszcza i zapalił papierosa. - To s uroki wojny.

Nast pnego popołudnia zawieziono Devlina do studia filmowego UFA na spotkanie z głównym charakteryzatorem. Karl Schneider miał pod pi dziesi tk . Był wysokim, barczystym m czyzn , przypominaj cym najbardziej robotnika z doków.

Obejrzał zdj cie paszportowe, które wr czył mu Devlin.

- Mówi pan, e maj wła nie takie?

- Co w tym rodzaju.

- To niewiele, zwłaszcza dla policjanta, który ma rozpozna twarz w tłumie. Kiedy by pan tam jechał?

W tym momencie Devlin podj ł decyzj za siebie, za Schellenberga i za wszystkich.

- Powiedzmy za dwa albo trzy dni.

- Na jak długo?

- Najwyżej dziesięć dni. Może pan coś z tym zrobi?

- Jak najbardziej. - Schneider skinął głową. - Może na zmieni kształt twarzy, wkładając do ust tampony, które wypychają policzki, i tak dalej, ale myśli, że w pańskim przypadku nie będzie to konieczne. Niewiele pan wagi, przyjacielu, nie ma pan atletycznej budowy.

- Wszystko dlatego, że się prowadzi - stwierdził Devlin. Schneider puścił ten artykuł mimo uszu.

- Pańskie włosy. Są ciemne, falujące - i długie. Myśli, że powinienem przede wszystkim zrobić coś z włosami. Kogo chce pan udawać?

- Ksiądz. Byłego kapelana, zwolnionego z wojska z powodu odniesionych ran.

- Tak, włosy. - Schneider zawiązał mu na ramionach pelerynę i sięgnął po nożyczki.

Kiedy skończył, Devlin miał włosy przystryżone tuż przy skórze.

- Jezu, to naprawdę ja?

- To dopiero początek. Proszę pochylić się nad umywalką. - Schneider umył mu głowę, a potem wtarł we włosy jakąś substancję. - Pracowałem z najlepszymi aktorami. Z Marlen Dietrich, zanim się wycofała. Miała wspaniałe włosy. No a Konrad Yeidt - cóż za znakomity aktor! Ci przeklęci faszyści ci wypędzili go stąd i teraz, jak słyszysz, gra w Hollywood w roli nie nazistowskich łajdaków.

- Dziwne jest życie - stwierdził Devlin. Siedział z zamkniętymi oczami, pozwalając mu kontynuować.

Kiedy spojrział w lustro, z trudem rozpoznał wpatrując się w niego twarz. Krótko przystryżone włosy były teraz zupełnie siwe, a kości policzkowe rysowały się wyraźnie, co postarzało go o dziesięć albo i dwanaście lat.

- Niech mnie diabli, to fantastyczne!

- Jeszcze jeden drobiazg. - Schneider poszperał w pojemniku z przyborami do charakterystyki, wyjął kilka par okularów i obejrzał je. - Tak, chyba te. To oczywiście zwykłe szkło. - Wsunął Devlinowi na nos okulary w stalowej oprawie i dopasował je. - Tak, znakomicie. Jestem z siebie zadowolony.

- Bo, wyglądam jak Himmler! - stwierdził Devlin. - Czy to na długo wystarczy? Chodzi mi o włosy.

- Około dwóch tygodni, a powiedział pan, że podróż potrwa najwyżej dziesięć dni. - Schneider wyjął małe plastikowe buteleczki. - Płukanie tym włosów mogłoby pomóc, ale nie na długo.

- Nie - odparł Devlin. - Powiedziałem dziesięć dni i tak będzie. Na jedno zresztą wychodzi. Jeśli to potrwa dłużej, zginie.

Zdumiewające! - stwierdził Schellenberg.

- Ciesz się, że pan tak uważa - odparł Devlin. - odpowiednio zdjecia. Nie chcę już z tym zwlekać.

- A cóż to niby ma znaczyć?

Zróbmy więc - Chcemy wyjechać możliwie szybko. Jutro albo pojutrze. Schellenberg spojrzał na niego poważnie.

- Jest pan tego pewien?

- Nie mam już na co czekać, skoro pański przyjaciel z UFA dał mi nowe fizjonomie. W Chernay wszystko zorganizowane. Asa poleci na Lysanderze. Pozostają nam trzy niewiadome: mój przyjaciel z IRA, Michael Ryan, rodzina Shaw i klasztor.

- To prawda - przyznał Schellenberg. - Bez względu na sytuację w klasztorze będzie pan miał naprawdę kłopot, jeżeli Ryan się nie znajdzie. To samo dotyczy Shawa i jego siostry.

- Bez nich w ogóle nic nie dałoby się zrobić - stwierdził Devlin - więc im prędzej tam dotrą, tym szybciej się dowiemy.

- W porządku - odpowiedział energicznie Schellenberg i zadzwonił po Ilse Huber. Kiedy weszła, oznajmił: - Pan Devlin ma dostać dokumenty z wydziału fałszerstw.

- Będzie im potrzebne zdjęcie mojej nowej osoby - zauważył Devlin.

- Ale, panie Devlin, fotografia jest niezbędna tylko w brytyjskim dowodzie to samo ci. Nie wymagaj jej ani kartki żywnościowej, ani kupony na odzież, ani prawo jazdy.

- Szkoda - stwierdził Devlin. - Kiedy ktoś nas legitymuje, sama możliwość porównania twarzy ze zdjęciem na tyle go zadowala, że w mgnieniu oka człowiek jedzie dalej.

- Wybrał pan już sobie nazwisko i przydomki? - zapytał Schellenberg.

- Czemu powtarzam, że najlepsze kłamstwo to takie, które jest najbliższe prawdy - oświadczył Devlin. - Nie ma sensu, abym udawał prawdziwego Anglika. Nawet wielkiemu Devlinowi by się to nie udało. A więc jestem z Ulsteru. - Zwrócił się do Ilse. - Słyszysz pani?

- Każe słowo.

- Conlon. To nazwisko zawsze mi się podobało. Tak się nazywała moja pierwsza dziewczyna. A mój stary wuj, ksiądz z Belfastu, u którego mieszkałem w dzieciństwie, miał na imię Henry, ale wszyscy mówili do niego Harry.

- A zatem ojciec Harry Conlon? - zapytała Ilse.

- Tak, ale to nie wszystko. Major Harry Conlon, kapelan wojskowy, który przebywa na dłuższym urlopie, ponieważ był ranny.

- Gdzie? - zapytał Schellenberg.

- W głow . - Devlin postukał palcem w bliznę po kuli. - Aha, rozumiem, co pan ma na myśli. W sensie geograficznym?

- Co pan powie na tegoroczną inwazję aliantów na Sycylii? - zaproponował Schellenberg.

- Doskonale. Oberwałem pierwszego dnia podczas nalotu. W ten sposób, gdyby ktoś mnie pytał, nie muszę wiele wiedzieć o tamtym miejscu.

- Widziałam w wojskowych aktach wzmiankę na temat kapelanów w brytyjskiej armii - oznajmiła Ilse. - Dobrze pamiętam, bo wydało mi się to do nieznajomych. Mogę pójść sprawdzić, panie generale? To potrwa tylko parę minut.

Schellenberg skinął głową. Kiedy wyszła, oświadczył:

- Załatwię wszystkie sprawy związane z pańskim lotem do Irlandii. Kontaktowałem się już z Luftwaffe. Proponuję, aby pan startował z bazy Laville pod Brestem.

- Może na by rzecz: déjà vu - stwierdził Devlin. - Właśnie stamtąd wylatywałem poprzednim razem. Czy nie proponuję przypadkiem, aby to był bombowiec typu Dornier, poczwójny Latający Ołówek?

- Zgadza się .

- No cóż, wtedy chyba się udało. W tym momencie weszła Ilse.

- Miałam rację. Proszę spojrzeć, co znalazłam.

Przepustka opiewała na nazwisko majora George'a Harveya, kapelana wojskowego, i zaopatrzona była w zdjęcie. Wydało ją Ministerstwo Spraw Wojskowych. Zapewniała nieograniczony wstęp do baz wojskowych i szpitali.

- To zdumiewające, jak potężna jest potrzeba duchowego pocieszenia - stwierdził Schellenberg. - Skąd się wzięła ta przepustka?

- Była wśród dokumentów odebranych jednemu z jeńców, panie generale. Jestem pewna, że wydział fałszerstw bez trudu ci ją skopiuje i pan Devlin będzie tam miał swoją upragnioną fotografię.

- Znakomicie - powiedział Devlin. - Jest pani cudowną kobietą.

- Musi pan też wpaść do działu odzieży - stwierdziła. - Czy będzie panu potrzebny mundur?



- To jest my l. Mo e si przyda . Poza tym ciemny garnitur, koloratka, czarny kapelus, płaszcz przeciwdeszczowy. Mog mi te da Krzy Wojenny. Skoro ju jestem ksi dzem, dlaczego miałbym nie by dzielny? To zawsze robi wra enie. B d te potrzebował biletu na przejazd z Belfastu do Londynu. Takiego, z jakich korzystaj wojskowi, na wypadek, gdybym rzeczywi cie chciał odgrywa majora.

- Zajm si tym - o wiadczyła Ilse i wyszła.

- Co jeszcze? - zapytał Schellenberg.

- Pieni dze. Powiedzmy, pi tysi cy funtów. Na par łapówek i moje utrzymanie. Je eli zdob dzie pan dla mnie tak brezentow walizk , jakich u ywaj teraz oficerowie, fors da si ukry w podwójnym dniu.

- Na pewno nie b dzie z tym problemu.

- Banknoty pi ciofuntowe, Walterze, i to prawdziwe. adnych fałszywych papierków. Wiem przypadkiem, e SS takie drukuje.

- Ma pan na to moje słowo. B dzie panu potrzebny kryptonim.

- Wystarczy ten, którego u ywaj Shaw i jego siostra. Sokół. Prosz mi dokładnie powiedzie , jak skontaktowa si z pa sk radiostacj . Odezw si , zanim si pan obejrzy.

- wietnie. Führer ma konferencj w Belle-Ile dwudziestego pierwszego. Mo e zd ymy w sam raz.

- Damy sobie rad . - Devlin wstał z krzesła. - Chyba wpadn do kantyny. - Kiedy był ju przy drzwiach, odwrócił si . - Aha, jeszcze jedno.

- Co takiego?

- Kiedy w czterdziestym pierwszym zrzuciono mnie na spadochronie nad Irlandi z zadaniem dla Abwehry, miałem w walizce pieni dze dla IRA, dziesi tysi cy funtów. Gdy j otworzyłem, znalazłem równo uło one pliki pi ciofuntowych banknotów, ka dy opasany banderol Banku Berli skiego. My li pan, e tym razem mogliby spisa si troch lepiej?

- I oni si dziwi , e przegrywamy wojn - westchn ł Schellenberg.

Kiedy Devlin wszedł do kantyny, Asa popijał piwo, czytaj c egzemplarz Sygnału, pisma dla niemieckich ołnierzy. Irlandczyk zamówił kaw i podszedł do niego.

- Nie wierz własnym oczom - stwierdził Asa. - Z trudem pana poznałem.

- To moje nowe wcielenie. Ojciec Harry Conlon, uni ony sługa. Tak e major Harry Conlon, kapelan wojskowy. Jutro w nocy wyruszam w drog .

- Czy to nie za du e tempo?

- Na Boga, synu, nie chc ju tego odkłada .

- Sk d pan odlatuje?

- Z Laville, koło Brestu.

- Co to za samolot?

- Dornier 215.

- Dobrze, sam z panem polec .

- Nic z tego. Jeste dla nas zbyt cenny. Powiedzmy, e podrzucisz mnie do Irlandii, a w powrotnej drodze zestrzeli ci poza obszarem Francji brytyjski nocny my liwiec. Byłby niezły bigos.

- No dobrze - przyznał niech tnie Asa. - Ale mog z panem polecie przynajmniej do Laville. Temu nikt si nie sprzeciwi.

- Zawsze to przyjemniej, gdy odprowadza człowieka przyjaciel - stwierdził Devlin.

Min ła wła nie dziewi ta wieczorem nast pnego dnia, gdy w ród zacinaj cego znad Atlantyku deszczu Asa obserwował z wie y kontrolnej w Laville start dorniera. Otworzywszy okno nasłuchiwał cichn cego w mroku nocy warkotu maszyny, a kiedy je zamkn ł, powiedział do radiotelegrafisty:

- Prosz nada t wiadomo .

Devlin, poło ywszy obok siebie worek z ekwipunkiem, siedział w lotniczym kombinezonie z tyłu dorniera, gdy podszedł do niego radiooperator.

- Jest do pana depesza, sir. Kto głupio si zabawia.

- Niech pan przeczyta.

- „Połamania nóg”. To wszystko. Devlin wybuchn ł miechem.

- No có , synu, trzeba by aktorem, eby to zrozumie .

Dornier nie miał opó nienia i krótko po drugiej w nocy Devlin skoczył na spadochronie z wysoko ci pi ciu tysi cy stóp. Tak jak poprzednio wybrał hrabstwo Monaghan, gdy rejon ten był mu dobrze znany i graniczył z Ulsterem.

Worek z ekwipunkiem bardzo si spadochroniarzowi przydaje, gdy zwisaj c na linie dwadzie cia stóp pod nim pierwszy uderza o ziemi , co przy ł dowaniu w ciemno ciach jest po danym sygnałem ostrzegawczym. Chwilami pojawiał si sierp ksi yca, ułatwiaj c Devlinowi zadanie. Wyl dował bezbł dne i w ci gu kilku minut wyj ł z worka walizk , saperk , ciemny przeciwdeszczowy płaszcz i filcowy kapelusz. Znalazł jaki rów, wygrzebał w nim dziur , wrzucił do niej worek, spadochron i lotniczy kombinezon, po czym cisn ł saperk do pobliskiego stawu.

Wło ywszy płaszcz i kapelusz otworzył walizk i odszukał okulary w stalowej oprawie, które schował tam dla bezpiecze stwa. Pod zło onym starannie mundurem le ał brezentowy pas i kabura, a w niej rewolwer typu smith and wesson kaliber trzydzie ci osiem,

bro , w któr wyposa ano cz sto brytyjskich oficerów. Obok znajdowało si pudełko z pi dziesi cioma nabojami. Wygl dało na to, e wszystko jest w porz dku. Devlin wło ył okulary i podniósł si .

- B d pozdrowiona, Maryjo, łaski pełna, oto ja, grzesznik - powiedział cicho. - Pomó mi, jak potrafisz. - Prze egnawszy si podniósł walizk i ruszył w drog .

Przekroczenie granicy Ulsteru nie stanowiło nigdy problemu dla kogo , kto j znał. Pod aj c wiejskimi drogami, a od czasu do czasu poln cie k , kwadrans po czwartej dotarł bezpiecznie do Ulsteru i stan ł na brytyjskiej ziemi.

Zaraz potem miał niewiarygodne szcz cie. Min ła go ci arówka, a jej kierowca, człowiek po sze dziesi tce, zahamował i wyrztał z kabiny.

- Na Boga, a dok d to ojciec idzie o tak wczesnej porze?

- Do Armagh - odparł Devlin. - eby zd y na poranny poci g do Belfastu.

- Co za dziwny przypadek! Wła nie jad tam na rynek.

- Niech Bóg ci błogosławi, mój synu - powiedział Devlin, wdrapuj c si na siedzenie obok niego.

- Nie ma o czym mówi , ojcie - stwierdził farmer, ruszaj c z miejsca. - W ko cu, gdyby ksi dz nie znalazł pomocnej dłoni w Irlandii, to gdzie miałby jej szuka ?

Tego s dnego ranka o godzinie dziesi tej Schellenberg zapukał do drzwi Reichsführera i wszedł do jego gabinetu.

- Słucham? - odezwał si Himmler. - O co chodzi?

- Dostałem potwierdzenie z Laville, Reichsfuhrer, e około drugiej w nocy Devlin wyskoczył na spadochronie nad południow Irlandi .

- Doprawdy? - odparł Himmler. - Szybko pan działa, Brigade-Führer. Moje gratulacje.

- Oczywiście nie ma adnych gwarancji sukcesu, Reichsfuhrer. Nawet to, e Devlin bezpiecznie wyl dował, musimy bra na słowo, a kiedy dotrze do Londynu, sprawy mog si ró nie uło y .

- W naszych planach nast piła zmiana - oznajmił Himmler. - Konferencja Führera w Belle-Ile odb dzie si pi tnastego.

- Ale , Reichsfuhrer, to daje nam tylko tydzie !

- Tak, no có , jeste my w r kach Führera. Nie nale y kwestionowa jego decyzji. Wiem, e mimo wszystko postara si pan nie zawie . Niech pan działa, generale.

Schellenberg wyszedł, zamykaj c za sob drzwi. Czuł si zupełnie oszołomiony.

- Na lito bosk , do czego ten łajdak zmierza? - powiedział cicho, wracaj c do biura.

Devlin nie mógł w żaden sposób dostać w Belfastzie biletu na prom do Heysham w hrabstwie Lancashire. Była już lista oczekujących. Na trasie do Glasgow sytuacja wyglądała niewiele lepiej. Pozostawało więc połączenie z Larne, na północ od Belfastu, do Stranraer, czyli ta sama droga, którą płynął przed „Operacją Orzeł”. Rejs trwał krótko, a z portu kursował specjalny pociąg do Londynu. Tym razem Devlin nie zamierzał jednak ryzykować. Pojechał lokalnym pociągiem z Belfastu do Larne, wszedł w porcie do publicznej toalety i zamknął drzwi na klucz. Kiedy wychodził stamtąd w kwadrans później, miał na sobie mundur.

Opłaciło się to natychmiast. Na statku był komplet pasażerów, wojskowi mieli jednak swoje przywileje. Kasjer nie zainteresował się prawie wcale biletem, który Devlin dostał w Berlinie, za to widząc mundur majora, baretkę Krzyża Wojennego i koloratkę duchownego wpisał go od razu na list pasażerów.

To samo zdarzyło się w Stranraer, gdzie dostał miejsce w wagonie pierwszej klasy, choć pociąg był niewiarygodnie zatłoczony. Jechał trasą ze Stranraer do Glasgow, stamtąd do Birmingham, a następnie do Londynu, docierając następnego dnia o trzeciej nad ranem na stację King's Cross. Ledwie wysiadł z pociągu i zmieszał się z tłumem, syreny obwieściły alarm przeciwlotniczy.

Początek roku 1944 stał się dla londyńczyków „sezonem nalotów”, gdy Luftwaffe, zwiastując znacznie skuteczność swego lotnictwa, przystąpiła znowu do nocnych bombardowań Londynu. Alarm, który usłyszał Devlin, zwiastował zbliżenie się samolotów rozpoznawczych typu Ju 88, startujących z Chartres we Francji. Ciężkie bombowce nadleciały później, ale wtedy, podobnie jak tysiące innych ludzi, Devlin siedział już bokiem pod ziemią, w miarę bezpiecznie przeczekując tę noc na stacji londyńskiego metra.

Mary Ryan była dziewczyną, na którą zwracano uwagę nie z powodu jej szczególnego piękna, lecz ze względu na dziwny, niemal niezmierny typ urody. Prawdą mówiąc, nigdy nie cieszyła się dobrym zdrowiem, a uciążliwość wojny pogarszała jeszcze sytuację. Miała zawsze bladą twarz i podkrążone oczy, a poza tym od urodzenia silnie kuląła. Liczyła sobie dopiero dziewiętnaście lat, lecz wyglądała na dużo starszą.

Jej ojciec, działacz IRA, zmarł tuż przed wojną na atak serca w więzieniu Mountjoy w Dublinie, a w 1940 roku matka umarła na raka. Zajął się nią jedyny krewny, wuj Michael, młodszy brat ojca, który od lat mieszkał w Londynie i żył samotnie, odkąd w trzydziestym ósmym roku pochował on. Dziewczyna przeniosła się z Dublina do Londynu i prowadziła mu dom, pracując jako sprzedawczyni w dużym sklepie spożywczym na Wapping High Street.

Tego dnia wszystko się jednak skończyło, bo gdy o ósmej rano przyszła do pracy, sklep i znaczna część ulicy były jedynie stertami dymiących zgliszczy. Stała tam, przyglądając się karetkom pogotowia, strażakom gaszącym ogień i ludziom z ekipy ratowniczej, którzy przeszukiwali gruzy w nadziei, że ktoś mógł ocalać.

Próbowała pomóc, na ile mogła, a potem odwróciła się i odeszła. Ku tykając pośpiesznie po chodniku wyglądała dookoła dziwnie w tym swoim czarnym berecie i starym nieprzemakalnym płaszczu. Weszła do sklepu w bocznej uliczce, kupiła mleko, bochen chleba i papierosy dla wuja, po czym ruszyła dalej. Kiedy skręciła w Cable Wharfe, zaczął padać deszcz.

Nad rzeką stało początkowo dwadzieścia domów. Piętnaście uległo zniszczeniu podczas bombardowania. Dalsze cztery miały zabite deskami okna. Mary zajmowała z wujem dom stojący na samym końcu. Z boku znajdowały się kuchenne drzwi, które wychodziły na brukowy taras. W dole płynęła Tamiza. Mary zatrzymała się przy barierce, spoglądając na most i widoczne w niewielkiej odległości wieże londyńskiego Tower. Kochała ten rzek i nigdy nie była niżej niż ona. Ogromne statki płynęły do londyńskich doków i z powrotem, nieustannie kursowały barki. Z końca tarasu schodziło się po drewnianych schodkach na małe, prywatne molo. Były tam przycumowane dwie łodzie wuja: wiosłowy skiff i wioślarska od niego nieduża motorówka z kabiną. Wyjrawszy przez barierkę Mary zobaczyła na molo jakiegoś mężczyznę, który krył się przed deszczem, palił papierosa. Miał na sobie czarny kapelusz i nieprzemakalny płaszcz, a obok niego stała walizka.

- Kim pan jest? - krzyknęła ostro. - To teren prywatny.

- Dzień dobry, panienko - zawołał wesołym mężczyzną i podniósłszy walizkę wszedł na schody.

- Czego pan chce? - zapytała. Devlin uśmiechnął się.

- Szukam Michaela Ryana. Znasz go przypadkiem? Pukałem do drzwi, ale nikt nie otwiera.

- Jestem Mary, jego bratanica - oświadczyła. - Wuj Michael nie wrócił jeszcze do domu. Miał nocną zmianę.

- Nocną zmianę? - zdziwił się Devlin.

- Tak. Jedną taksówkę. Od dziesiątej tej do dziesiątej tej. Dwanaście godzin.

- Rozumiem. - Spojrzał na zegarek. - Zostało więc jeszcze półtorej godziny.

Czuł, że dziewczyna jest trochę niespokojna i nie ma ochoty zapraszać go do rodzaka.

- Chyba nigdy się nie spotkaliśmy - stwierdziła.

- Nic dziwnego. Właśnie nie przyjechałem z Irlandii.

- Wi c zna pan wuja Michaela?

- O, tak. Jeste my starymi przyjaciółmi. Nazywam si Conlon. Ojciec Harry Conlon - dodał, rozpinaj c od góry ciemny płaszcz, aby mogła zobaczyć koloratk .

- Mo e zechce ojciec wej i zaczeka ? - powiedziała, wyra nie uspokojona.

- Nie, dzi kuj . Przejd si troch i wróć pó niej. Czy mog zostawi tu walizk ?

- Oczywiście.

Otworzyła kuchenne drzwi. Wszedł za ni do rodka i postawił walizk na podłodze.

- Mo e wiesz przypadkiem, gdzie jest klasztor Naj wi tszej Marii Panny?

- Ale tak - odparła. - Trzeba i po Wapping High Street do Wapping Wall. To jest w pobli u St. James's Stairs, nad rzek . Jak mil st d.

- Macie tu wspaniały widok - powiedział, wyszedłszy na zewn trz. - Jedna z ksi ek Dickensa zaczyna si od sceny, jak pewna dziewczyna płynie z ojcem łodzi po Tamizie i szukaj topielców, eby przetrz sn im kieszenie.

- Nasz wspólny przyjaciel - powiedziała. - Ta dziewczyna miała na imi Lizzie.

- Mój Bo e, mała, ale jeste czytana!

- Ksi ki s dla mnie wszystkim - odparła, wdzi czna, e to powiedział.

- Naprawd ? - Dotkn ł r k kapelusza. - Niedługo wróć . Kiedy szedł po tarasie, Mary zamkn ła drzwi, słysz c jeszcze odgłos jego kroków na metalowych płytach.

Z Wapping High Street widziało si wyra nie, jak bardzo londy skie doki ucierpiały wskutek bombardowa , a jednak były zadziwiaj co ruchliwe i pełne statków.

- Ciekawe, co by na to powiedział stary Adolf - mrukn ł Devlin. - Pewnie byłby niemiłe zaskoczony.

Odnalazł bez trudu klasztor Naj wi tszej Marii Panny. Stał nad rzek , po przeciwnej stronie głównej drogi i miał wysokie mury z szarego kamienia, z biegiem czasu ciemniej ce coraz bardziej od miejskiego smogu. W gł bi wida było wyra nie dach kaplicy, a nad ni wznosiła si wie a z dzwonami. Co ciekawe, wielkie d bowe drzwi, przez które wchodziło si do rodka, stały otworem.

Na znajduj cej si obok tablicy był napis: „Klasztor pod wezwaniem Naj wi tszej Marii Panny, Siostry Miłosierdzia. Matka Przeł ona: siostra Maria Palmer”. Devlin oparł si o mur, zapalił papierosa i obserwował. Po chwili pojawił si stró w niebieskim mundurze. Postął na szczycie schodów, popatrzył na drog , po czym wszedł z powrotem do rodka.

W dole, mi dzy rzek a murem, był w ski pas błota i drobnych kamieni. Prowadziły tam schodki, widoczne w niewielkiej odległo ci. Devlin zszedł po nich jakby od niechcienia i przechadzał si po kamienistym brzegu, przypominaj c sobie rysunki architekta i wygl d

tunelu starego kanału. Zobaczył go dopiero w miejscu, gdzie skończyła się już ławica kamieni, a woda uderzała łagodnie o mur. Łukowaty wylot tunelu był niemal całkowicie zatopiony i wystawał najwyżej dwie stopy nad powierzchnię.

Devlin wrócił na drogę i w odległości jednej przecznicy od klasztoru znalazł naróg gospody „Pod Flisakiem”. Wszedłszy do salonu zobaczył młodą kobietę w chustce na głowie i szerokich spodniach, która zmywała podłogę. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Słucham, czego pan chce? Otwieramy dopiero o jedenastej. Devlin rozpiął płaszcz i wtedy zobaczyła jego koloratki.

- Przepraszam, nie przeszkadzam. Nazywam się Conlon. Ojciec Conlon.

Dziewczyna miała na szyi łańcuszek i Devlin zauważył, że nosi krzyżyk. Od razu potraktowała go inaczej.

- W czym mogę pomóc, ojczek?

- Wiedziałem, że będziesz w tej okolicy i kolega prosił mnie, abym odwiedził jego przyjaciela. Jest spowiednikiem w klasztorze Najświętszej Marii Panny. To głupie z mojej strony, ale zapomniałem, jak się nazywa.

- Chodzi pewnie o ojca Franka - odparła, a potem uśmiechnęła się. - Cóż, tak go tu nazywamy. To ojciec Frank Martin. Jest proboszczem pobliskiej parafii świętego Patryka i zajmuje się tym klaszturem. Bóg jeden wie, jak w jego wieku daje sobie z tym radę. Nikt mu nie pomaga, pewnie z powodu wojny.

- A więc to parafia świętego Patryka? Niech Bóg pani błogosławi - powiedział Devlin i wyszedł.

Kościół nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był w stylu późnowiktoriańskim, jak większość kościołów katolickich w Anglii, które budowano po wprowadzeniu w angielskim prawodawstwie zmian, legalizujących ten odłam chrześcijaństwa.

Nie brakowało tam typowego zapachu świec i kadzideł, religijnych obrazów, stacji Drogi Krzywej, wszystkich tych rzeczy, które nigdy nie miały dla Devlina większego znaczenia, choć kształcił się u jezuitów. Usiadł w ławce i po chwili zobaczył, że z zakrystii wyłania się ojciec Martin, przyklękając przed ołtarzem. Kiedy staruszek modlił się na kolanach, Devlin wstał i ostro nie wyszedł.

Michael Ryan miał nieco ponad sześć stóp wzrostu i jak na swoje sześćdziesiąt lat nie leśsi trzymał. Siedział przy kuchennym stole, ubrany w czarną skórzaną kurtkę i biały szalik. Obok niego leżała tweedowa czapka. Popijał herbatę z dużego kubka, który podała mu Mary.

- Mówisz, że nazywa się Conlon? - Pokręcił głowę. - Nigdy nie miałem znajomego o takim nazwisku. Właściwie w ogóle nie znałem bliżej żadnego księdza.

Kto zapukał do kuchennych drzwi i Mary poszła otworzyć. Na deszczu stał Devlin.

- Niech Bóg wam błogosławi - powiedział, wchodząc do rodka. Ryan wpatrywał się nieufnie w przybysza, a potem na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania.

- Dobry Bóg! To chyba niemożliwe. Liam Devlin! To naprawdę ty?

Podniósł się od stołu, a Devlin położył mu dłonie na ramionach.

- Czas łaskawie się z tobą obszedł, Michael.

- Ale co tobie zrobili, Liam?

- Och, nie wierz we wszystko, co widzisz. Musiałem trochę zmienić wygląd. Dodaliśmy parę lat. - Zdjął kapelusz i przeczesał palcami swoje szczecinę. - Te włosy zawdzięczają teraz więcej chemii niż naturze.

- Wejdziesz do rodka, chłopie, bardzo proszę. - Ryan zamknął drzwi. - Uciekasz przed kimś czy co?

- Co w tym rodzaju. Długo by trzeba wyjaśniać.

- To moja bratanica, Mary - powiedział Ryan. - Pamiętasz mego starszego brata, Seamusa? Tego, który zmarł w więzieniu Mountjoy.

- Dobry człowiek, któremu przyszło w najgorszych czasach - stwierdził Devlin.

- Mary, to mój stary przyjaciel, Liam Devlin.

Jego słowa wywarły na dziewczynie niezwykle wrażenie, jakby ktoś zapalił w niej wewnętrzne światło. Jej twarz nabrała niemal takiego wyrazu.

- To pan jest Liam Devlin? Najśłodsza Panienko! Słyszałam o panu już wtedy, gdy byłam małą dziewczynką.

- Mam nadzieję, że nic złego - stwierdził Devlin.

- Proszę usiąść. Napije się pan herbaty? Jadł pan już śniadanie?

- Właściwie nie.

- Mam jajka i zostało jeszcze trochę boczku, który wuj Michael dostał na czarnym rynku. Podzielimy się z panem.

Kiedy zakrzętnęła się przy kuchni, Devlin zdjął płaszcz i usiadł naprzeciwko Ryana.

- Masz tu telefon?

- Tak, w holu.

- To dobrze. Będę musiał później zadzwonić.

- O co chodzi, Liam? Czy IRA postanowiła działać znowu w Londynie?



- Tym razem nie pracuj dla IRA - wyjaśnij Devlin. - Nie bez powodu. Prawda mówi ci, przyleciałem z Berlina.

- Słyszałem, że organizacja ma jakieś konszachty z Niemcami - stwierdził Ryan. - Ale po co, Liam? Czy to znaczy, że włączyłeś ich popierasz?

- Wiem coś z nich to nazistowskie winie - odparł Devlin. - Ale nie wszyscy. Ich celem jest wygranie wojny, a moim - zjednoczona Irlandia. Wchodziłem z nimi w dziwne układy, zawsze dla pieniędzy, które wpłacano dla organizacji na szwajcarskie konto.

- I tutaj też jesteś na ich polecenie? Po co?

- Niedaleko stąd, w klasztorze Najświętszej Marii Panny, brytyjski wywiad trzyma pod strażą niejakiego pułkownika Steinera. Tak się składa, że to przyzwoity człowiek i nie jest faszystą. Musisz wierzyć mi na słowo. Tak się również składa, że Niemcy chcą go uwolnić. Dlatego tu jestem.

- Aby go wydostać? - Ryan pokręcił głową. - Nie masz sobie równych. To kompletne szaleństwo.

- Postaram się za bardzo ci nie angażować, ale potrzebuję pomocy. Przyrzekam, że nie będzie to wymagało zbyt dużego wysiłku.

Mógłbym poprosić cię o przysługę w imię starej przyjaciółki, ale tego nie zrobię. - Devlin podniósł walizkę, położył ją na stole i otworzył. Odsunął na bok rzeczy przejechał palcem po dnie walizki i cisnął podszewką, odsłaniając schowane tam pieniądze. Wyjął paczkę pięćdziesięciu banknotów i położył je na stole. - Tysiąc funtów, Michael. Ryan przeczeszał palcami włosy.

- Mój Boże, Liam, co mam na to powiedzieć?

Dziewczyna postawiła przed nimi talerze z jajecznicą na boczku.

- Po tym, co opowiadałeś mi o panu Devlinie, nie powinienem brać od niego ani pensa. Ciesz się lepiej, że możesz mu pomóc.

- Ach, co to znaczy być młodym! - Devlin objął ją w tali. - Gdyby życie mogło tak wyglądać. Ale nie trać złudzeń, dziewczyno. - Odwrócił się do Ryana. - No i co, Michael?

- Na Boga, Liam, raz się wyje. Weźmiesz te tysiąc funtów, żeby ci udowodniłem, że jestem tylko słabym człowiekiem.

- A więc do rzeczy. Masz tu przypadkiem jakiego bro?

- Przedwojenny luger. Jest w sypialni, pod podłogą. Leży tam już z pięć lat, razem z amunicją.

- Sprawdź, w jakim jest stanie. Czy byś mógł się u niego zatrzymać? To nie potrwa długo.

- W porządku. Mamy sporo miejsca.

- A teraz transport. Widziałem przed domem czarną taksówkę. Czy to będzie ten wóz?

- Nie. Mam w szopie fordą - furgonetkę. Rzadko go teraz używam. Brakuje paliwa, sam rozumiesz.

- W porządku. Skorzystam z telefonu, jeżeli można.

- Proszę bardzo.

Devlin zamknął drzwi. Był przy telefonie sam. Zadzwoił do informacji i poprosił o numer Shaw Place. Dziewczyna podała mu go po dwóch lub trzech minutach. Zapisał, co trzeba, a potem usiadł na krześle obok telefonu, przez moment się zastanawiając. Następnie podniósł słuchawkę, po chwili czytał z centrali i podał numer telefonistce.

Po chwili ktoś odebrał telefon po drugiej stronie i kobiecy głos powiedział:

- Charbury trzysta czternaście.

- Czy sir Maxwell Shaw jest w domu?

- Nie, nie ma go. Kto mówi?

Devlin postanowił zaryzykować. Pamiętał z wzmianek w aktach, że siostra Shawa już przed wieloma laty powróciła do panieńskiego nazwiska, zapytał:

- Czy mówi z panną Lavinia Shaw?

- Zgadza się. Kim pan jest?

- Czy Sokół nadal czeka? Nadeszła pora, aby uderzyć - powiedział Devlin.

Wywarło to na niej natychmiast piorunujące wrażenie.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Lavinia Shaw, po czym zapadło milczenie.

Devlin odczekał chwilę, a potem zapytał:

- Słyszysz mnie pani, panno Shaw?

- Tak, słyszę.

- Muszę zobaczyć się jak najszybciej z panią i pani bratem. To pilne.

- Brat pojechał do Londynu - odparła. - Musiał się spotkać ze swoim radcą prawnym. Jest w Klubie Wojskowym. Powiedział mi, że zostanie tam na obiad i wróci popołudniowym pociągami.

- Wietnie. Proszę się z nim skontaktować i przekazać, żeby na mnie czekał. Powiedzmy o drugiej. Nazywam się Conlon. Major Harry Conlon.

Zaległo milczenie.

- Czy już się zbliża?

- Co, panno Shaw?

- No wie pan, inwazja.

Devlin z trudem pohamował miech.

- Kiedy zobacz się z pani bratem, na pewno będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać.

Wrócił do kuchni, gdzie Ryan siedział nadal przy stole. Dziewczyna, zmywając naczynia przy zlewie, zapytała:

- Wszystko w porządku?

- W porządku - odparł. - Każda podróż musi mieć swój początek. - Podniósł walizkę. - Może mi pokazać, gdzie jest mój pokój? Powiniennem się przebrać.

Zabrała go na górę i poprowadziła do sypialni z tyłu domu, której okna wychodziły na rzekę. Devlin rozpakował walizkę i położył na łóżku mundur. Wsunął pod materac smittha and westona, a także brezentowy pas i kaburę wraz z zakładanym na tyłek skórzanym futerałem na broń, który również wyjął z walizki. Znalazłszy na korytarzu łazienki szybko się ogolił i uczesał, po czym wrócił do pokoju, aby się przebrać.

W kwadrans później zszedł po schodach, wyglądając olśniewająco w wojskowym mundurze.

- Mój Boże, Liam. Nigdy nie sądziłem, że doczekam tego dnia.

- Znasz to stare powiedzenie, Michael - stwierdził Devlin. - Kiedy lis ma na ogonie sforę ogarów, łatwiej ujdzie z życiem, gdy upodobni się do psa. - Spojrzał na Mary i uśmiechnął się. - A teraz, moja droga, miałbym wielką ochotę na filiżankę herbaty.

I właśnie w tym momencie biedna dziewczyna zakochała się w nim po uszy. Doznała czegoś, co Francuzi nazywają coup de foudre, czyli rażenia piorunem. Czując, że się czerwieni, odwróciła się w stronę kuchenki.

- Oczywiście, panie Devlin. Zaraz zaparz.

Członkowie Klubu Wojskowego nazywali go po prostu „Spelunk”. Lokal mieścił się na Pali Mali, w dużym mrocznym pałacyku w weneckim stylu. Zarząd klubu słynął od wiktoriańskich czasów z wyrozumiałości dla członków, którzy okryli się hańbą albo popadli w kłopoty. Sir Maxwell Shaw był tego dobitnym przykładem. Nikt nie widział najmniejszej potrzeby, aby odmawiać mu członkostwa tylko z tego powodu, że został aresztowany na podstawie paragrafu 18 B. Był w końcu oficerem i dżentelmenem, rannym w walce i odznaczonym za dzielny służbę dla kraju.

Siedział w kielichu sali niadaniowej, popijając szkocką, którą przyniósł mu kelner, i rozmyślał nad dziwnym telefonem od Lavinii. Nie mógł uwierzyć, że właśnie teraz, po tak długim czasie, nadeszło wezwanie. Boże, ale był podekscytowany! Od lat nie odczuwał takiej emocji.

Zamówił następną porcję szkockiej i w tej samej chwili podszedł do niego portier.

- Jest pański gość, sir Maxwell.

- Mój gość?

- Major Conlon. Mam go wprowadzić?

- Tak, oczywiście. I to natychmiast!

Shaw zerwał się na nogi, poprawiając krawat. Po chwili portier wrócił w towarzystwie Devlina, który wyciągnął rękę na powitanie i powiedział swobodnie:

- Jestem Harry Conlon. Miło mi pana poznać, sir Maxwell. Shawa zdumiał nie tyle jego mundur, ile koloratka. W momencie, gdy się witali, kelner przyniósł szklankę szkockiej.

- Napije się pan, majorze?

- Nie, dziękuję. - Kelner oddalił się, a Devlin usiadł i zapalił papierosa. - Jest pan chyba trochę poruszony, sir Maxwell.

- Na Boga, człowieku, oczywiście, że jestem. Ale o co właściwie chodzi? Kim pan jest?

- Czy Sokół nadal czeka? - powiedział Devlin. - Bo nadeszła pora, aby uderzyć.

- Tak, ale...

- Wadnych „ale”, sir Maxwell. Przed laty, kiedy Werner Keitel zwerbował pana i pańskie siostry, abyście działali, że się tak wyrażę, „dla sprawy”, złożył pan przysięgę, prawda? Czy chce pan jej dotrzymać? Po czyjej stronie jest pan?

- Czy to znaczy, że ma pan dla mnie robotę?

- Jest pewne zadanie do wykonania.

- Dojdzie wreszcie do inwazji?

- Jeszcze nie teraz - odparł bez namysłu Devlin - ale niebawem. Jest pan po naszej stronie?

Był gotów wywierać na niego nacisk, ale okazało się to niepotrzebne. Shaw dopił jednym haustem szklankę whisky i stwierdził:

- Oczywiście, że jestem. Czego pan ode mnie oczekuje?

- Przejdźmy się trochę - zaproponował Devlin. - Najlepiej do parku po drugiej stronie drogi.

Zaczęło padać i deszcz bębnił o szyby. Przy szatni nie było chwilowo portiera. Shaw znalazł swój melonik, nieprzemakalny płaszcz i parasol. W gószczy okrył się wojskowym trenczem. Devlin zdjął go z wieszaka i wyszedłszy za Shawem nałożył płaszcz na ramiona.

Udali się do parku St. James i szli wzdłuż brzegu jeziora w kierunku pałacu Buckingham. Shaw trzymał w górze parasol. Po chwili znaleźli się pod osłoną drzew i Devlin zapalił papierosa.

- Ma pan ochotę ?

- Nie teraz. Jakiego ma pan dla mnie zadanie?

- Przed wojną pańska siostra latała samolotem typu Tiger Moth. Ma go jeszcze?

- RAF zarekwirował go do lotów szkoleniowych w zimie trzydziestego dziewiątego roku.

- Czy stoi jeszcze ta stodoła, która służyła za hangar?

- A co z łęką, która była dowiskiem? Nazywali ją chyba to miejsce South Meadow. Nie zaorano go pod uprawy dla wojska czy coś w tym rodzaju?

- Nie, na wszystkich gruntach wokół Shaw Place, na ziemi, która kiedyś była nasza, wypasa się owce.

- Czy South Meadow nadal do was należy?

- Oczywiście. Ma to jakieś znaczenie?

- Można by tak powiedzieć. Przyleci tu samolot z Francji, i to w niezbyt odległej przyszłości.

Twarz Shawa ogromnie się ożywiła.

- Naprawdę? W jakim celu?

- Aby zabrać mnie i pewnego człowieka. Im mniej pan wie, tym lepiej, ale to kto waży. Czy narazim tym pana na jakieś kłopoty?

- Ale nie! Ciesz się, że mogę pomóc. - Shaw zmarszczył lekko brwi. - Pan nie jest Niemcem, prawda?

- Pochodzi z Irlandii - odparł Devlin. - Ale jesteście po tej samej stronie. Werner Keitel dał panu radio. Ma je pan jeszcze?

- Cóż, tu mnie pan przyłapał. Niestety, już go nie mamy. Widzi pan, w czterdziestym pierwszym roku wprowadził te idiotyczne przepisy. Przez parę miesięcy siedziałem w więzieniu.

- Wiem o tym.

- Moja siostra, Lavinia... Wie pan, jakiegoś kobiecie. Wpadła w panikę. Obawiała się, że przyjdzie policja i zrewidują cały dom. W okolicy jest pełno bagien, niektóre bardzo głębokie. Wrzuciła tam nadajnik. - Wyglądał na zmartwionego. - Czy będzie z tym problem?

- Tylko chwilowo. Wraca pan dzisiaj do domu?

- Tak.

- To dobrze. Skontaktuj się z panem. Jutro albo pojutrze. - Devlin wdepnął w ziemi niedopałek papierosa, stwierdzając na odchodne: - Bo e, co za ulewa! Typowo londyńska. Zawsze to samo.

Kiedy skręcił na taras z boku domu przy Cable Wharfe, deszcz zaczął znowu z rzeki. Nad motorówkami, między linami cumowniczymi a kokpitem, wisiała plandeka. Mary Ryan siedziała w środku, osłonięta od deszczu, i czytała książkę.

- Dobrze ci tam? - zawołał Devlin.

- Owszem. Wuj Michael jest w kuchni. Potrzebuje pan czegoś?

- Nie, nie w tej chwili.

Kiedy Devlin wszedł do domu, Ryan siedział przy stole. Przykrywszy blat gazet rozkładał na czczo swojego lugera. Palce miał całe w smarze.

- Na Boga, Liam, zapomniałem już, jak to się robi.

- Daj mi się przebrać, to ci pomogę - powiedział Devlin.

Po pięciu minutach był z powrotem, ubrany w ciemne spodnie i czarne polo. Zebrał poszczególne części lugera i zaczął je oliwić, a potem fachowo złożył cały pistolet.

- Dobrze ci poszło? - zapytał Ryan.

- Owszem, o ile spotkanie z szalecem można w ogóle uznać za udane - powiedział Devlin. - Wiesz, Michael, mam do czynienia z angielskim arystokratą, który jest na tyle stuknięty, że wciwnie nie może się doczekać niemieckiej inwazji, i to na trzy tygodnie.

Opowiedział Ryanowi o Shaw Place, o panu Shaw i jego siostrze. Kiedy skończył, Ryan stwierdził:

- Wyglądają na parę szaleńców.

- Tak. Problem w tym, że potrzebne mi radio, a oni go nie mają.

- I co zamierzasz zrobić?

- Przypomniały mi się dawne czasy, kiedy tu byłem, żeby zrobić porządek z pewnym komando. Dostawali broń, a nawet ładunki wybuchowe, od facetów z pół wiatka. Czy mam rację?

Ryan skinął głową.

- Zgadza się.

- A ty, Michael, o ile dobrze pamiętam, miałyś swoje kontakty.

- To było dawno temu.

- Daj spokój, Michael. Jest wojna. Wszystko, od paliwa do papierosów, kupuje się na czarnym rynku. W Berlinie jest tak samo. Nie powiesz mi chyba, że ty, londyński taksjarski, nie siedzisz w tym po uszy.

- No dobrze. - Ryan podniósł rękę w pojedynczym geście. - Potrzebujesz radia, ale to musi być sprzyjający w wojsku.

- Zgadza się.

- Wić nie wystarczy pójść do jakiegoś pokutnego handlarza. Przez chwilę obaj milczeli. Devlin rozłożył lugera i starannie wytarł kałczy szmatę.

- To do kogo mam pójść?

- Jest facet, który nazywa się Carver - odparł Ryan. - Jack Carver. Jego brat ma na imię Eryk.

- Co to za jedni? Handluj na czarnym rynku?

- Znacząco wiele więcej. Jack Carver to bodaj najpotężniejszy gangster w całym Londynie. Ma udziały we wszystkim, dosłownie we wszystkim, co się tu dzieje. To nie tylko czarny rynek. Takie dziewczyny, hazard, osobista ochrona. Co tylko chcesz.

- Znałem w Dublinie faceta, który zajmował się tym samym - stwierdził Devlin. - Nie był taki zły.

- Jack Carver jest pierwszej wody łajdakiem, a młody Eryk to niedźwiedź. Wszystkie dziewczyny z ulicy trzęsły się przed nim ze strachu.

- Mówisz poważnie? - zdziwił się Devlin. - Ciekawe, czy nikt się do nich jeszcze nie dobrał.

- To wcale nie nowojorscy gangsterzy wymyśliли cementowanie zwłok w nawierzchni autostrad - powiedział Ryan. - Opatentował ten pomysł Jack Carver. W trzydziestym szóstym właśnie on zaopatrywał twoje komando w broń i materiały wybuchowe. Sprzedałby Niemcom własną babkę, gdyby doszedł do wniosku, że może na tym zarobić.

- Jestem miernie przerażony - stwierdził Devlin. - A więc Carver to taki facet, który może zdobyć wszystko, i skoro potrzebuje radia...

- Właśnie.

- Znakomicie. Gdzie go moglibyśmy znaleźć?

- O dwie mile stąd, w Limehouse, jest tancbuda. Nazywa się „Astoria”. Należy do Carvera. Ma tam na piętrze duże mieszkanie. To mu odpowiada. Ułatwia jego bratu podrywanie dziewczyn.

- Pewnie jemu tak jest?

- Mylisz się, Liam. Jego w ogóle dziewczyny nie interesują. Devlin pokiwał głową.

- Rozumiem, co masz na myśli.

W tym samym momencie kilkoma niewiarygodnie zwinnymi ruchami złożył ponownie lugera. Był gotowy w parę sekund, wbijając na koniec magazynek do kolby.

- Mój Bo e, robisz to fachowo jak kat - stwierdził Ryan.

- To tylko kwestia wprawy, Michael. - Devlin poskładał zatłuszczone gazety i wrzucił je do kosza pod zlewem. - A teraz przespacerujemy się nad rzek . Chciałbym zna twoje zdanie w pewnej sprawie.

Zszedł po schodach do łodzi i zobaczył, e Mary nadal co czyta. Z kraw dzi plandeki skapywały krople deszczu, a nad rzek wisała lekka mgła. Devlin miał na sobie wojskowy trencz, który ukradł z klubu. Oparł się o barierkę , trzymając r ce w kieszeniach.

- Co to za ksi ła?

- Nasz wspólny przyjaciel - odparła, podnosząc ją do góry.

- Mam w tym swój udział.

- Przez par najbliższych dni będzie mgła - powiedziała wstając. - G sta jak zupa.

- Skąd wiesz?

- Trudno powiedzieć , ale nigdy się nie myli . Rozpoznaj ją zawsze po zapachu.

- Lubisz mgłę ?

- O, tak. Człowiek jest wtedy sam, zamknięty w swoim prywatnym świecie.

- Może wszyscy tego właśnie szukamy? - powiedział, biorąc ją pod rękę . - Wuj Michael i ja idziemy przejść się trochę po deszczu nad rzek . Nie chciałaby nam towarzyszyć ? O ile, oczywiście, nie masz nic lepszego do roboty.

Pojechali taksówką Ryana do klasztoru Najświętszej Marii Panny. Zaparkowali na poboczu drogi i siedząc w wozie przyglądali się bramie wjazdowej. Obok niej stała pomalowana na oliwkowo limuzyna marki „Morris” z napisem „andarmeria Wojskowa”. Widzieli, jak porucznik Benson i jakiś kapral wychodzą przez bramę , wsiadają do samochodu i odjeżdżają .

- Przez główną bramę nie zajdziesz daleko - stwierdził Ryan.

- Mam swoje sposoby - odparł Devlin. - Chodźmy na ten spacer.

Ławica kamieni, po której się wcześnie przechadzał, wydawała się teraz szersza, a kiedy przystanął, aby pokazać Ryanowi wylot tunelu, woda się gąła o wiele niżej.

- Rano był prawie całkiem zatopiony - stwierdził.

- Poziom Tamizy cięgle się zmienia, Liam, a teraz jest właśnie odpływ. Przez pewien czas tunel będzie całkowicie pod wodą . Czy to istotne?

- Przebiega w pobliżu fundamentów klasztoru. Z planów wynika, e w krypcie pod kaplicą jest krata. Można by tamtędy wejść .

- Powinno to sprawdzić .

- Oczywiście, ale nie teraz. Pójdź, kiedy będzie ciemno i spokojnie.



Ulewa nasiliła się do rozmiarów nawałnicy.

- Na lito bosk, wracajmy do domu - powiedział Ryan i zaczął iść w kierunku schodów. Devlin wziął Mary pod rękę.

- Gdyby przypadkiem miała gdzie schować jak ładną sukienkę, poszlibyśmy wieczorem potańczyć.

Przystanąła, wpatrując się w niego, a kiedy zaczął znowu iść, wydawało się, że utyka bardziej niż przedtem.

- Nie tańcz, panie Devlin. Nie potrafię.

- Ale potrafisz, moja droga. Stać ci absolutnie na wszystko, jeżeli tylko się postarasz.

W „Astorii”, typowym dla owych czasów londyńskim lokalu z dansingiem, panował duży tłok. Po obu stronach sali siedzieli przygrywający do tańca muzycy, jedni w białych smokingach, drudzy w czerwonych. Devlin ubrany był w ciemny garnitur duchownego, ale pod spodem miał wytworzoną białą koszulę i pożyczony od Ryana czarny krawat. Czekał obok szatni na Mary, która poszła odnieść płaszcz. Kiedy wróciła, zobaczył, że jest w gustownej bawełnianej sukience i brzozych pociągach. Założyła modne wówczas białe, plastikowe kolczyki, a usta lekko podmalowała szminką.

- Gratuluj sukienki - powiedział. - Tak jest o niebo lepiej.

- Rzadko mam okazję się stroić - stwierdziła.

- No to nie traćmy czasu.

Chwył ją za rękę i pociągnął na parkiet, zanim zdążyła zaprotestować. Jedną z orkiestr grała wolnego fokstrotę. Devlin zaczął nucić samą melodię.

- Dobrze to panu wychodzi - powiedziała.

- No cóż, mam smykałkę do muzyki. Gram trochę na pianinie. Ty z kolei nie lećtańczysz.

- W takim tłumie jest o wiele lepiej. Nikt nie zwraca uwagi. Miała najwyraźniej namyślić swój niesprawną nogę.

- Moja droga, i tak nikt tego nie zauważy.

Objęła go mocniej, przyciskając policzek do jego ramienia. Wmieszali się w tłum. Pod sufitem obracała się świetlna kula i dzięki odbijaniemu przez nią promieniom cała sala toniła w białym świetle.

Kiedy utwór dobiegł końca, druga z orkiestr zaczęła grać szybkiego, rytmicznego fokstrotę.

- O, nie! - zaprotestowała. - Z tym sobie nie poradzę .
- W porządku - odparł Devlin. - Wiadomo, pora na kawę . Poszli po schodach na balkon.
- Wstąpi tylko do toalety - oznajmiła.
- Zamówi kawę i poczekam tu na ciebie.

Przeszła na drugi koniec balkonu, wyraźnie utykając. Po drodze minęła dwóch opartych o balustradę młodych mężczyzn. Jeden z nich nosił dwurzędowy garnitur w przyciętym i rzeźbionym krawacie. Drugi, o kilka lat starszy, ubrany był w skórzaną kurtkę, miał spłaszczony nos jak zawodowy bokser i blizny pod oczami.

- Ma pan na nich takt, panie Carver? - zapytał, kiedy Mary zniknęła w toalecie.
- Jasne, George - odparł Eryk Carver. - Jeszcze nigdy nie robiłem tego z kalek .

Eryk Carver liczył sobie dwadzieścia dwa lata. Miał szczupłą, drapieżną twarz i długie, jasne włosy, zaczesane do góry. Skłonność do ataków astmy uchroniła go od wojska. Tak przynajmniej wynikało z zaleceń lekarza, które wystawił lekarz brata. Jego ojciec był stale pijanym awanturnikiem, który zginął pod kołami wozu na Mile End Road. Jack, piętnaście lat od Eryka starszy i cieszący się wówczas sławą kryminalisty, zajmował się nim i matką, dopóki ta nie zmarła na raka tuż przed wybuchem wojny. Jej śmierć jeszcze bardziej ich zbliżyła. Jako brat Jacka Carvera Eryk mógł robić, co tylko chciał, mógł mieć dziewczyny i nie pozwolił, by ktokolwiek o tym zapomniał. Mary wyłoniła się z drzwi toalety i utykając przeszła obok nich.

- Zobaczmy się później, George - powiedział Eryk.

George odwrócił się z uśmiechem i odszedł, Eryk zaś ruszył na drugi koniec balkonu, gdzie przystanąła Mary i oparta o balustradę przyglądała się tańczącym. Objął ją w tali, a potem przesunął rękę w górę, ciskając jej lewą pierś.

- No to jak ci na imię, kotku?
- Proszę mnie zostawić - powiedziała, próbując mu się wyrwać .
- O, to mi się podoba - odparł i cisnął ją jeszcze mocniej.

W tym momencie zjawił się Devlin, niosąc filiżankę z kawą . Postawił je na najbliższym stoliku, powiedział „przepraszam”, a gdy Eryk odwrócił się, rozluźniła się jego chwyt, stanął mu całym ciężarem ciała na prawej nodze. Chłopak w ciele warknął, próbując się uwolnić . Devlin sięgnął po jedną z filiżanek i wylał mu kawę na koszulę , po czym rzekł:

- Mój Boże, synu, strasznie mi przykro.

Eryk spojrzał na koszulę , kompletnie zaskoczony.

- Ty skurwielu! - wykrztusił, zamierzając się pięknąć . Devlin z łatwością zablokował cios i poczuł stawał go kopniakiem w gołę .

- Mo e by poszedł gdzie indziej zabawia si w chuligana? Twarz Eryka wyra ała w ciekło .

- Ty łajdaku! Dobior ci si za to do skóry! Jeszcze mnie popami tasz!

Odszedł, powłócz c nog . Devlin posadził Mary przy stoliku i podał jej drug fili ank kawy. Wypiła tylko łyk, po czym spojrzała na niego, mówi c:

- To było okropne.

- Ten facet to gnida, moja droga. Nie warto si przejmowa . Czy mog ci tu teraz zostawi i pój na spotkanie z Carverem? To chyba nie potrwa długo.

- Nic mi nie b dzie, panie Devlin - odparła z u miechem. Devlin odwrócił si i odszedł.

Z drugiej strony balkonu były drzwi z napisem „Dyrekcja”, ale kiedy je otworzył, znalazł si na korytarzu. Przeszedł nim do ko ca i otwarszy kolejne drzwi trafił na wyło ony dywanem podest. Schody biegn ce w dół prowadziły najwyra niej do tylnego wej cia, ale z góry dochodziły d wi ki muzyki, wszedł wi c na kolejny podest, gdzie drzwi były otwarte. Znajdowało si tam jedynie niewielkie pomieszczenie z biurkiem i krzesłem, na którym siedział m czyzna o imieniu George, czytaj c gazet przy płyn cej z radia muzyce.

- Przyjemny kawałek - stwierdził Devlin, opieraj c si o framug . - To Carroll Gibbons z Savoyu. Gra na fortepianie. George obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

- Czego pan chce?

- eby Jack Carver po wi cił mi odrobin swego bezcennego czasu.

- O co chodzi? Pan Carver nie przyjmuje byle kogo. Devlin wyj ł pi cioletowy banknot i poło ył go na stole.

- Wła nie o to, mój stary. O ten banknot i jeszcze sto dziewi dziesi t dziewi takich samych.

George odło ył gazet i wzi ł do r ki pi funtów.

- W porz dku. Niech pan tu zaczeka.

Omin ł Devlina, zapukał do jeszcze jednych drzwi i wszedł do rodka. Po chwili otworzył je i wyjrzał, mówi c:

- W porz dku, przyjmie pana.

Jack Carver siedział za orzechowym biurkiem, które wygl dało na autentyk z czasów georgia skich. Był twardym facetem o złowrogim wygl dzie. Jego mi sista twarz nosiła lady przedwczesnego wyniszczenia. Miał na sobie uszyty w Savile Rów doskonały garnitur z granatowego samodziału oraz dyskretny krawat. S dz c z wygl du mógłby by dobrze

prosperuj cym biznesmenem, przeczyła temu jednak poszarpana blizna, biegnąc od kciaka lewego oka do ciemnej czupryny, i wyraz jego zimnych oczu.

George pozostał przy drzwiach, a Devlin rozejrzył się po pokoju, który umeblowano zadziwiająco gustownie.

- Miło tu - stwierdził.

- No dobrze, wiemy o co chodzi? - zapytał Carver, podnosząc w górę banknot.

- Czy one nie są piękne? - powiedział Devlin. - Taka piękna ciotkówka z Banku Anglii to prawdziwe dzieło sztuki.

- George twierdzi, że wspominał pan coś o następnym stu dziesięciu dziesięciu - rzekł Carver. - Kiedy chodziłem do szkoły, oznaczało to tysiąc funtów.

- A wiemy nie zapomnieliśmy, George - stwierdził Devlin.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Eryk, poprawiając krawat. Miał już na sobie czystą koszulę. Stał jak wryty, a zdumienie na jego twarzy przerodziło się szybko w gniew.

- Ale to on, Jack. Ten dupek, który oblał mnie kawą!

- Och, to był tylko wypadek - powiedział Devlin. Eryk ruszył w jego kierunku, ale Jack Carver warknął:

- Daj spokój, Eryk. Załatwiamy interesy. - Eryk stanął przy biurku, rzucając w ciekłe spojrzenia, a Carver zapytał: - Wiemy co musiałbym zrobić za tysiąc funtów? Zamordować kogo?

- Niech pan nie artuje, panie Carver. Obaj wiemy, że to zrobiłby pan dla przyjemności - stwierdził Devlin. - Potrzebny mi wojskowy sprzęt. Podobno jest pan człowiekiem, który potrafi zdobyć wszystko. Tak przynajmniej twierdzi IRA. Ciekawe, co powiedziałby na taki kłosek Wydział Specjalny Scotland Yardu?

Carver rozprostował banknot między palcami i podniósł wzrok, wyrażając niechęć.

- Zaczyna pan mówić od rzeczy.

- To ten mój niewyparzony język. Nigdy się nie nauczyłem - odparł Devlin. - A chciałem tylko kupić radio.

- Radio? - Po raz pierwszy Carver wydawał się zaskoczony.

- Odbiornik nadawczo-odbiorczy. Wojsko ma teraz na wyposażeniu niezłe urządzenie tego typu. Dwudziestki ósemki Mark 4. Bóg jeden wie, dlaczego się tak nazywa. Mieści się w drewnianej skrzynce z rączką. Wygląda po prostu jak walizka. Jest bardzo poręczna. - Devlin wyjął z kieszeni kartkę papieru i położył ją na biurku. - Zapisalem tu szczegółowe dane.

Carver spojrział na kartk .

- Wygl da mi to na specjalistyczny sprz t. Po co komu co takiego?
- To ju , panie Carver, sprawa mi dzy mn a moim Stwórc . Mo e pan to załatwi ?
- Jack Carver potrafi załatwi wszystko. Powiedział pan: tysi c funtów?
- Ale musz mie t rzecz na jutro. Carver skin ł głow .
- W porz dku, tylko połow forsy bior z góry.
- Nie ma sprawy.

Devlin był na to przygotowany i miał pieni dze w kieszeni. Wyj ł je i rzucił na stół.

- Prosz bardzo.

- I b dzie to pana kosztowało o tysi c wi cej - dodał Carver, zgarniaj c fors . -  
Spotkamy si jutro, o dziesi tej w nocy. Przy drodze jest dok „Czarny Lew”. Znajdzie pan tam magazyn z moim nazwiskiem na drzwiach. Prosz si nie spó ni .

-i - Widz , e niełatwo robi z panem interesy - stwierdził Devlin. - Ale có , za wszystko trzeba w yciu płaci .

- wi te słowa - zgodził si Carver. - A teraz, niech si pan st d wynosi.

Devlin wyszedł, a kiedy George zamkn ł za nim drzwi, Eryk wycedził:

- On jest mój, Jack. Chc dosta go w swoje r ce.

- Daj spokój, Eryk. Mam to. - Carver pokazał mu pi set funtów. - A chc dosta cał reszt . Wtedy go załatwimy. Nie podobała mi si ani troch ta jego uwaga na temat IRA. Była bardzo niestosowna. Teraz zostaw mnie samego. Chc do kogo zadzwoni .

Kiedy Devlin wrócił na sal , Mary siedziała spokojnie, przygl daj c si ta cz cym.

- Dobrze panu poszło z Carverem? - zapytała.

- Wolałbym u cism r k diabłu. Okazało si , e ten łajdak, któremu dałem popali , to jego brat, Eryk. Chciałaby ju wyj ?

- Dobrze. Wezm płaszcz i spotkamy si w foyer.

Kiedy znale li si na dworze, padał deszcz. Chwyła go pod r k i zacz li i po mokrym trotuarze w kierunku głównej drogi. Z prawej strony była aleja i gdy si do niej zbli ali, zast pili im drog Eryk Carver i George.

- Zauwa yłem, jak wychodzili cie - odezwał si Eryk. - Pomy lałem, e warto by si po egna .

- wi ta Maryjo! - westchn ł Devlin, odsuwaj c dziewczyn na bok.

- No ju , George, załatw go! - krzykn ł Eryk.

- Z przyjemno ci . - George wyst pił naprzód, wyra nie dobrze si bawi c.

Devlin zrobił tylko krok w lewo i kopnął go z boku w rzepek. Kiedy George wrzasnął z bólu i zgiął się w pół, Devlin trzasnął go podniesionym kolaniem w twarz.

- Tego ci nie uczyli, George?

Eryk cofnął się z przerażeniem. Devlin wziął Mary pod rękę i gdy go minęła, zapytał:

- O czym to mówili my?

Kazałem ci dać mu spokój, Eryk - powiedział Jack Carver. - Nigdy się nie nauczysz.

- Ten drań o mało nie zrobił z George'a kaleki. Uszkodził mu kolano. Musiałem z nim iść do doktora Aziza.

- Mniejsza z tym. Dzwoniłem do Morriego Greena. Nikt w Londynie nie zna się lepiej od niego na wojskowym sprzęcie.

- Ma radio, o które chodziło tej kanalii?

- Nie, ale może je zdobyć. Bez problemu. Dostarczę je jutro. Powiedział mi coś ciekawego. To nie jest zwykły odbiornik. Wojsko używa tego typu sprzętu do działania na tyłach wroga.

Eryk był wyraźnie zdezorientowany.

- Ale co by to oznaczało, Jack?

- Ten typ kombinuje coś na wiśsz skalę, niż by się mogło wydawać. Mam zamiar trochę się z nim jutro zabawić. - Carver zaczął się nieprzyjemnie. - A teraz nalej mi whisky.

Kiedy Devlin i Mary skręcili w Harrow Street, Liam zapytał:

- Chcesz, żeby złapał taksówkę?

- Ale nie, to niewiele ponad półtorej mili stąd, a ja lubię chodzić po deszczu. - Wspierała się lekko na jego ramieniu. - Jest pan bardzo szybki, panie Devlin, ma pan refleks. Chodzi mi o taką sytuację.

- No cóż, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Przez chwilę szli w zgodnym milczeniu wzdłuż rzeki w kierunku Wapping. Nad Tamizą wisiała gęsta mgła. Minęli jakiś duży handlowy statek. Mimo zaciemnienia jego światła nawigacyjne, zielone i czerwone, były wyraźnie widoczne.

- Chciałabym być jak ten statek - powiedziała Mary. - Wypływa w morze, do dalekich miejsc, codziennie przez coś nowego.

- Mój Boże, dziewczyno, masz dopiero dziewiętnaście lat. Wszystko tam na ciebie czeka, a ta przeklęta wojna nie może trwać wiecznie. Przystanij pod murem, żeby mógł zapalić papierosa.

- Szkoda, że nie mamy czasu, żeby dojść na Embankment.

- To z pewno ci za daleko.

- Widziałam kiedy taki film. Chyba z Fredem Astaire'em.

Przechadzał się z dziewczyną wzdłuż Tamizy, a jego szofer jechał tu za nimi samochodem marki Rolls-Royce.

- I to ci się podobało?

- Było bardzo romantyczne.

- Jakie to typowo kobiece!

Skręcili w Cable Wharfe, przystając na tarasie, zanim weszli do domu.

- Wspaniale się bawiłam. Devlin może miał się głono.

- Chyba artujesz, dziewczyno.

- Nie, naprawdę. Lubię z panem być.

Nadal trzymała go pod rami, znajdując w nim oparcie. Objął ją drugą ręką i stali tak przez chwilę w deszczu, którego krople lądowały w przyciemnionym świetle wiszącej nad drzwiami lampy. Poczł nagle przejmujący smutek z powodu tego wszystkiego, czego nigdy w życiu nie zaznał, przypominając sobie jakiegoś podobnego do Mary Ryan dziewczynę z Norfolk, dziewczynę, którą tak bardzo skrzywdził.

Westchnął ciężko i Mary przyjrzała mu się uważnie.

- Co się stało?

- Och, nic takiego. Zastanawiałem się właśnie nad przeszłością. To ten rodzaj uczucia, które miewamy o trzeciej nad ranem, kiedy człowiekowi się wydaje, że wszystko już przeżył.

- Ale przecież pana to nie dotyczy. Ma pan przed sobą długie życie.

- Moja droga Mary. Masz dziewięć lat, a ja trzydzieści pięć. Jestem jak staruszek, który już wszystko widział i prawie w nic nie wierzy. Za parę dni się odjadę, i całe szczęście. - Przytulił ją lekko do siebie. - Wiadomo, że do rodka, zanim stracę resztki rozsądku.

Jack Carver to niebezpieczny facet, Liam - stwierdził Ryan, siedzący po drugiej stronie stołu. - Zawsze taki był. Skąd masz pewno, że będzie grał uczciwie?

- Nie potrafi, choćby nawet chciał - powiedział Devlin. - Ale to nie wszystko. Jest coś o wiele ważniejszego. Radio, którego potrzebuję, ta dwudziestka ósemka, to specjalistyczny sprzęt. Kiedy tylko Carver zda sobie z tego sprawę, zechce się dowiedzieć, o co właściwie chodzi.

- Wiadomo, co zamierzasz zrobić?

- Co wymyślę, ale to nic pilnego. Na razie musimy obejrzeć jak najszybciej ten tunel pod klasztorem.

- Popłyn z tob - stwierdził Ryan. - We miemy motorówk . Za kwadrans b dziemy na miejscu.

- Nikt nie zwróci na nas uwagi?

- Nie ma obawy. - Ryan pokr cił głow . - Tamiza jest teraz najruchliwsz arteri Londynu. Noc pływa po rzece mnóstwo statków: barki, frachtowce...

Mary odwróciła si od zlewu.

- Mog si z wami zabra ?

- Dobry pomysł - odparł Ryan, zanim Devlin zd ył zaprotestowa . - Popilnujesz motorówki.

- Ale zostaniesz na pokładzie - ostrzegł Devlin. - To nie zabawa.

- Dobrze. Pójd si przebra - powiedziała, pospiesznie wychodz c.

- Co to znaczy by młodym! - westchn ł Devlin. Bryan skin ł głow .

- Ona ci lubi, Liam.

- Ja j te , Michael, ale na tym, mój stary, poprzestaniemy. No dobrze, czego nam potrzeba?

- Jest odpływ, ale tam b dzie jeszcze mokro. Poszukam kombinezonów i kaloszy - oznajmił Ryan i wyszedł.

Niewielka motorówka podpłyn ła w kierunku mielizny, wydaj c głuchy pomruk. Kiedy zaryła dziobem w błoto i piasek, Ryan wył czył silnik.

- W porz dku, Mary. Pilnuj tu wszystkiego. To nie powinno długo potrwa .

Ryan i Devlin, ubrani w ciemne kombinezony i wysokie buty, wyskoczyli z motorówki i znikn li w ciemno ciach. Ryan niósł torb z narz dziami, a Devlin du latark , jakich u ywaj robotnicy. W tunelu były trzy stopy wody.

- B dziemy musieli jako przebrn - stwierdził Ryan. Wchodz c do wody poczuli odra aj c wo .

- Mój Bo e, trudno nie pozna , e to kanał - stwierdził Devlin.

- Staraj si nie upa , a gdyby ju , zamykaj usta - ostrzegł Ryan. - W takich miejscach cholernie łatwo złapa jakie wi stwo.

Devlin szedł przodem. Tunel wylaniał si przed nimi w wietle latarki. Mur z cegły, najwyra niej bardzo stary, był zmurszały i rozpadał si . W pewnej chwili z kamiennej półki zeskoczyły z pluskiem dwa szczury, odpływaj c w dal.

- Ohydne stworzenia - powiedział z odraz Ryan.

- Ju niedaleko - oznajmił Devlin. - Jakie sto jardów. Na pewno nie wi cej.



I oto tu nad powierzchnię wody zobaczyli nagle elazn krat o wymiarach około czterech stóp na trzy. Zajrzeli przez nią do krypty, a Devlin po wiecił do rodka latark. Dwa znajdujące się tam grobowce były niemal całkowicie zalane wodą. Kamiennie schody w przeciwnym rogu prowadziły do jakichś drzwi.

- Jedno jest pewne - stwierdził Ryan. - Ta krata wcale nie poprawiła ich systemu kanalizacji.

- Założył ją prawie czterdzieści lat temu - wyjaśnił Devlin. - Może wtedy działała.

Ryan wyjął z torby z narzędziami elazny łom, a potem dał ją do potrzymania Devlinowi i spróbował wepchnąć koniec drąga w zaprawę muru obok kraty. Odskoczył instynktownie, gdy ciana wygięła się i kilka albo sześć cegieł spadło do wody.

- To wszystko ledwo trzyma się kupy. Zdejmijmy tę kratę w dziesięć minut, Liam.

- Ale nie w tej chwili. Musz wiedzieć, co się dzieje na górze. Na razie sprawdzili my to, co najważniejsze: te kraty mogą na w każdej chwili zejść. A teraz wynoś się stąd.

W tym samym czasie wiatr od morza uderzał w oszklone drzwi tarasu w Romney Marsh, a Shaw zaciągał zasłony w salonie. Umeblowanie pokoju nie było już takie, jak kiedyś. Dywany wypłówały, ale na kominku nadal płonęły drwa, a obok leżała Nell. Otworzyły się drzwi i weszła Lavinia. Ubrana była w szerokie spodnie, a w rękach niosła tacę.

- Zaparzyłam kawę, mój drogi.

- Kawę? - wykrzyknął. - Do diabła z kawą! Znalazłem w piwnicy butelkę szampana. To Bollinger. Tego nam dzisiaj trzeba!

Wyjął butelkę z wiaderka na stole, otworzył ją z pompki i nalał szampana do dwóch kieliszków.

- Jaki on jest, ten Conlon? - zapytała Lavinia.

- Mówiłem ci już trzy razy, moja droga.

- Och, Max, czy to nie jest podniecające? Twoje zdrowie, Kochany.

- I twoje, siostrzyczko - odparł, odwzajemniając toast.

Schellenberg siedział przy oświetlonym lampką biurku w swoim gabinecie w Berlinie i pracował w zupełnej ciszy, przeglądając jakieś papiery. W pewnej chwili otworzyły się drzwi i zajrzała przez nie Ilse.

- Kawy, panie generale?

- Jeszcze pani tu jest? Myślałem, że poszła pani do domu.

- Przejdę się w biurze. Asa tu zostaje. Jest teraz w kantynie.

- Wła ciwie mo emy dotrzyma mu towarzystwa - stwierdził Schellenberg, wstaj c i zapinaj c mundur.

- Martwi si pan o Devlina, generale?

- Moja droga Ilse. Liam Devlin to człowiek bezgranicznie pomysłowy i przebiegły. Wzi wszy pod uwag te przymioty, mo na by rzec, e nie mam powodu si martwi . - Otworzył drzwi i dodał z u miechem: - Jestem tylko miertelnie przera ony.

Ze swojego okna Steiner widział Tamiz . Wyrżał przez zasłon , lecz zaraz j zaci gn ł.

- W dół rzeki płynie du y statek. To zdumiewaj ce, jaki tam panuje ruch, nawet noc . Siedz cy przy stoliku ojciec Martin pokiwał głow .

- Jak w tej piosence. Matka Tamiza toczy wody swe.

- W ci gu dnia siedz czasem przy oknie i patrz godzinami na rzek .

- Rozumiem ci , synu. Na pewno jest ci ci ko - powiedział ksi dz, po czym westchn ł i wstał. - Musz ju i . Mam pasterk .

- Na lito bosk , czy ojciec nigdy nie odpoczywa?

- Jest wojna, mój synu - odparł ojciec Martin, pukaj c do drzwi.

Pełni cy dy ur andarm otworzył je i staruszek poszedł korytarzem do wyj cia. Porucznik Benson, który siedział w swoim pokoju, podniósł wzrok znad biurka.

- Wszystko w porz dku, ojcze?

- Jak najbardziej - odparł ojciec Martin, mijaj c go. Kiedy zszedł po schodach do foyer, z biura wyłoniła si siostra Maria Palmer.

- Ojciec jeszcze tutaj? Nigdy nie wraca ojciec do domu?

- Zawsze jest tyle pracy, siostr.

- Wydaje si ojciec zm czony.

- Ta wojna tak długo trwa - odparł z u miechem. - Dobranoc i niech Bóg siostr błogosławi.

Nocny stró wyszedł ze swego k ta, pomógł mu wło y płaszcz i podał parasol, a potem odryglował drzwi. Staruszek przystan ł, patrz c na deszcz, po czym podniósł parasol i oddalił si ci kim krokiem.

Munro był nadal w biurze. Stał wła nie przy stole, na którym le ały rozło one mapy kanału La Manche i szlaków prowadz cych do Normandii, kiedy przyku tykał Carter.

- B dzie inwazja, sir?

- Tak, Jack. W Normandii. Podj li wreszcie decyzj . Miejmy nadziej , e Hitler spodziewa si jej nadal w Pas de Calais.

- O ile wiem, przekonał go o tym jego osobisty astrolog - stwierdził Carter.

Munro roze miał si .

- Staro ytni Egipcjanie mianowali generałami tylko ludzi urodzonych pod znakiem Lwa.

- Nigdy o tym nie słyzałem, sir.

- No có , człowiek uczy si co dzie czego nowego. Dzisiaj nie wracasz na noc do domu, Jack. Eisenhower za yczył sobie dokładnego raportu na temat stanu liczebnego jednostek francuskiego ruchu oporu w całym tym rejonie i rano trzeba mu to dostarczy .

B dziemy musieli zarwa par godzin.

- Tak jest, sir.

- Masz jeszcze co nowego?

- Dzwonił do mnie Vargas.

- Czego chciał?

- Dostał kolejn wiadomo od kuzyna w Berlinie. Prosi go o przysłanie mo liwie szczegółowych informacji na temat klasztoru Naj wi tszej Marii Panny.

- W porz dku, Jack. Spreparuj w ci gu paru dni jaki raport, w miar zgodny z prawd , i przeka go Vargasowi. Mamy teraz na głowie wa niejsze sprawy.

- Tak jest, sir. Załatwi herbat i kanapki.

- Zrób to, Jack. Czeka nas długa noc.

Carter wyszedł, a Munro powrócił do swoich map.

10.

Nast pnego ranka ojciec Martin kl czał przy balustradzie ołtarza, modl c si z zamkni tymi oczami. Był utrudzony i na tym polegał cały problem. Ju od dawna odczuwał potworne zm czenie, modlił si wi c do Boga, którego tak niezłomnie kochał przez całe ycie, o sił i wytrwanie.

- B d sławił Pana, który udziela mi rad, który nawet w nocy kieruje mym sercem. Zawsze mam Pana przed oczami. - Wymówił gło no te słowa, a potem zamilkł, nie potrafi c ju si skupi .

Nagle jaki silny głos powiedział: „Wytrwam, gdy On jest po mej prawicy”. Ojciec Martin odwrócił głow i zobaczył za sob Devlina, który był w mundurze, a przez rami miał przerzucony trenz.

- Kim pan jest, majorze? - odezwał si staruszek, próbuj c wsta z kolan. Devlin pomógł mu si podnie .

- Raczej: ojciec. Noszę ten mundur tylko chwilowo. Nazywam się Conlon. Harry Conlon.

- A ja jestem Frank Martin, tutejszy pleban. Czy mogę w czym pomóc?

- Nie chodzi o nic szczególnego - wyjechał Devlin. - Wysłano mnie na dłuższy urlop. Zostałem ranny na Sycylii. Spędzam parę dni u przyjaciół niedaleko stąd. Zobaczyłem kiedyś twój Patryk i postanowiłem zajrzeć.

- No to zapraszam na filiżankę herbaty - zaproponował staruszek. Devlin przysiadł w niewielkiej, ciasnej zakrystii, a ojciec Martin zagotował wodę w elektrycznym dzbanku i zaparzył herbatę.

- A w czym jest kłopot na wojnie od samego początku? Devlin skinął głową.

- Tak, dostałem powołanie w listopadzie trzydziestego dziewiątego.

- Widzisz, nie dali kłopotu Krzyżowcom.

- To załóż dowód na Sycylii - wyjechał Devlin.

- Ci kłopot było? - Ojciec Martin nalał herbaty i podał mu otwartą puszkę ze skondensowanym mlekiem.

- Owszem. - Staruszek popijał herbatę, a Devlin zapalił papierosa. - Ale ojciec miał tu niewiele lepiej. Mam na myśli bombardowania. Niedaleko stąd do londyńskich doków.

- Tak, nie było lekko - przyznał Martin. - I nie widzę zmian na lepsze. Jestem tu teraz zupełnie sam.

Wydawał się w tym momencie całkiem bezbronny i Devlin poczuł nagle wyrzuty sumienia. Wiedział jednak, że gdzieś musiał doprowadzić sprawę do końca.

- Po drodze wpadłem po papierosy do gospody „Pod Flisakiem”. Zdaje się, że tak się nazywa. Rozmawiałem tam z dziewczyną, która ciepło się o ojcu wyrażała.

- A, to pewnie Maggie Brown.

- Wspomniała, że jest ojciec spowiednikiem w pobliskim hospicjum. Mieci się w klasztorze Najświętszej Marii Panny, prawda?

- Zgadza się.

- Ma tam ojciec na pewno mnóstwo dodatkowej pracy.

- Rzeczywiście, ale kto musi się tym zajmować. Kiedyś ma swoje obowiązki. - Staruszek spojrzął na zegarek. - Prawdopodobnie, jeśli nie za parę minut powinienem tam być. Trzeba zrobić obchód.

- Ma ojciec pod opieką wielu pacjentów?

- To zależy. Piętnastu, czasem dwudziestu. Niektórzy są umierający. Człowiek z nich ma szczególnego rodzaju problemy. Są tam żołnierze, którzy przeżyli załamanie. Czasem piloci. Wie ksiądz, jak to jest.

- Oczywiście - przyznał Devlin. - Kiedy byłem wczoraj w tamtej okolicy, zauważyłem wchodzących do rodka andarmów. Wydało mi się to dziwne. Co właściwie robi andarmia w hospicjum?

- No cóż, są po temu powody. Zdarza się, że trzymają na gorze jakiegoś niemieckiego jeńca. Nie znam szczegółów, ale chodzi zwykle o specjalne przypadki.

- W takim razie rozumiem, do czego im potrzebni andarmi. Mają tam teraz kogo?

- Tak, pułkownika Luftwaffe. Miły człowiek. Zdołałem go nawet namówić, żeby pierwszy raz od lat przyszedł na mszę.

- To ciekawe.

- No cóż, na mnie już pora. - Staruszek sięgnął po płaszcz. Devlin pomógł mu go włożyć, a kiedy znaleźli się wewnątrz kościoła, powiedział:

- Ojciec, pomyślałem sobie właśnie, że mam przeciechę o wolnego czasu, a ojciec spędza samotnie tak wielki ciężar. Może mógłbym pomóc? Wysłucham chociaż paru spowiedzi.

- Jest ksiądz niezwykle uczynny - odparł ojciec Martin. Liam Devlin nigdy chyba nie czuł się podlej, ale mimo wszystko kontynuował.

- Chciałbym też zobaczyć, jak wygląda ojca praca w klasztorze.

- Proszę bardzo - odparł staruszek i poprowadził go w dół po schodach.

W klasztornej kaplicy panował przenikliwy chłód. Gdy szli w kierunku ołtarza, Devlin powiedział:

- Bardzo tu wilgotno. Macie z tym problemy?

- Tak. Od wielu lat krypta zalewa wodą. Czasem sięga do sufitu. Brakuje pieniędzy, żeby coś z tym zrobić.

Devlin zauważył w mrocznym kącie w głębi solidne drewniane drzwi, zaopatrzone w elastyczne sztaby.

- Czy to jest wejście?

- Tak, ale nikt już tam nie schodzi.

- Widziałem kiedyś we Francji kościół, w którym były podobne problemy. Czy mógłbym się rozejrzeć?

- Bardzo proszę.

Drzwi były zaryglowane. Otworzywszy je, zapu cił si do połowy schodów. Kiedy wł czył latark , zobaczył grobowce, a wokół nich ciemne lustro wody, z cichym pluskiem uderzaj cej, o krat . Cofn ł si i zamkn ł drzwi.

- Mój Bo e, faktycznie niewiele tu mo na zrobi ! - zawołał.

- Wła nie. Niech ksi dz tylko dobrze zarygluje drzwi! - krzykn ł w odpowiedzi staruszek. - Nie chcemy, eby ktokolwiek tam schodził. Mógłby zrobi sobie krzywd .

Devlin zasun ł rygiel z gło nym trzaskiem, który odbił si pot nym echem od cian kaplicy, a potem ostro nie odci gn ł go z powrotem. Drzwi znajdowały si w gł bi, pogr one w mroku. Nikt nie powinien zauwa y , e nie s zaryglowane. Wrócił do ojca Martina i razem skierowali si do wyj cia. Kiedy otwierali drzwi, z biura wyłoniła si siostra Maria Palmer.

- A, jest siostra - powiedział ojciec Martin. - Zagl dałem tu, kiedy przyjechali my, ale nikogo nie było. Pokazywałem wła nie ojcu Gonionowi... - W tym momencie roze miał si i poprawił: - Zacz n od pocz tku. Pokazywałem majorowi Conlonowi kaplic . Teraz pójdzie ze mn na obchód.

- „Ojciec Conlon” brzmi zupełnie dobrze - stwierdził Devlin, podaj c przeoryszy r k .  
- Miło mi siostr pozna .

- Major został ranny na Sycylii.

- Ach, tak. I przeniesiono ojca do Londynu? - zapytała.

- Nie, mam jeszcze urlop zdrowotny. B d par dni w tej okolicy. Tylko przejazdem. Spotkałem ojca Martina w ko cie.

- I był na tyle miły, e zaproponował mi pomoc. Wysłucha paru spowiedzi i tak dalej - wyja nił ojciec Martin.

- To dobrze, bo ojciec musi odpocz . Zrobimy obchód razem. Kiedy zacz li i po schodach, oznajmiła:

- Nawiasem mówi c, porucznik Benson ma trzydniow przepustk . Zast puje go ten młody sier ant. Jak on si nazywa? Morgan, prawda?

- Ten Walijczyk? - upewnił si ojciec Martin. - Wczoraj wieczorem byłem u Steinera. Siostra te do niego zajrzała?

- Nie, kiedy ojciec wyszedł, mieli my nagły przypadek. Nie było czasu. Ale zbadam go teraz. Mam nadziej , e penicylina usun ła wreszcie te ogniska zapalne w płucach.

Szła wawo po schodach, zamiataj c je habitem, a Devlin i ojciec Martin pod ali za ni .

Przechodzili z sali do sali, rozmawiając od czasu do czasu z tym czy owym pacjentem. Dopiero w pół godziny później dotarli na najwyższe piętro. Andarm, dyżurny przy stoliku obok drzwi, na widok Devlina zerwał się na równe nogi i odruchowo zaszalutował. Inny żołnierz otworzył drzwi, wpuszczając ich do rodzka.

Młody sierżant, który siedział w pokoju Bensona, wstał i wyszedł im na spotkanie.

- Witam siostrze i ojca.

- Dzień dobry, sierżancie Morgan - powiedziała Maria Palmer. - Chcielibyśmy zobaczyć się z pułkownikiem Steinerem. Morgan zdzielił ją zauważyć mundur i koloratk Devlina.

- Rozumiem - powiedział niepewnie.

- Major Conlon robi z nami obchód - wyjął siostra przełożona.

Devlina wyjął portfel i pokazał podrobioną przepustkę Ministerstwa Spraw Wojskowych, którą dostał od ludzi Schellenberga i która zapewniała mu wszędzie swobodny wstęp. Podał ją andarmowi, mówiąc:

- Myśli, że to wam wystarczy, sierżancie.

- Wpisz tylko dane do rejestru, sir - odparł Morgan, obejrzawszy przepustkę. Gdy dokonał wpisu, zwrócił mu ją i powiedział: - Proszę za mnie.

Poprowadził ich w głąb korytarza, dając znak głową pełniącemu dyżurny andarmowi, by otworzył drzwi. Pierwsza weszła do rodzka siostra Maria Palmer, za nią ojciec Martin, a na końcu Devlin. Drzwi ponownie zamknęły się.

Siedzący przy oknie Steiner wstał, a siostra Maria Palmer zapytała:

- I jak się pan czuje, pułkowniku?

- Dobrze, siostrze.

- Przepraszam, że nie byłam u pana wczoraj wieczorem. Miałam nagły przypadek, ale słysz, że odwiedził pana ojciec Martin.

- Jak zwykle - potwierdził Steiner.

- Przedstawiam panu przy okazji majora Goniona - odezwał się starszy. - Jak pan widzi, jest kapelanem wojskowym. Dostał urlop zdrowotny. Był niedawno ranny, tak jak pan.

Devlina uśmiechnął się przyjaźnie, wyciągnął rękę na powitanie.

- Bardzo mi miło, panie pułkowniku.

Kurt Steiner, dokonując heroicznego wprost wysiłku, zdołał zachować niewzruszoną twarz.

- Witani, majorze Conlon. - Devlin mocno ucałował Niemcowi dłoń, a Steiner dodał: - Czy to się stało w jakimś ciekawym miejscu? Pytam, gdzie został pan ranny?

- Na Sycylii - odparł Devlin.

- Toczyły się tam ciężkie walki.

- Cóż, prawdę mówiąc, nie wiem. To się stało od razu pierwszego dnia. - Podeszedł do okna i spojrzał w dół na biegnące wzdłuż Tamizy drogi. - Ma pan straszny widok: schody, kawałek plaży, przepływające statki... Jest na co popatrzeć.

- Zawsze to jakieś urozmaicenie.

- No cóż, musimy już iść - oznajmiła siostra Maria Palmer i zapukała do drzwi.

Ojciec Martin położył Steinerowi dłoń na ramieniu.

- Proszę pamiętać, że dziś o ósmej będzie spowiadał w kaplicy. Wszyscy grzesznicy są mile widziani.

- Chwileczkę, ojciec - odezwał się Devlin. - Czy ojciec nie mówił, że mam go trochę odciążyć? Dziś wieczorem ja będę w konfesjonale - stwierdził, po czym zwrócił się do Steinera: - Mimo wszystko zapraszam, pułkowniku.

- Czy na pewno nie ma kogoś przeciwko temu? - zapytał ojciec Martin.

W tym momencie otwarto drzwi. Siostra Maria Palmer włączyła się do rozmowy, stwierdzając:

- To doskonały pomysł.

Gdy doszli do końca korytarza, przepuścił ich Morgan.

- Jedno wyjście - powiedział ojciec Martin. - Zaczynam zwykle o siódmej. Andarmami sprowadzają Steinera na dół o ósmej, ponieważ wtedy już tam nikogo nie ma. Uwaga, że tak jest lepiej.

- Wiem, że przychodzi do ojca jako ostatni?

- Właśnie.

- Nie ma problemu - stwierdził Devlin. Kiedy dotarli do foyer, stróż podał im płaszcze.

- A wiemy, że zobaczymy się wieczorem, majorze - powiedziała siostra Maria Palmer.

- Bardzo mi bardzo miło - odparł Devlin i razem z ojcem Martinem zaczęli iść w dół po schodach.

Wielki Boże, i cóż znaczy Daniel w jaskini lwa! - stwierdził Ryan. - Ale masz tupet!

- Na razie wszystko gra - odparł Devlin. - Nie chciałbym tylko za długo się tam kręcić. To zbyt ryzykowne.

- Ale wrócisz do nich dziś wieczorem?

- Muszę. To moja jedyna szansa, żeby pogadać swobodnie ze Steinerem.



- Ale , panie Devlin - odezwała si Mary, która siedziała skulona przy ko cu stołu - przecie to miertelny grzech wej do konfesjonau i słuha , jak ludzie si spowiadaj . W dodatku s tam zakonnice.

- Nie mam wyboru, Mary. Trzeba tak post pi . Wcale mi nie w smak, e robi głupca z tego miłego staruszka, ale nic na to nie poradz .

- I tak uwa am, e post puje pan okropnie. Zostawiła ich samych, a po chwili wróciła do pokoju w nieprzemakalnym płaszczu i wyszła z domu.

- Ma czasami swoje humory - stwierdził Ryan.

- Niewa ne. Jest do omówienia par spraw. Wieczorem spotykam si z Carverem. W doku „Czarny Lew”. Mo emy popłyn tam twoj motorówk ?

- Wiem dobrze, gdzie to jest. W pół godziny b dziemy na miejscu. Masz si tam zjawi o dziesi tej?

- Wolałbym wcz niej. Chciałbym zorientowa si w sytuacji. Rozumiesz, co mam na my li?

- Wi c wypłyniemy o dziesi tej. Na pewno wrócisz do tego czasu z klasztoru.

- Tak s dz . - Devlin zapalił papierosa. - Nie mog pojecha do Shaw Place twoj taryf , Michael. Londy ska taksówka byłaby w Romney Marsh zupełnie nie na miejscu. Czy ten ford jest na chodzie?

- Tak. Mówiłem ci, e czasem z niego korzystam.

- Jest jedna istotna sprawa - stwierdził Devlin. - Kiedy wydostan Steinera, b dziemy musieli ucieka , i to szybko. W ci gu dwóch godzin docieramy do Shaw Place, tam czeka samolot i ju nas nie ma, zanim władze zd si połapa , w czym rzecz. Tej nocy b dzie mi potrzebna furgonetka, ale tylko na podró w jedn stron . Nie byłoby dobrze, gdyby próbował j potem odzyska .

Ryan u miechn ł si .

- Dwa lata temu dostałem j zamiast spłaty długu od pewnego kupca z Brixton. W ksi ce wozu wszystko jest tak pokr cone, e mo na si u mia . Tablice te s lewe. Nikt nie b dzie mógł stwierdzi , e ta furgonetka nale ała do mnie. A jest w dobrym stanie. Wiesz, e znam si na silnikach. To moje hobby.

- No dobrze, dostaniesz za ni par szylingów wi cej - powiedział Devlin wstaj c. - Pójd teraz udobrucha twoj bratanic .

Kiedy zszedł po stopniach, Mary siedziała znowu w osłoni tej plandek łodzi i czytała ksi k .

- Co to jest tym razem? - zapytał.

- The Midnight Court - odparła niech tnie.

- Po angielsku czy po irlandzku?

- Nie mam irlandzkiej wersji.

- Wielka szkoda. Kiedy znałem j w cało ci na pami . Wuj dał mi za to Bibli . Był ksi dzem.

- Ciekawe, co by powiedział na pa skie post powanie - stwierdziła.

- Och, doskonale wiem. Przebaczyłby mi - odparł Devlin i ruszył w gór po schodkach.

Devlin siedział umundurowany w konfesjonale, z przewieszon na szyi fioletow stul , wysłuchuj c cierpliwie spowiedzi czterech zakonnic i dwóch pacjentów, którzy wyznawali kolejno swoje grzechy. Nie usłyszał niczego strasznego. Chodziło głównie o grzechy zaniedbania albo sprawy tak drobne, e wła ciwie nie warto było si nad nimi zastanawia , a jednak miały one znaczenie dla tych anonimowych ludzi, zwracaj cych si do niego z za kraty. Naprawd starał si , jak mógł, próbuje mówić to, co trzeba, ale z trudem dawał sobie rad . W ko cu ostatnia osoba odeszła od konfesjonatu. Siedział tam w zupełnej ciszy, a wreszcie otworzyły si drzwi kaplicy i usłyszał stukot wojskowych butów o kamienn posadzk .

Kto otworzył, a potem zamkn ł drzwiczki konfesjonatu. W ciemno ci odezwał si głos Steinera:

- Pobłogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłem.

- Nie a tak, jak ja, pułkowniku. - Devlin zapalił wiatło i u miechn ł si do niego przez krat .

- Co oni z panem zrobili, panie Devlin? - zapytał Steiner.

- Zmienili mi troch wygl d, eby zmyli po cig - wyja nił Devlin, przeczesuj c r k siw szczecin . - A co u pana?

- To teraz niewa ne. Brytyjczycy mieli nadzieję , e pan si tu zjawi. Rozmawiał ze mn generał brygady Munro z Zarz du Operacji Specjalnych. Zadbali podobno, aby do Berlina dotarła informacja, e jestem w Londynie. Przekazali j przez niejakiego Vargasa z ambasady Hiszpanii. Ten człowiek pracuje dla nich.

- Domy lałem si tego - stwierdził Devlin. - Co za łajdak!

- Powiedzieli mi o dwóch sprawach: e moj ucieczk organizuje generał Walter Schellenberg i e prawdopodobnie skorzysta z pa skich usług. Spodziewaj si pana. Maj nadzieję , e si pan zjawi.

- Owszem, ale zadbałem o to, żeby brytyjski wywiad zajmował się tymi sprawami tak, jak dotychczas. Vargas dostaje cię gdzieś depesze z prośbami o kolejne informacje. Bądź uważny, jestem nadal w Berlinie.

- Dobry Boże! - wyszeptał Steiner.

- Ilu andarmów eskortuje pana na dół?

- Dwóch. Jednym z nich jest zwykle porucznik Benson, ale dzisiaj ma przepustkę.

- W porządku. Za dwa albo trzy dni zamierzam pana stąd wydestynować. Wyjdziemy przez kryptę. Wszystko jest nieźle zorganizowane. Na rzece będzie czekała motorówka. Potem dwie godziny jazdy do miejsca, gdzie przejmie nas samolot z Francji.

- Rozumiem. Wszystko zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach, jak podczas „Operacji Orzeł”, a pamięta pan, jaki był finał.

- Tak, ale tym razem ja dowodzę - odpowiedział z uśmiechem Devlin. - W dniu ucieczki zejdziesz pan, tak jak dzisiaj, do spowiedzi. O zwykłej porze.

- Skąd mam wiedzieć, kiedy to będzie?

- Ma pan z okna dobry widok na schody, prowadzące na plac nad Tamizę. Przypomina pan sobie?

- A, tak.

- W dniu ucieczki na szczycie tych schodów, obok muru, pojawi się pewna dziewczyna. Będzie ubrana w czarny beret i stary nieprzemakalny płaszcz. Przyjdzie dokładnie w południe, więc codziennie o dwunastej niech pan wygląda przez okno. Ona wyraźnie utyka, panie pułkowniku, bardzo wyraźnie. Na pewno ją pan zauważy.

- I tego samego wieczoru zabieramy się stąd? - Steiner nabrał w tchnięciu. - A co z andarmami?

- To drobiazg - odparł z uśmiechem Devlin. - Proszę mi zaufać. A teraz trzy zdrowa kiełbaski, dwa razy Ojciec Nasz i na tym skończymy.

Wyłączył światło. Trzasnęły drzwiczki, a potem usłyszał szmer rozmowy, ponowny stukot butów o posadzkę oraz odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Wyszedł z konfesjonału i zbliżywszy się do ołtarza, mruknął:

- Przebacz mi, Boże.

Sprawdził, czy drzwi prowadzące do krypty są nadal odryglowane, a potem udał się do zakrystii, wziął swój trenz i wyszedł.

Ryan stał przy drzwiach, a Devlin szybko się przebierał, zmieniając mundur na ciemne spodnie i sweter. Podciągnąwszy prawą nogawkę, przymocował sobie do łydki kabur

i zasłonił skarpetki jej dołami. Potem wsunął do rękawa pistolet Smith and Wesson kaliber trzydziestu osiem i na powrót opuszczył nogawki.

- To na wszelki wypadek - stwierdził, wkładając po życzeniu od Ryana starą skórzaną kurtkę. Następnie otworzył walizkę, wyjął z niej plastikowe banknoty i wsadził je do wewnętrznej kieszeni.

Kiedy zeszli na dół, Mary znów siedziała przy stole, czytając książkę.

- Czy w dzbanku jest jeszcze herbata? - zapytał Devlin.

- Chyba odrobina. Czy już wychodzimy? - zapytała, wlewając herbatę do filiżanki.

Devlin otworzył szufladę w kuchennym stole, wyjął lugera, sprawdził go i wsunął pod kurtkę.

- Ty nigdzie nie pójdziesz, moja droga. Nie tym razem - oznajmił, popijając herbatę.

Mary zaczęła protestować, ale jej wuj pokręcił głową.

- On ma rację, dziewczyno. To może być niebezpieczne. Najlepiej trzymaj się z daleka.

Patrzyła zrozpaczona, jak schodzi do motorówki i odbija od przystani. Kiedy Ryan uruchamiał silnik, Devlin wszedł do niewielkiej sterówki i zapalił papierosa, osłaniając go dłonią.

- Ciebie to dotyczy, Michael - stwierdził. - Trzymaj się z daleka. To wyłącznie moja sprawa.

Jack i Eryk Carverowie przyjechali do doku „Czarny Lew” limuzyną marki „Humber” kwadrans przed dziesiątą. Za kierownicą siedział George. W doku panował niemal zupełny mrok. Jedynie nad głównym wejściem do magazynu paliło się światło osłonięte tak, jak nakazywały przepisy o zaciemnieniu. Napis na budynku głosił: „Bracia Carver - eksport i import”. Wsiadając z wozu, Jack Carver z satysfakcją spojrzał w górę.

- Podoba mi się. Ten, kto to namalował, odwalił dobrą robotę.

Było bardzo cicho. Jedynie od strony rzeki docierały odgłosy płynących statków. Eryk poszedł za Jackiem, a George pokłuszył do bagażnika samochodu, otworzył go i wyjął radioodbiornik, zapakowany w drewnianą skrzynkę, pomalowaną oliwkowo.

- Uwaga! To cenna rzecz - powiedział Carver, po czym zwrócił się do brata. - W porządku, Eryk. Nie traćmy czasu.

Eryk otworzył niewielkie drzwiczki w głównej bramie, wszedł przez nie i odszukał przełącznik światła. Brat i George podążyli za nim. Magazyn był zawałony różnymi skrzyniami. Na rękodziełach stał stół i dwa krzesła, z których korzystał zapewne spedycytor.

- Dobra, połó to na stole. - Gdy George wykonał polecenie, Carver zapytał: - Masz spluw ?

George wyci gn ł z jednej kieszeni walthera PPK, a z drugiej tłumik i przykr cił go do lufy.

- Patrz, Eryku, co za cholerne cudo - stwierdził Carver, zapalaj c cygaro. - Nie robi wi cej hałasu ni korek od szampana.

- Nie mog si doczeka , kiedy przyjdzie ten skurwiel - powiedział Eryk.

Devlin od pewnego czasu był ju jednak na miejscu, ukryty w półmroku w gł bi budynku, do którego dostał si przez okno na pi trze. Zobaczywszy, jak George chowa si za stert skrzy , a bracia Carverowie siadaj przy stole, zawrócił i wymkn ł si t sam drog , któr przyszedł.

W par minut pó niej stan ł przy bramie, wesoło pogwizduj c, otworzył drzwiczki i w lizgn ł si do rodka.

- Bóg z wami! - zawołał, podchodz c do stołu. - Ma pan towar, panie Carver?

- Ju panu powiedziałem, e potrafi zdoby wszystko. Nawiasem mówi c, wczoraj zapomniał pan si przedstawi .

- Churchill - odparł Devlin. - Winston.

- Bardzo zabawne.

Devlin otworzył skrzynk . Radio le ało w rodku, razem z całym wyposażeniem: słuchawkami, kluczem sygnalizacyjnym, antenami. Wygl dało na nowe. Devlin zamkn ł wieko.

- Jest pan zadowolony? - zapytał Carver.

- O, tak.

- No to forsa na stół.

Devlin wyj ł z kieszeni tysi c funtów i podał mu je.

- Twardziel z pana, co, panie Carver?

- Owszem. - Carver rzucił pieni dze na blat. - Przejdziemy teraz, rzecz jasna, do drugiej kwestii.

- A có to takiego?

- Pa skie obra liwe zachowanie wobec mojego brata i gro by w stosunku do mnie. IRA i Wydział Specjalny. Nie pozwol na to. Musz dba o swoj reputacj . Potrzebna ci nauczka, stary. - Dmuchn ł Devlinowi w twarz dymem z cygara. - George!

Jak na człowieka z uszkodzonym kolanem, George zareagował błyskawicznie, w jednej sekundzie przytkając Devlinowi do karku lufę walthera. Eryk sięgnął Irlandczykowi pod kurtkę i pozbawił go lugera.

- Zobacz, Jack, jaki to kawał spryciarza. Devlin rozłożył ręce.

- W porządku, panie Carver. Dobraliście się do mnie. I co teraz? Podeszedł do jednej ze skrzynek, usiadł i wyciągnął papierosa.

- Trzeba przyznać, że ma pan cholernie mocne nerwy - stwierdził Carver.

- Powiem ci, co się teraz stanie - odezwał się Eryk, wyjmując z kieszeni brzytwę i otwierając ją. - Obetnij ci uszy, ot, co zrobię.

- A George będzie mnie trzymał na muszce? - upewnił się Devlin.

- Tak to z grubsza wygląda - odparł Eryk.

- Widz tylko jeden problem - stwierdził Devlin. - Ta broń to walter PPK i żeby co nim zdziałać, trzeba najpierw odwieźć rygiel, a George chyba tego nie zrobił.

George próbował pospiesznie odbezpieczyć broń, ale Devlin jednym zdecydowanym ruchem sięgnął pod nogawkę spodni, wyszarpnął z kabury na łódce Smitha and Wesson'a i wystrzelił. Kiedy kula przeszła George'owi rami, z krzykiem wypuścił z ręki walthera. Devlin podniósł broń i mówił: „ładna sztuka, bardzo dziękuję”, wsunął ją sobie za pas.

Carver siedział bez ruchu z wyrazem kompletnego niedowierzania na twarzy. Eryk wydawał się miertelnie przerażony, gdy Devlin wkładał do kurtki najpierw pieniądze, a potem lugera. Na koniec wziął skrzynkę z radiem i ruszył do wyjścia.

Znalazłszy się przy drzwiach, odwrócił się.

- Mój Boże, Eryku. Byłbym zapomniiał. Wspominałem ci o obcinaniu mi uszu.

Wyprostował rękę i wystrzelił. Eryk wrzasnął, gdy z dolnej części prawego ucha pozostały mu tylko strzępy. Trzymał się za głowę ręką, spod której tryskała krew.

- Dobrze, że nie nosisz kolczyków - stwierdził Devlin. Wyszedł z budynku, a małe drzwiczki zatrzasnęły mu się za plecami.

Schellenberg był w swoim biurze, kiedy otworzyły się gwałtownie drzwi i weszła Ilse. Towarzyszył jej Asa Yaughan, ogromnie czym przejęty.

- O co chodzi, u licha? - zapytał Schellenberg.

- Musi pan pójść zaraz do centrum i czuć ci. - Ilse z trudem wypowiadała słowa. - Odezwał się Devlin. Devlin, panie generale! Depeszuje z Londynu.

Radio stało na kuchennym stole, a na ścianach wisały anteny. Ryan i Mary siedzieli obok, patrząc z podziwem, jak Devlin nadaje alfabetem Morse'a.

- O Bo e! - powiedział, marszcząc brwi. Stukał jeszcze przez chwilę, a potem przestał.  
- Wystarczy. Ci gnijcie anteny. Mary krztała się po kuchni, zwiłając przewody.

- Czy wszystko w porządku, Liam? - zapytał Ryan.

- Wszystko nie tak, mój stary. Mieliśmy się postarać w Francji przed dwudziestym pierwszym. Teraz mówi, że wielka ceremonia odbędzie się piątnastego. A ponieważ dziś jest dwunasty, nie zostało nam zbyt wiele czasu.

- Czy to w ogóle możliwe, Liam?

- Zaraz rano pospieszymy do Romney Marsh, żeby zobaczyć, co słychać w Shaw Place - powiedział Devlin, po czym zwrócił się do Mary: - Chciałabyś spędzić jeden dzień na wsi?

- Czemu nie.

- Dobrze, więc zadzwoni do państwa Shaw i uprzedzę ich o mojej wizycie.

Schellenberg siedział przy biurku w swoim gabinecie, zgłębiając treść list przed nim depechy, a Ilse i Asa Yaughan przyglądali mu się.

- No i co teraz robimy? - zapytał. - Devlin jest na miejscu, u przyjaciela z IRA, ma kontakt z Shawem i ze Steinerem.

- Wszystko gra - stwierdził Asa.

- Możliwe, ale do piątnastego nie zdąży. To niemożliwe, nawet dla Devlina.

- Zaczynam się zastanawiać, czy dla tego faceta istnieją rzeczy niemożliwe - powiedział Asa.

- „Będzie gotowi jutro”. Tak kości depech - zauważył Schellenberg. - No cóż, zobaczymy - dodał wstając. - Wtedy, żeby w kantine mieli szampana, ale jeśli się znajdzie, ja stawiam.

Na południe od Tamizy skręcili na drogę do Maidstone. Ryan prowadził, a Devlin siedział skulony obok niego. Nie miał na sobie munduru, tylko treny, a pod spodem garnitur duchowny i koloratki. Na jedno ucho nasunął czarny filcowy kapelusz. Ryan mówił prawdę: silnik fordą był w idealnym stanie, chociaż wóz wyglądał jak gruchot.

- Miała rację, Michael - stwierdził Devlin. - Ta twoja stara furgonetka nadawałaby się na wyścigi.

- Pewnie. Startowałbym w Brooklands, gdyby robili tam jeszcze zawody - powiedział Ryan, szeroko się uśmiechając. Mary siedziała z tyłu wozu, jak zwykle zajęta lekturą.

- Dobrze ci tam? - zapytał Devlin.

- W porządku.

- Zrobimy zaraz postój na herbatę.

W Maidstone Ryan objechał centrum miasta, aby znaleźć sklep z rowerami. Devlin wszedł do sklepu i nabył pół tuzina typowych lamp rowerowych, razem z nowymi bateriami.

- Wykupiłem cały zapas - stwierdził po powrocie. - Powiedziałem, że potrzebuję ich dla parafialnej drużyny skautów. Bez wątpienia ta koloratka czasem się przydaje.

- A po co panu te lampy? - zapytała Mary.

- Samolot przylatujący z mroku nocy jest jak zagubiony ptak, moja droga. Potrzebuje powitania. Pewnego dnia w świetle sytuacji, może się tak wydarzyć.

Minęli Ashford zatrzymali się na skraju drogi. Mary otworzyła termos i napili się wspólnie herbaty. Nie opodal polna cieka prowadziła do niewielkiego zagajnika. Przeszło padać, ale było nadal bardzo mokro. Nad drogą do Romney Marsh wisiały ciemne, złowieszcze chmury. W oddali widać było morze. Mary i Devlin poszli dalej i przystanęli pod drzewem, podziwiając widoki.

- Co czytasz tym razem? - zapytał Devlin wskazując głową książki.

- Wiersze - odparła. - Roberta Browninga. Lubi pan poezję?

- Kiedy wydrukowali mi jeden tomik. Co, co w branży nazywamy „zeszytem”. - Roze miał się. - Potrafiłem sypać wierszami jak z rękawa, a pewnego dnia zdałem sobie sprawę, jak bardzo są kiepskie.

- Wcale panu nie wierz. Proszę wymyślić coś na mój temat. Wetknął papierosa do ust.

- W porządku. - Zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział: - Kim jesteś, tajemnicza dziewczyno o kudziawych włosach? Spieszysz donikąd, ukazując spod obcisłej spódnicy obieć co pod nogi.

Jego twarz przybrała łobuzerski wygląd. Mary trzymała go zaciśniętą dłoń.

- To okropne.

- Ostrzegałem ci. - Zapalił ponownie papierosa. - Dobry wiersz wyraża wszystko w paru liniijkach.

- No dobrze, więc jakimi słowami określiłby pan mnie?

- To proste. Hej, eglarzu, płyń przed siebie, szukaj, aby znaleźć.

- Wspaniale - powiedziała. - Pan to napisał?

- Niezupełnie. Wpadł na to pewien jankes, niejaki Walt Whitman. - Zaczęło padać. Devlin wziął ją za łokieć, mówił: - Ale chciałbym móc napisać to dla ciebie. A teraz już chodźmy.

Ruszyli pospiesznie do samochodu.



Jack Carver jadł spó nione niadanie, siedz c przy stole obok okna w mieszkaniu nad „Astori ”, kiedy zjawił si Eryk. Miał mocno obanda owane ucho, a w poprzek czoła opask , przytrzymuj c opatrunek. Wygl dał okropnie.

- Jak si czujesz? - zapytał Carver.

- Fatalnie, Jack. Boli jak cholera. Aziz dał mi jakie pigułki, ale niewiele pomagaj .

- Twierdzi, e z George'em jest kiepsko. Kula rozwaliła mu ko . Mo e mie sztywn r k . I nog tak e. Eryk nerwowo nalewał kaw .

- Co za skurwysyn, Jack! Musimy si do niego dobra . Musimy.

- Zrobimy to, chłopcze - odparł Jack. - I wtedy my b dziemy gór . Rozesłałem ju jego rysopis po całym Londynie. Znajdziemy go. A teraz wypij kaw i zjedz co .

Dzi ki mapie samochodowej Ryan trafił bez trudu do Charbury, a informacja uzyskana w wiejskim sklepiku zaprowadziła ich do Shaw Place. Pordzewiałe elazne wrota stały otworem. Znajduj cy si za nimi wirowy podjazd, który prowadził do starego domu, był poro ni ty traw .

- To miejsce pami ta lepsze czasy - zauwa ył Ryan. Devlin wysiadł, otworzył drzwi furgonetki i wyj ł radio oraz torb z lampami do rowerów.

- Mo ecie mnie tu zostawi - o wiadczył. - Dalej pójd ju sam.

- O której mamy by z powrotem? - zapytał Ryan.

- Dajcie mi cztery godziny, a gdyby mnie tu nie było, po prostu zaczekajcie. Mo ecie zwiedzi sobie Rye albo jakie podobne miejsce.

- Dobrze - odparł Ryan. - Uwa aj na siebie, Liam.

Kiedy odjechali, Devlin wzi ł do r ki skrzynk i ruszył dług wirow alej . Wszystko wskazywało na to, e wła cicielom domu brakuje pieni dzy. Podł u ne okiennice, podobnie jak frontowe drzwi, wymagały pilnie malowania. Devlin poci gn ł za r czk dzwonka i czekał, ale nie było odpowiedzi. Po chwili podniósł skrzynk i zaczął obchodzi dom wokoło. Z tyłu był brukowany dziedziniec. Kto krz tał si za otwartymi drzwiami stajni. Devlin odstawił swój бага i zajrzał do rodka.

Lavinia Shaw, ubrana w bryczesy i buty do konnej jazdy, z chustk na głowie, czesała du ego czarnego ogiera. Devlin wło ył do ust papierosa i strzelił zapalniczk . Obejrzała si zaniepokojona.

- Panna Lavinia Shaw? - zapytał.

- Tak.

- Jestem Harry Conlon. Wczoraj wieczorem dzwoniłem do pani brata. Oczekuje mnie.

- Major Conlon. - O ywiła si nagle i odło ywszy szczotk i grzebie wytarła r ce o spodnie. - Ale oczywi cie. Wspaniale, e pan przyjechał.

Devlina zdumiał jej głos i całe zachowanie, wiadcz ce o dobrym pochodzeniu. Z u miechem u cisl 1 podan sobie dło .

- Bardzo mi miło, panno Shaw.

- Maxwell poszedł ze strzelb na bagna. Codziennie tam chodzi. Wie pan, jak to jest. Brakuje jedzenia. Trzeba co wło y do garnka. - Wygl dało na to, e nie potrafi zamilkn . - Wejd my do kuchni, dobrze?

Było to bardzo obszerne pomieszczenie, maj ce posadzk z czerwonych płytek. Na rodku stał ogromny sosnowy stół, a wokół niego krzesła. W zlewie le ały nie pozmywane naczynia i wsz dzie panował bałagan. Brak słu by wyra nie rzucał si w oczy.

- Herbaty? - zapytała. - A mo e wolałby pan co mocniejszego?

- Nie, wystarczy herbata.

Poło ył ostro nie na stole skrzynek i torb z lampami rowerowymi. Lavinia nastawiła tymczasem czajnik i zrobiła pospiesznie herbat . Była tak podniecona i zdenerwowana, e zalała j , zanim woda zd yła si zagotowa .

- O Bo e, wszystko zepsułam!

- Wcale nie. Jest gor ca i gasi pragnienie, prawda?

Dolał sobie troch mleka. Lavinia usiadła po drugiej stronie stołu, krzy uj c r ce pod bujnymi piersiami. Wpatrywała si w niego nieustannie z błyskiem w oczach.

- Nie potrafi wyrazi , jakie to wszystko jest pasjonuj ce. Od lat nie byłam tak podekscytowana.

Przypominała posta z kiepskiej sztuki, córk ksi cia, która wchodzi przez oszklone drzwi w bryczesach do konnej jazdy i przed wszystkimi si wyn trza.

- Był pan ostatnio w Niemczech? - zapytała.

- O, tak - odparł. - Wła nie przyjechałem z Berlina.

- Jakie to wspaniale by cz ci tego wszystkiego! Tutaj ludzie s tacy przyziemi. Nie rozumiej , co Führer uczynił dla Niemiec.

- Mo na by rzec: dla całej Europy - poprawił j Devlin.

- Wła nie. Siła, charakter, dyscyplina. A tutaj... - Za miała si pogardliwie. - Ten pijaczyna Churchill nie ma poj cia, co robi. Popęlnia jeden bł d za drugim.

- Prawda? - powiedział oschle Devlin. - Czy mógłbym si tu troch rozejrze ? Zobacz t star stodoł , w której trzymała pani Tiger Motha? I South Meadow?

- Oczywiście cie. - Poderwała się tak raptownie, że aż przewróciła krzesło. Podniósłszy je, dodała: - Wezm tylko płaszcz.

Łka była wieszka, nie Devlin oczekiwał. Ci gnęła się aż do widocznego w oddali skraju lasu.

- Jak ma długo? - zapytał. - Dwieście pięćdziesiąt, trzysta jardów?

- O, nie - odparła. - Prawie trzysta pięćdziesiąt. Trawa jest taka krótka, bo miejscowy farmer wydzierawił od nas łęk na wypas owiec, ale teraz pojechał z nimi na targ.

- Kiedy masz sto lat?

- Bez przerwy. Oczywiście wtedy, gdy miałam moją małą motha. Doskonale się bawiłam.

- A w tamtej stodole był hangar?

- Zgadza się. Zaprowadź pana.

Budynek prezentował się do okazale, ale jego potężne wrota, jak wszystko wokół, pamiętały lepsze czasy. Były wyraźnie spróchniałe i brakowało w nich desek.

Devlin pomógł Lavinii odchylić jedno ze skrzydeł, aby mogli wejść do rodka. W kącie stał porzeczony traktor, a z tyłu leżała butwiejąca sterta siana. Poza tym stodoła była pusta, a przez dziurawy dach kapły krople deszczu.

- Chciałby pan wstawić tu samolot? - zapytała.

- Tylko na krótko, żeby nie rzucał się w oczy. To lysander. Niezbyt duży. Zmieściłby się bez problemów.

- Kiedy dokładnie?

- Jutro wieczorem.

- Mój Boże, szybko pan działa.

- No cóż, nie należy tracić czasu.

Wyszli na zewnątrz i Devlin zamknął wrota. Gdzieś w oddali rozległ się odgłos wystrzału.

- To mój brat - stwierdziła Lavinia. - Chodźmy go poszukać, dobrze?

Kiedy szli przez łęk, powiedziała:

- Mieliśmy w Niemczech przyjaciela, który kiedyś tu przyjeżdżał. Nazywał się Werner Keitel. Latałam razem z nim. Nie znał go pan przypadkiem? Zginął w bitwie o Wielką Brytanię.

Zamilkła tylko na chwilę, po czym znów się odezwała:

- Cóż, przypuszczałam, że na tym się skończy.

- Bardzo mi przykro - powiedział Devlin.

- To było tak dawno, majorze - odparła, wruszając ramionami i przyspieszyła kroku.

Poszli wzdłuż grobli między niewysokimi trzcinami. Najpierw zobaczyli Nell, która wyskoczyła z wody, pokręciła się wokół nich i pobiegła z powrotem. Potem usłyszeli kolejny strzał i w oddali wyłonił się z trzcin Shaw. Zmierzał w ich kierunku.

- Spójrz tylko, moja droga! - zawołał, pokazując jej dwa króliki.

- Zobacz, kto przyjechał! - krzyknęła w odpowiedzi. Shaw zamilkł i podszedł jeszcze bliżej.

- Conlon, mój drogi! Miło pana widzieć. Nie bądź się witał. Mam na rękach krew. - Mówił takim tonem, jakby Devlin przyjechał spędzić weekend na wsi. - Chodźmy lepiej do domu czegoś napić.

Zaczęli wracać wzdłuż grobli. Devlin patrzył na poprzecinany strumieniami rozległy las trzcin.

- Zupełne pustkowienie - zauważył.

- To kraj umarłych, człowieku. Wszystko w tym cholernym kraju jest martwe. Deszcz, mgła i duchy przeszło ci. Oczywiście ci, za czasów mojego dziadka sprawy wyglądały inaczej. W samym domu było dwadzieścia pięć osób śpiących. Bóg jeden wie, ile jej mieli w całym majątku. - Szli dalej, a on ani przez chwilę nie przestawał mówić. - W dzisiejszych czasach nikomu nie chce się pracować. W tym cały problem. Wszędzie pełno cholernych bolszewików. Führer imponuje mi tym, że potrafi uporządkować ludziom życie.

- Chodzi panu o to, że narzuca dyscyplinę - stwierdził Devlin. Shaw przytaknął z entuzjazmem.

- Właśnie nie, mój drogi. Właśnie nie tak.

Devlin ustawił radio w niewielkim gabinecie za starą biblioteką. Shaw poszedł się wykpać, więc tylko Lavinia pomagała Liamowi rozwieszać w pokoju anteny, a potem przyglądała się z uwagą, gdy Irlandczyk wyjął jej działanie nadajnika.

- Różni się bardzo od tego, który pani miała? - zapytał.

- Jest tylko trochę nowocześniejszy.

- A co z alfabetem Morse'a? Pamięta go pani jeszcze?

- Na Boga, majorze Conlon, takich rzeczy się nie zapomina. Nauczyłam się nadawania jeszcze w harcerstwie.

- W porządku - podsumował Devlin. - Zobaczmy więc, co pani potrafi.

Schellenberg przeczytał uważnie w centrum łazienki przy Prinz Albrechtstrasse pierwszy depesz Devlina, po czym zwrócił się do Ilse i Asy Yaughana.

- To nie do wiary! On zamierza uwolnić Steinera jutro wieczorem. Ma pan być w Shaw Place na tyle wcześnie, żeby odlecieć najpóźniej o północy.

- Więc musimy brać się do roboty - stwierdził Asa.

- No cóż, Lysander jest już od wczoraj w Chernay - wyjechał Schellenberg. - Tylko my musimy się tam jeszcze dostać. - Zwrócił się do radiooperatora: - Proszę zadepeszować do Sokoła: „Spełnimy pańskie warunki. Godzinę odlotu potwierdzimy jutro wieczorem”.

Zbierał się już do wyjścia, gdy radiooperator zawołał:

- Jest odpowiedź, panie generale!

- Jaka? - zapytał Schellenberg, odwracając się.

- „Miło robi z panem interesy.”

Schellenberg uśmiechnął się i ruszył z powrotem do wyjścia. Asa i Ilse Huber pośpieszyli za nim.

Lavinia odwróciła się od nadajnika, który stał w gabinecie, i zapytała:

- Dobrze mi poszło?

- Zdaje się, że tak - odparł jej brat. Siedział przy pustym kominku, trzymając w ręce szklankę z whisky.

- Doskonale sobie pani radzi - zapewnił Devlin. - Ten nadajnik różni się pod jednym względem od aparatu, który pani wyrzuciła. Umożliwiało czono głosów, ale tylko na małe odległości. Jakie dwadzieścia pięć mil. Dlatego podałem im czystotliwość. Dostroiliśmy nadajnik tak, żeby wystarczyło go włączyć i gotowe. Można dziś o tym rozmawiać z pilotem, gdy będzie już wystarczająco blisko.

- Znakomicie. Co jeszcze?

- Po siódmej dostanie pani wiadomość z bazy we Francji. Potwierdź czas odlotu, więc proszę być na nasłuchu. Potem ułóż pani nałóżce lampy rowerowe, tak jak to opisałem.

- Dobrze, może pan być spokojny - zapewniła, mówiąc po chwili do Shawa: - Czy to nie cudowne, kochanie?

- Wspaniała sprawa, moja droga - odparł, nalewając sobie kolejnego drinka. Wzrok miał już nieco zamglony.

Devlin podniósł się, nie mogąc dłużej znieść ich towarzystwa.

- Pójdź już. Do zobaczenia jutro wieczorem. Shaw wybełkotał coś w odpowiedzi, a Lavinia zabrała Devlina z powrotem do kuchni, skąd wzięła swój płaszcz i kapelusz.

- Czy on przyjdzie do siebie? - zapytał Liam, gdy odprowadziła go do frontowych drzwi.

- Kto, Max? O, tak. Nie ma powodu do zmartwienia, majorze.

- A wi c do zobaczenia.

Kiedy szedł po wirowym podje dzie, zacz ł pada deszcz. Furgonetki jeszcze nie było. Czekał, trzymaj c r ce w kieszeniach. Przyjechała dopiero po półgodzinie.

- Dobrze poszło? - zapytał Ryan.

- Nam było wspaniale! - wtr ciła si Mary. - W Rye jest bardzo przyjemnie.

- Miło mi to słysze - odparł z przek sem Devlin. - Tych dwoje nie zaproponowało mi nawet kawałka chleba.

Asa ko czył wła nie w kantine spó niony obiad, kiedy wpadł Schellenberg.

- Mała zmiana planów. Dostałem wiadomo , e Reichsfuhrer chce mnie widzie . Co ciekawsze, mam zabra pana ze sob .

- Po jakiego diabła?

- Zdaje si , e przyznano panu Krzy elazny I klasy, a Reichsfuhrer lubi przypina je oficerom SS osobi cie.

- Ciekawe, co by powiedział mój stary - stwierdził Asa. - Sko czyłem West Point, na Boga!

- Dodatkowy problem w tym, e Reichsfuhrer jest w Wewelsburgu. Słyszał pan, oczywi cie, co to za miejsce?

- Wyobra enie raju ka dego dobrego esesmana. Jak to wpłynie na nasz harmonogram?

- Nie ma problemu. Dziesi mil od Wewelsburga jest pomocnicza baza Luftwaffe. Polecimy Storchem najpierw tam, a potem do Chernay. Schellenberg zerkn ł na zegarek. - Spotkanie wyznaczono na siódm , a Reichsfuhrer nie uznaje spó nie .

O szóstej trzydzie ci, gdy Ryan skierował motorówk w stron kamienistej pla y, Tamiz spowijały ju całkowite ciemno ci.

- Nie ruszaj si st d - powiedział do Mary. - To nie powinno długo potrwa .

Devlin wzi ł do r ki torb z narz dziami i latark .

- Dobra, ruszajmy - powiedział, wyskakuj c z motorówki.

W tunelu było wi cej wody ni przedtem. W pewnym momencie si gała im do piersi, ale posuwali si naprzód i w ci gu paru minut dotarli do kraty.

- Jeste pewien, e to konieczne? - zapytał Ryan.

- Mówiłe , Michael, e t krat b dzie łatwo zdj . Czy nie wyjd na idiot , je li nie da si jej ruszy , kiedy jutro wieczorem spróbuj wydosta Steinera?

- W porz dku, wi c bierzmy si do roboty - stwierdził Ryan.

- I adnych hałasów. Nie chc , eby kto , kto kl czy teraz w kaplicy, zacz ł zachodzi w głow , co si tu dzieje.

Sprawa okazała się przez to bardziej skomplikowana, niż przypuszczali. Powolne, ostro nie rozkruszanie cementu zajęło sporo czasu. Momentami odpadało naraz po kilka cegieł, ale z niektórymi było trudniej. Minęło pół godziny, zanim usunęli je z jednej tylko strony.

Od kwadransa pracowali już z drugiej, kiedy Ryan stwierdził:

- Cholera, miało być elastwo! Co za pieprzone elastwo!

Szarpanął kratę z taką siłą, że wypadła z muru. Devlin chwycił go za ramiona i odciągnął na bok, przytrzymując równocześnie nie metalowe przetyki.

Po wieścił latarką do rodka, po czym oddał ją Ryanowi i powiedział:

- Potrzyj, a ja pójdę się rozejrzeć.

- Bądź ostrożny.

Devlin przecisnął się przez dziurę. Woda, zakrywająca płyty grobowców, sięgała mu teraz po pachy. Dotarł do schodów i zaczął iść w górę. Obok niego przemknął szczur, skacząc do wody. Devlin przystanął na ostatnim schodku, a potem bardzo ostro nie chwycił za klamkę.

Rozległo się ciche skrzypienie i drzwi ustąpiły. Devlin zobaczył ołtarz, a po drugiej stronie skłaniały się w świetle wieczerne wizerunki Marii. Zajrzał ostro nie do rodka. Kaplica była pusta, ale przy głównym wejściu pojawiła się nagle jakaś zakonnica. Devlin bardzo starannie zamknął drzwi i wycofał się w dół po schodach.

- Wszystko gra - powiedział do Ryana, przecisnąwszy się przez dziurę. - A teraz wynośmy się stąd.

Schellenberg wydał rozkaz zatankowania storcha, po czym zacytował sobie od komendanta bazy Luftwaffe jego mercedesa wraz z kierowcą i wyruszył z Asą do Wewelsburga. Po drodze zaczął padać śnieg i dojeżdżając na miejsce ujrzeli Wewelsburg w całej okazałości. Wiatła w oknach i nad główną bramą dowodziły całkowitego ignorowania przepisów o zaciemnieniu.

Asa przyglądał się zamkowi i jego wiecom na tle padającego śniegu.

- Mój Boże! - powiedział z pełnym lękiem podziwem. - To niesamowite!

- Wiem. - Schellenberg wyciągnął rękę i zasunął wewnętrzny szybki, aby kierowca Luftwaffe nie słyszał ich rozmowy. - Wygląda jak dekoracja do filmu. Ale tak naprawdę to osobisty schron Reichsführera, o rodek bada nad czystością rasy i drugi dom całej elity SS.

- Ale co oni tam robią?

- Reichsführer ma obsesję na punkcie króla Artura i Rycerzy Okrągłego Stołu. A więc sadza przy okrągłym stole swoich dwunastu najbardziej zaufanych współpracowników. To, oczywiście, jego rycerze.

- Rozumiem, że pan się do nich nie zalicza.

- Absolutnie. Nie, trzeba by szaleć, żeby wdawać się w te zabawy. Maj tam salami ci ze swastyk na suficie i dołem, w którym splonęła miernoci szczupki wybrańców. Jest też dwanaście postumentów i urny, czekające na prochy.

- Czyba pan artuje? - powiedział Asa.

- Nie, bynajmniej. Pokaż to panu, jeśli będzie okazja. - Schellenberg rozejmiał się, kręcąc głową. - I tacy ludzie decydują o losach milionów.

Zameldowali się przy wejściu, zostawiając płaszcze i czapki dyurnemu sierantowi, który sprawdził, czy figurują w rejestrze.

- Tak jest, generale Schellenberg. Reichsführer oczekuje pana o siódmej w swoim prywatnym apartamencie w południowym skrzydle. Zaprowadź pana, sir.

- Nie ma potrzeby. Znam drogę.

Asa pospieszył za Schellenbergiem przez hol, a kiedy skręcili w korytarz, stwierdził:

- Ma pan rację. Louis B. Mayer nie zrobiłby tu żadnego wrażenia. Schellenberg spojrzał na zegarek.

- Mamy jeszcze kwadrans. Chodźmy, pokaż panu tę salami ci, o której wspominałem. To gdzie tutaj. O ile sobie przypominam, jest tam niewielka galeria. Tak, tutaj.

Kilkanaście schodków prowadziło w górę do dworkowych drzwi. Uchyliwszy je z łatwością Schellenberg usłyszał natychmiast jakieś głosy. Znieruchomiał, marszcząc brwi, po czym odwrócił się do Asy i położył palec na ustach. Dopiero wówczas otworzył ostrożnie drzwi i obaj weszli do środka.

W pełnym cieniu okrągłym pomieszczeniu paliło się jedynie przy mione światło. Asa zauważył postumenty i urny, o których opowiadał Schellenberg, dostrzegł również swastyk na suficie i znajdujących się pod nimi dół, ale najbardziej zainteresowały go obecne tam osoby. Rossman, adiutant Himmlera, stał z boku. Reichsführer był wewnątrz, rozmawiając twarzą w twarz ze Sturmbannführerem Horstem Bergerem. Wszyscy mieli na sobie czarne mundury.

- Sprowadziłem pana, Berger, do tego właśnie miejsca, zanim rozpocznie pan misję, którą tak należy nazwać.

- To dla mnie zaszczyt, Reichsführer.



- A teraz omówmy szczegóły. Jutro o szóstej wieczorem wyjedzie pan na spotkanie Führera, którego samolot wylądował w bazie Luftwaffe w Cherbourgu. Będzie mu towarzyszył. Przewiezie nas pan do tego Chateau de Belle-Ile i tam spędzimy noc. Następnego dnia o siódmej rano Führer spotka się przy niadaniu z Rommlem i admirałem Canarisem. Przyjadą samochodami.

- A kiedy mam zacząć akcję, Reichsführer? Himmler wzruszył ramionami.

- To właściwie bez znaczenia. Chyba najlepiej pod koniec posiłku. Ilu ludzi będzie pan miał w obstawie?

- Trzydziestu.

- Dobrze. To powinno wystarczyć.

- Zostali specjalnie wybrani, Reichsführer.

- W porządku. Im mniej ich będzie, tym lepiej. Wszystkich nas, zaangażowanych w te sprawy, i czy szczególne braterstwo, są bowiem tacy, którzy sprzeciwiliby się naszym zamiarom.

- Ma pan rację, Reichsführer.

- Na przykład generał Schellenberg. Jest bardziej przebiegły niż przysłowiowy lis. Dlatego właściwie nie chciałem, aby nie było go tu przez ostatnie trzy tygodnie. Dałem mu to idiotyczne zadanie, aby się czymś zajął. Ma wywiad z Anglii Steinera. To nierealne. Wiem od ludzi z wywiadu, że nasz londyński agent, Vargas, pracuje także dla Brytyjczyków. Nie wspomnieliśmy o tym Schellenbergowi, prawda, Rossman?

- Nie, Reichsführer.

- Możemy więc wysnuć wnioski, że ten Irlandczyk, Devlin, niedługo pociągnie.

- Byłbym bardzo rad, Reichsführer - stwierdził Berger.

- Mogliśmy, Berger, wygrać wojnę pod Dunkierką, gdyby Führer pozwolił czołgom wejść na plażę. Ale on je zatrzymał. W Rosji klęska za klęską. Pod Stalingradem najstraszliwsza porażka, jakiej doznała kiedykolwiek niemiecka armia. - Himmler zrobił parę kroków, po czym odwrócił się. - Błędem, a on nadal nikogo nie słucha.

- Rozumiem, Reichsführer - powiedział Berger. - Kiedyś każdy człowiek by posłuchał.

- I w ten sposób Niemcy, nasza ukochana ojczyzna, pograją się nieubłaganie w otchłani klęski. Dlatego Führer musi umrzeć, a wypełnienie tej wielkiej misji należy do pana, Berger. Rommel i Canaris: nikczemny spisek tych dwóch doprowadzi do niefortunnej śmierci Führera, po czym sami zginą z rąk lojalnych esesmanów.

- A co dalej? - zapytał Berger.

- Naturalnie my, członkowie SS, przejmujemy całą władzę. Wojna będzie mogła wówczas kontynuować w należyty sposób. Nie słabo ci ani uchylania się od obowiązków.  
- Położył Bergerowi dłoń na ramieniu. - Należy do tego samego, w imię tego bractwa, majorze. Zazdroszczę panu tej szansy.

Schellenberg dał Asie znak głową i wypchnął go na zewnątrz, zamykając drzwi.

- Wielki Boże! - odezwał się Asa. - I co teraz?

- Idziemy na spotkanie. Jeśli się dowiedzie, że wszystko słyszeliśmy, będzie po nas. - Kiedy szli pospiesznie korytarzem, Schellenberg dodał: - O cokolwiek by pytał, niech pan nie mówi w jej imię. I ani słowa o akcji Devlina.

Weszli na górę tylnymi schodami, docierając szybko korytarzem pod drzwi salonu Himmlera w południowym skrzydle.

Schellenberg usiadł na krześle za biurkiem Rossmana.

- A teraz zaczekamy. Wejść pewnie do jego pokoju tylnymi drzwiami.

W chwili późnej drzwi się otworzyły i wyjrzał zza nich Rossman.

- A, jesteście, panowie.

- Punktualnie - odparł Schellenberg i pierwszy wszedł do rodzka. Himmler podniósł wzrok znad biurka.

- A więc, generale, to jest Hauptsturmführer Yaughan, pilot, którego pan zwerbował, aby uwolnił Steinera?

- Tak jest, Reichsführer.

- Słucham, jakiego pana Devlina?

- Niestety nie, Reichsführer - odparł Schellenberg.

- No cóż, ta akcja była od początku, delikatnie mówiąc, problematyczna. Führer leci do Cherbourga i przybywa do Belle-Ile jutro wieczorem. Pojutrze, o siódmej rano, Canaris i Rommel mają z nim spotkanie. Oczywiście, ja też tam będę. Ci idioci zabawiają się właśnie dyskusją na temat Normandii. Wpadli na szalony pomysł, że inwazja nadejdzie stamtąd i mają nadzieję przekonać o tym Führera.

- Rozumiem, Reichsführer.

- Wróćmy jednak do celu tej wizyty i powodu, dla którego prosiłem o przeprowadzenie pańskiego oficera. - Odwrócił się i powiedział rozkazując: - Rossman!

Himmler wstał, a Rossman otworzył drzwi z medalem. Reichsführer wyjął ze rodzka elazny Krzyż i wyszedłszy zza biurka przypiął go Asie do munduru.

- Hauptsturmführer Asa Yaughan z Legionu Jerzego Waszyngtona, dekoruj pana w uznaniu najwyższego męstwa, wykazanego w walkach powietrznych nad Polską.

- Dziękuj, Reichsführer - odparł Asa, ogromnym wysiłkiem woli zachowując niewzruszoną twarz.

- A teraz musicie, panowie, odejść. Mam sporo pracy. Zbiegłszy po schodach, Schellenberg i Asa odebrali płaszcze i czapki, po czym podszli do oczekującego ich mercedesa.

- Wracamy do bazy - polecił kierowcy Schellenberg, wsiadając z Asa do wozu.

Kiedy ruszyli, Asa zasunął wewnętrzne drzwi i zapytał:

- Co pan o tym sądzi?

- Wiem jedno - odparł Schellenberg. - Zabójstwo Hitlera to najgorsze, co może się zdarzyć. Kiedy Führer popełnia jeden błąd za drugim, jest przynajmniej szansa na względnie szybkie zakończenie wojny. Z Himmlerem byłoby inaczej. Potrafi pan sobie wyobrazić totalną władzę w rękach tej bestii, SS w rzędzie i w armii? Wojna mogłaby trwać latami.

- Wiacie co pan zamierza zrobić? Ostrzec Rommla i Canarisa?

- Przede wszystkim nie wiem, gdzie ich szukać, a po drugie, Asa, pozostaje kwestia wiarygodności. Niby dlaczego mieliby mi uwierzyć? Cóż znaczy moje słowo wobec autorytetu Reichsführera SS?

- Dajmy temu spokój, generale. Liam Devlin uważa, że bystry z pana facet. Na pewno coś pan wymyśli.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał Schellenberg. - Ale na razie skoncentrujmy się na tym, żeby wrócić na ląd dowiśko i wsiąść do Storch'a. Odlatujemy natychmiast. Im szybciej dotrzemy do Chernay, tym bardziej będę zadowolony.

O jedenastej rano dywany andarm przynosił zwykle Steinerowi filiżankę herbaty. Tym razem spędził siłą piątkę minut. Niemiec siedział przy oknie, pogryziony w lekturze.

- Proszę, panie pułkowniku.

- Dziękuj, kapralu.

- Pewnie wolałby pan kawę, sir? - stwierdził żołnierz, zwlekając z wyjściem. Wyrzucił Steinerowi sympatię.

- Ale ja piję herbatę od dziecka, kapralu - powiedział oficer. - Właśnie tu, w Londynie, chodziłem do szkoły. Do St. Paul's.

- Naprawdę, sir?

Zamierzał już wyjść, kiedy Steiner zapytał:

- Czy porucznik Benson jeszcze nie wrócił?

- Ma przepustkę do północy, sir, ale o ile go znam, zjawi się wieczorem. Wie pan, jacy są ci młodzi oficerowie. Chcą się wykazać. Chodzi o tę drugą gwiazdkę.

andarm wyszedł, ryglując za sobą drzwi, a Steiner wrócił na krzesło przy oknie. Czekał, podobnie jak poprzedniego dnia, a nadejście południa, i popijając herbatę starał się opanować zniecierpliwienie.

Znowu padał deszcz, a nad miastem wisiała mgła. Była już tak gęsta, że nie widział prawie drugiego brzegu rzeki. Z londyńskich doków wypłynął w końcu statek handlowy, a za nim sunęły rzędem barki. Steiner przyglądał mu się przez chwilę, zastanawiając się, dokąd płynie, a potem zobaczył dziewczynę w czarnym berecie i podniszczonym płaszczu. Wyglądała dokładnie tak, jak opisał ją Devlin.

Mary ku tykała po chodniku z podniesionym kołnierzem i rękami wsuniętymi do kieszeni. Przystanęła obok zejścia na plażę i oparłszy się o mur patrzyła na płynące po rzece statki. Nie spojrzała nawet w kierunku klasztoru. Devlin wyraźnie jej tego zakazał. Stała przez dziesięć minut w jednym miejscu, patrząc przed siebie, po czym odwróciła się i odeszła.

Steiner, czując ogarniające go podniecenie, zacisnął dłonie na okiennej kracie, aby się uspokoił. W tym momencie otworzyły się drzwi i ponownie wszedł kapral.

- Je li pan już skończył, pułkowniku, weźmiesz tacę.

- Tak, dziękuję. - Gdy andarm odwrócił się do wyjścia, Steiner dodał: - Aha, nie wiem, kto ma wieczorem dyżur, ale chcę dzisiaj pójść do spowiedzi.

- W porządku, sir. Zanotuj to. Jak zwykle o ósmej.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Steiner nasłuchiwał cichnego powoli odgłosu jego kroków na korytarzu, po czym odwrócił się i znowu zacisnął dłonie na kracie.

- A teraz módlmy się, panie Devlin - powiedział cicho. - Teraz się módlmy.

Kiedy Devlin zjawił się w kościele w tego Patryka, miał na sobie mundur i wojskowy trenz. Nie był wcale ciwie pewien, dlaczego przyszedł. Pewnie znowu drczyło go sumienie, a może po prostu nie lubił nie dokończonych spraw. Wiedział jedynie, że musi przed wyjazdem porozmawiać ze starym księdzem. Miał wiadomość, że go wykorzystał, i czuł się winny. Co gorsza, tego wieczoru na pewno znowu się spotkają, i to po raz ostatni, w klasztornej kaplicy. Nie widział możliwości uniknięcia tej przykłej sytuacji.

W pustym kościele był tylko ojciec Martin, który układał kwiaty u stóp ołtarza. Słyszając kroki Devlina odwrócił się i z niekłamaną radością na twarzy rzekł „witam księdza”.

Devlin zdobył się na uśmiech.

- Wpadłem tylko, żeby powiedzieć, że ruszam w drogę. Dzisiaj rano dostałem wezwanie.

- To dość nieoczekiwane, prawda?

- Cóż, po prostu każe mi wracać. - Devlin kłamał w oczy. - Mam się zgłosić do szpitala wojskowego w Portsmouth.

- No tak, wojna jeszcze si nie sko czyła. Devlin pokiwał głow .

- Wojna, wojna, ta przekl ta wojna, ojcie! Za długo ju trwa i zmusza nas wszystkich do czynów, których inaczej nigdy by my nie popełnili. Dotyczy to ka dego ołnierza, oboj tnie, po której jest stronie. Musimy wstydzi si naszego post powania.

- Co ci trapi, mój synu - powiedział cicho staruszek. - Czy mog ci jako pomóc?

- Nie, ojcie, tym razem nie. S sprawy, z którymi musimy radzi sobie sami. - Devlin wyci gn ł r k na po egnanie, a staruszek j u ciska ł. - Było mi naprawd miło ojca pozna .

- Wzajemnie - odparł Frank Martin.

Devlin obrócił si na pi cie, a gdy wyszedł, drzwi zamkn ły si z trzaskiem. Stary ksi dz stał przez chwil w miejscu, wyra nie skonfundowany, potem jednak zaj ł si znowu układaniem kwiatów.

Równie w Chernay mo na było dostrzec pierwsze oznaki mgły, kiedy o godzinie czwartej Schellenberg wyruszył na poszukiwanie Asy. Znalazł go razem z sier antem lotnictwa Leberem w hangarze, w którym stał lysander.

- W jakim jest stanie? - zapytał Schellenberg.

- W doskonałym, panie generale - odparł Leber. - Wr cz idealnym. - U miechn ł si . - Oczywiście, Hauptsturmführer sprawdza wszystko ju pi ty raz, ale to zrozumiałe.

Na pro b Asy lysander miał zamocowane w odpowiednich miejscach brezentowe pasy z okr głymi znakami RAF-u, a czarna plandeka zasłaniała swastyk na ogonie.

- Oczywiście, nie ma stuprocentowej gwarancji, e nie odpadn podczas lotu - zastrzegł si Asa. - Musimy zaciska kciuki.

- A co z pogod ? - zapytał Schellenberg.

- Jest niepewna - odparł Leber. - Mo e by ograniczona widoczno . Zbli aj si dwa przeciwne fronty. Dowiadywałem si w bazie w Cherbourgu i, prawd mówi c, to jeden z tych przypadków, gdy niewiele potrafi powiedzie .

- Ale samolot jest gotowy?

- O, tak - potwierdził Asa. - To cacko ma jedn znakomit rzecz: zapasowy zbiornik paliwa. Pewnie RAF zainstalował go ze wzgl du na rodzaj zada , jakie wykonywali. Mam półtorej godziny na lot, a dzi ki wywiadowcom Luftwaffe z Cherbourga b d mógł u wybrze y Anglii nastawi radio na cz stotliwo RAF-u.

- W porz dku. Przejd my si troch . Musz odetchn wie ym powietrzem.

Szli wzdłu pasa startowego w lekkiej m awce. Schellenberg palił papierosa, przez chwil nic nie mówi c. Dotarłszy do ko ca l dowiska oparli si o ogrodzenie, wpatrzeni w morze.

- Nie obawia się pan? - zapytał Schellenberg.
  - Podróży? - Asa wzruszył ramionami. - Samym lotem się nie martwi. Problem w tym, jak będzie po drugiej stronie.
  - Tak, zależy wszyscy od pana Devlina.
  - Zakładajcie, że nic nie nawali - powiedział Asa - i jutro wczesnym rankiem wyjdź tutaj z naszymi przyjaciółmi, co wtedy? Co z Belle-Ile? Ma pan jakie pomysły?
  - Tylko jeden i byłby to desperacki wyczyn. Z drugiej strony nie ma w nim nic skomplikowanego, a ja lubię prostotę. Jest w moim stylu.
  - Zamieniam się w słuch.
  - Führer będzie jadł wiadanie z Rommlem, admirałem i Reichsführerem. Berger zamierza uderzyć, kiedy skończy.
  - Tak, tyle wiem. Słyszałem te rozmowy. Czy by pan zapomniał?
  - A gdyby my tak razem z panem Devlinem zjawili się podczas tego wiadania i zdemaskowali spisek?
  - Wtedy i nas by załatwili, to oczywiste - stwierdził Asa. - Nawet gdyby opowiedział pan wszystko Führerowi, Berger i jego kumple po prostu zrobiliby swoje.
  - No tak, w dodatku Reichsführerowi byłoby na ręk, żeby się mnie pozbył. - Schellenberg uśmiechnął się. - Mam jednak pewną ukrytą kartę, o której nie wspominałem. Pamięta pan nasz wypraw do Belle-Ile? Dwunasty Oddział Spadochroniarzy pod St.-Aubin? Hauptmann Erich Kramer z trzydziestoma pięćcioma ludźmi.
  - Pewnie, że pamiętam.
  - Jak pan myśli, co by było, gdyby zjawił się tam pułkownik Kurt Steiner, żywa legenda Pułku Spadochroniarzy, i powiedział, że potrzebuje ich pomocy, bo o dziesięć mil dalej ma dojść do spisku SS na życie Führera?
  - Mój Boże! - odparł Asa. - Ci faceci poszliby wszędzie za Steinerem.
  - Właśnie. W dodatku Fallschirmjäger zawsze słynęli z niechęci do SS.
  - To mogłoby się uda - przyznał Asa.
  - Jeśli nie nawali nic innego.
  - Wyjdźmy to do końca. My wchodzimy pierwsi, a Steiner za nami, czy tak?
  - Zgadza się. Powiedzmy po piętnastu minutach.
  - Przy tym stole może być gorzej - stwierdził Asa.
  - No cóż, teraz wolno o tym nie myśleć - powiedział Schellenberg. - Mam na głowie sporo innych spraw. Chodźmy napić się kawy.
- Devlin rozłożył różne przedmioty na stole w kuchni u Ryana.

- Zobaczmy, co tu mam - powiedział. - Ci andarmi nosz przy sobie kajdanki, ale na wszelki wypadek wezm kawałek sznurka.

- Zrobiłem trzy kneble - oznajmił Ryan. - Z banda y i przylepca. Pami taj, e jest jeszcze ten twój ksi dz.

- Wolałbym o nim zapomnie , ale có zrobi - odparł Devlin.

- A co z broni ?

- Na wszelki wypadek wsadz do kabury na nodze smitha and wesson. No i wezm tego walthera z tłumikiem, którego zabrałem Carverowi.

- My lisz, e b dziesz musiał kogo zabi ? - zapytał z niepokojem Ryan.

- Zrobi wszystko, eby tego unikn . Masz t swój sakiewk ?

- O Bo e, byłbym zapomni!

Ryan wysun ł szuflad w kuchennym stole i wyj ł skórzany woreczek. Był napelniony ołowiem i miał p tl , któr zakładało si na przegub. Wielu londy skich taksówkarzy u ywało czego takiego do samoobrony. Devlin zwa ył woreczek w dłoni i poło ył obok walthera.

- To ju wszystko - stwierdził Ryan. Devlin u miechn ł si promiennie.

- Brakuje nam tylko Steinera.

W tym momencie otworzyły si drzwi i weszła Mary.

- Bo e, dziewczyno, umieram z głodu - powiedział do niej wuj. - Zrób nam jajka na boczku, je li mo esz.

- Bez problemu - odparła. - Ale nie ma chleba ani herbaty. Pobiegn na High Street, zanim zamkn sklep. Wróc za moment.

Si gn ła za drzwi po beret i płaszcz i wyszła.

Starsza pani za lad sprzedała jej oprócz chleba i herbaty puszk łososia z czarnego rynku i papierosy. Wychodz c ze sklepu, Mary niosła to wszystko w torbie na zakupy. Było mgli cie i samochody je dziły bardzo wolno. Przystan ła ostro nie na rogu, eby przej przez jezdni .

Eryk Carver, prowadz c nale c do brata limuzyn marki „Humber”, zatrzymał si przed wiatłami. Mary była dwa metry od niego i wyra nie j widział. Przeszła przez jezdni i skr ciła w boczn uliczk . Kiedy zmieniły si wiatła, Eryk wjechał tam, zatrzymał Humbera przy kraw niku, wysiadł i ruszył ostro nie za dziewczyn .

Mary, id c najszybciej, jak si dało, skr ciła w Cable Wharfe i pod yła w kierunku domu. Kiedy znikn ła za rogiem, Eryk pospieszył jej ładem i ostro nie wyjrzał zza muru. W tym momencie wchodziła wła nie przez kuchenne drzwi.

Gdy się otworzyły, usłyszał słowa Devlina:

- A, jeste , dziewczyno. Mo e by tak ju weszła? Drzwi zamkn ły si , a Eryk powiedział cicho:

- Dobra, gnido. Mam ci wreszcie. Potem zawrócił, pospiesznie się oddalając.

Jack Carver był w sypialni, kiedy wtargnął tam Eryk.

- Ile razy mam ci powtarzać , Eryku? - powiedział. - Nie rycz sobie, eby ktokolwiek tu wchodził, kiedy się przebieram. Ciebie to te dotyczy.

- Znalazłem go, Jack. Wiem, gdzie ten cholerny skurwiel się zasztył. Zauważyłem dziewczynę i poszedłem za nią do domu. Jest u niej.

- Na pewno?

- Oczywiście, do cholery!

- Gdzie to było?

- W Wapping. To miejsce nazywa się Cable Wharfe.

- W porządku. - Carver z satysfakcją pokiwał głową, włożył marynarkę i poszedł do salonu. Eryk podążył za nim.

- Wi c co zrobimy? - zapytał Eryk, gdy brat usiadł za biurkiem.

- Co? Załatwimy go - odparł Carver.

- Kiedy?

Carver spojrzał na zegarek.

- Wiesz, e dzi wieczorem gram o du stawek . Skończymy koło dziesiątej. Wpadniemy do niego, kiedy będzie myślał, e może się już układa wygodnie do snu. - Carver uśmiechnął się, otworzył szufladę i wyjął z niej browninga. - Tylko ty i ja, i nasz przyjaciel.

Twarz Eryka nabrała szatańskiego wyrazu.

- Chryste, Jack, nie mogłeś się już doczekać! - wycodził.

Porucznik Benson zjawił się w klasztorze tu przed siódmą. Przywitał się ze strómem, który wpuścił go do rodzka, a potem poszedł prosto na górę. ci le biorąc, zgodnie z tym, co powiedział rano Steinerowi andarm, Benson miał przepustkę do północy, ale od rodziców mieszkających w Norwiche mógł dojechać do Londynu tylko wcześniejszym pociągiem. Dotarwszy na korytarz na najwyższym pięttrze zastał w swoim biurze kaprała, który na jego widok natychmiast zerwał się na nogi.

- Wrócił pan, sir.

- Myślałem, e to oczywiście, Smith. Gdzie jest sierżant Morgan?

- Wszedł jak godzinę temu, sir.



- Czy podczas mojej nieobecno ci nic si nie zdarzyło?

- Chyba wszystko w porz dku, sir.

- Zajrzyjmy do ksi gi. - Smith podał mu j i Benson przerzucił par kartek. - Co to za wpis w rejestrze przepustek? Major Conlon?

- A, tak, sir. To duchowny. Robił obchód wspólnie z siostr i ojcem Martinem.

- Kto mu pozwolił?

- Miał przepustk z Ministerstwa Spraw Wojskowych, sir. Wie pan, jedn z tych, które daj swobodny wst p do ró nych miejsc. Sier ant Morgan chyba wszystko tam zapisał.

- Widz . Pytanie tylko, co ten Conlon tu robił?

- Nie mam poj cia, sir. Sprawiał korzystne wra enie. Siwy, w okularach. Wygl dało na to, e sporo przeszedł. Aha, miał Krzy Wojenny, sir.

- Tak, no có , to jeszcze nic nie znaczy - stwierdził z przek sem Benson. - Zejd zobaczy si z siostr .

Była w swoim biurze, gdy zapukał i wszedł do rodka. Podniosła wzrok i powitała go u miechem.

- Wrócił pan. Udał si urlop?

- Tak, nie najgorzej. Czy ojciec Martin jest gdzie w pobli u?

- Poszedł wła nie spowiada do kaplicy. Mog w czym pomóc?

- Kiedy mnie nie było, zjawił si tu niejaki major Conlon.

- A tak, kapelan wojskowy. Miły człowiek. Jest na urlopie zdrowotnym. O ile wiem, w zeszłym roku został ranny na Sycylii.

- Rozumiem, ale czego tu szukał?

- Niczego. Pokazali my mu tylko klasztor, a wieczorem zast pił ojca Martina, który niezbyt dobrze si czuł.

- Czy ten człowiek potem tu jeszcze wrócił?

- Nie. Ojciec Martin wspominał, e dostał jakie wezwanie. Chyba do szpitala wojskowego w Portsmouth. - Wydawała si nieco zaskoczona. - Czy co si stało?

- Nie, nie. Po prostu kiedy zjawia si nieoczekiwany go z ministerialn przepustk , chciałoby si wiedzie , co to za jeden.

- Za bardzo si pan tym przejmuj - powiedziała.

- Zapewne. Dobranoc, siostro.

Nie potrafił jednak pozby si dr cz cych go w tpliwo ci i wróciwszy na gór do swojego biura zadzwonił do Dougala Munro.

Jack Carter wyjechał tego dnia do Yorku i wracał pociągami do Londynu dopiero o dziesiątej. Munro sam odebrał więc telefon w biurze, wysłuchując cierpliwie, co Benson ma do powiedzenia. - Słusznie pan zrobił, dzwonię do mnie - stwierdził. - Nie jestem zachwycony, kiedy oficerowie z przepustkami z ministerstwa wtrącają się w nasze sprawy, ale trudno. To jedna z ujemnych stron korzystania z takiego miejsca jak klasztor, panie Benson. Duchowni zachowują się inaczej niż zwykli ludzie.

- Mam tu w rejestrze przepustek dane tego Goniona, sir. Są panu potrzebne?

- Proszę posłuchać. Zabieram się stąd zaraz i wracam do domu - odparł Munro. - Wpadnę do pana gdzieś za półtorej godziny.

- Będzie czekał, sir.

Kiedy Benson odłożył słuchawkę, stojący przy drzwiach kapral Smith zauważył:

- Pułkownik Steiner ma zamówioną wizytę w kaplicy, sir.

- Z czego on się spowiada, do cholery, skoro siedzi tu zamknięty? - zirytował się Benson.

- Jak zwykle o ósmej, sir. Mam tam iść z kapralem Rossem?

- Nie - odparł Benson. - Pójdziemy razem. Oczekuj generała Munro, ale nie zjawia się tutaj przed wpół do dziesiątej. A teraz niech mi pan zrobi filiżankę herbaty.

W Chernay siły natury wyraźnie sprzyściły się przeciw ludziom. Znad morza nadciągała mgła, przynosząc ze sobą deszcz. Schellenberg i Asa Yaughan stali w centrum i czekali, a sierżant lotnictwa Leber uzyskał informacje z Cherbourga. Po chwili odwrócił się do nich, mówiąc:

- Samolot Führera dotarł szczęśliwie na miejsce, panie generale. Wylądował o szóstej, zanim zaczęło się to wszystko.

- Jakie są prognozy? - dopytywał się Asa.

- Nad kanałem wiatry mogą osiągnąć w porywach osiem stopni.

- Cholera, z wiatrem sobie poradzą - stwierdził Asa. - Co jeszcze mówi?

- Mgła nad południową Anglią, od Londynu aż do wybrzeża nad kanałem. To nie wszystko. Twierdzę, że w nocy pogoda się pogorszy. - Wydawał się przygnębiony. - Prawdopodobnie, sir, wygląda to paskudnie.

- Niech pan się nie martwi, sierżancie. Jako sobie poradzą.

Wyszedszy na deszcz i wiatr Asa i Schellenberg pośpieszyli do przydzielonego im baraku. Schellenberg usiadł na jednym z łódek i nalał sznapsa do emaliowanego kubka.

- Ma pan ochotę?

- Lepiej nie - odparł Asa, zapalaj c papierosa. Na chwil zaległo milczenie. Przerwał je Schellenberg.

- Prosz posłucha . Je eli pan uwa a, e to si nie uda, je eli nie chce pan lecie ...

- Głupstwo - przerwał mu Asa. - Oczywi cie, e polec . Devlin zale y ode mnie. Nie mog zostawi go na lodzie. Nie przejmuj si wiatrem. Prosz nie zapomina , e kiedy latałem dla Finów w czasie tej ich Kampanii Zimowej, codziennie mieli my nie yce. Ale co panu powiem na temat mgły. Start w takich warunkach to drobiazg - osobn spraw jest l dowanie. Martwi si , e po dotarciu na miejsce nie dam rady wyl dowa .

- Wtedy b dzie pan musiał zawrócić .

- W porz dku, tyle e zdaniem Lebera tutaj pogoda wcale si nie poprawi.

- Wi c co chce pan zrobi ?

- Opó ni odlot, ile tylko si da. Devlin chciał, ebym zabrał ich stamt d o północy. Wylec w ostatniej chwili. Poczekam do dziesi tej. Mo e tymczasem pogoda si poprawi.

- A je eli nie?

- Tak czy inaczej wystartuj .

- W porz dku - powiedział Schellenberg wstaj c. - Wy l zaraz odpowiedni depesz do Shaw Place.

Lavinia Shaw odebrała wiadomo w gabinecie, siedz c ze słuchawkami na uszach obok radia. Nadała krótk odpowied : „Przyj łam i zrozumiałam”, po czym zdj ła słuchawki i odwróciła si . Jej brat siedział przy kominku ze szklank szkockiej pod r k i czy cił strzelb . U jego stóp le ała Nell.

- Nie wystartuj przed dziesi t , mój drogi. Wszystko przez t cholern pogod .

Podeszła do oszklonych drzwi i otworzyła je, odci gaj c zasłony, aby popatrze na mgł .

Shaw stan ł obok niej.

- S dziłbym raczej, e taka parszywa pogoda sprzyja potajemnym l dowaniom.

- Nie mów głupstw, Max - odparła Lavinia. - Dla pilota nie ma nic gorszego. Nie pami tasz, jak w trzydziestym szóstym nie mogłam wyl dowa w Helmsley? Latałam w kółko, a zabrakło mi paliwa i uderzyłam w mur na polu. O mało si nie zabiłam.

- Przepraszam, moja droga. Zupełnie o tym zapomniałem. - W wietle przenikaj cym z pokoju wida było na tarasie pierwsze krople deszczu. - No prosz - dodał Shaw. - To powinno wpłyn na popraw pogod. A teraz zamknij te drzwi i napijmy si jeszcze po jednym.

Niczego nie zapomniała? - zapytał Michael Ryan, gdy motorówka przybiła do niewielkiej plaży.

Devlin miał na sobie luźny niebieski kombinezon i wysokie buty. Obmacał kieszenie, sprawdzając po kolei przyniesione rzeczy.

- Wszystko w najlepszym porządku.

- Szkoda, że nie idziemy razem - powiedział Ryan.

- To moja sprawa, Michael, i gdyby cokolwiek nawaliło, ty i Mary macie natychmiast się wycofać. Ta cholerna mgła właśnie ciwie nam sprzyja. - Odwrócił się i uśmiechnął w ciemnościach do Mary. - Nie omyliła się.

Podniosła się i pocałowała go w policzek.

- Niech pana Bóg błogosławi, panie Devlin. Modliłam się za pana.

- No to wszystko będzie dobrze - powiedział i wyszedł z motorówki.

Woda się gąła na szczycie nie przedtem. Posuwał się naprzód w wietle latarki wzdłuż ściany tunelu, a trafił na otwór w murze. Spojrzał na zegarek. Było parę minut po ósmej. Wszedł przez dziurę i brnąc w wodzie dotarł w końcu do schodów.

Dougal Munro skończył nieco wcześniej, niż przewidywał, wezwał więc służbowy samochód i polecił kierowcy, żeby zawiózł go do klasztoru pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Jazda nie była łatwa. Wlekli się we mgle z prędkością piętnastu mil na godzinę i dopiero po ósmej byli na miejscu.

- Zaraz wracam - powiedział generał wysiadając.

- Zjadł na bok, sir, żeby tu nie stał, bo jeszcze ktoś na mnie wpadnie - oznajmił kierowca. - Skręć za róg, sir. Tam jest podwórze.

- Znajdź pana. - Munro doszedł po schodkach do drzwi i zadzwonił.

Otworzył mu nocny stróż.

- Dobry wieczór, panie generale.

- Zastałem siostrę Marię? - zapytał Munro.

- Nie, wezwano ją do szpitala na Cromwell Road.

- W porządku. Wejść na górę. Chcę się zobaczyć z porucznikiem Bensonem.

- Właśnie nie parę minut temu poszedł do kaplicy z jednym z kaprali i tym niemieckim oficerem.

- Naprawdę? - Munro zawahał się przez chwilę, a potem ruszył w kierunku kaplicy.

Otworzywszy ostro drzwi na szczycie schodów Devlin doznał nie lada szoku. O jakieś sześć stóp dalej stał odwrócony do niego plecami kapral Smith i przyglądał się figurce wi tego. Benson był przy wejściu. Devlin nie namyślał się długo. Wyjął sakwę, uderzył

Smitha w kark i schował się z powrotem za drzwiami, zanim kapral osunął się z łoskotem na podłogę.

- Co się dzieje, Smith?! - zawołał Benson.

Przebiegł wzdłuż nawy i przystanął, wpatrując się w lewą postać. W tym momencie, zorientowawszy się na zbyt późno, że co jest nie w porządku, sięgnął do kabury po swego webleya.

Devlin wyszedł zza drzwi, trzymając w lewej ręce walthera z tłumikiem, a w prawej skórzany woreczek.

- Nie robiłbym tego, stary. Ta broń nie powoduje większego hałasu niż pojedyncze kaszlnięcie. Niech pan się odwróci.

Benson wykonał polecenie i Devlin potraktował go tak samo, jak Smitha. Młody porucznik jęknął, osunął się na kolana i upadł na lewego kaprala. Devlin przeszukał ich szybko, aby znaleźć kajdanki, ale wyglądało na to, że ma je tylko Smith.

- Jest pan tam, pułkowniku?! - zawołał.

Z konfesjonatu wyłonił się Steiner, a tuż za nim ojciec Martin. Starszerek wydawał się zszokowany i zdumiony.

- Major Conlon? Co się tu dzieje?

- Ogromnie mi przykro, ojczule. - Devlin odwrócił go i założył mu kajdanki. Następnie posadził starca w ławce i wyjął prowizoryczny knebel.

- Rozumiem, że nie jest pan księdzem - powiedział Martin.

- Był nim mój wuj, ojczule.

- Wybaczam ci, synu - powiedział Frank Martin, pozwalając zakneblować sobie usta.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Dougal Munro. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Kurt Steiner był już przy nim, zelażną siłą zaciskając mu rękę na gardle.

- A kto to taki? - zapytał Devlin.

- Generał brygady Dougal Munro - wyjąknął Steiner. - Z Zarządu Operacji Specjalnych.

- Doprawdy? - Devlin trzymał teraz walthera w prawej ręce. - To broń z tłumikiem. Jestem zresztą przekonany, że pan o tym wie, generale, więc radzę zachowywać się rozsądnie.

Steiner zwolnił ucisk i Munro stwierdził cierpko:

- Mój Boże, Devlin. Liam Devlin!

- We własnej osobie, generale.

- Co teraz? - zapytał Steiner.

Devlin, wyra nie rozemocjonowany, odparł z pewn nonszalancj :

- Krótka wycieczka po rzece, przeja d ka na wie i zaginie po panu wszelki ład, a tutaj wszyscy b d biega w kółko, próbuj c nas znale .

- Co z pewno ci oznacza, e zamierza pan lecie samolotem - stwierdził Munro. - Bardzo interesuj ce.

- Ale mam niewyparzon g b ! - j kn ł Devlin i dotkn wszy podbródka Munro luf broni dodał: - Je li tu pana zostawi , nawet si nie obejrzymy, jak wejdzie do akcji RAF. Mógłbym pana zabi , ale jestem dzi wyj tkowo wspaniałomy lny.

- Co wi c pozostaje?

- B dziemy musieli zabra pana ze sob . - Skin ł głow do Steinera, mówic „prosz na niego uwa a ”, po czym ostro nie otworzył drzwi.

W tym momencie wyłonił si ze swej klitki nocny stró . Niósł na tacy czajnik, dwie fili anki i dzbanek z mlekiem. Pogwizduj c, wszedł na schody.

- Wspaniale - powiedział Devlin. - Nie b dziecie, panowie, musieli moczy nóg. Wyjdziemy przez frontowe drzwi wprost na ulic . Jest g sta mgła, wi c nikt niczego nie zauwa y. - Otworzył drzwi do holu i wypchn ł Munro, przytykaj c mu do pleców walthera. - Prosz nie zapomina , generale: jedno słowo, a przestrel panu kr gosłup.

Steiner otworzył główne drzwi i wyprowadził ich na chodnik. G sta i brunatna mgła, jaka bywa tylko w Londynie, dra niła gardło. Devlin przeprowadził Munro przez ulic , popychaj c go przed sob . Steiner pod ał za nimi. Nie spotka wszy po drodze ywej duszy, niczym yj cy we własnym wiecie samotnicy, zeszli po schodkach na pla . Kiedy znale li si na dole, Devlin przystan ł i podał Steinerowi bro .

- Mam tu przyjaciół, których ten stary alfons nie powinien widzie , bo gotów jeszcze wsadzi ich do wi zienia w Wandsworth i powiesi za zrad .

- Tylko je li na to zasługuj - odparł Munro.

- Zale y od punktu widzenia.

Devlin szybko skr pował generałowi r ce przyniesionym specjalnie sznurkiem. Munro miał na szyi jedwabny szalik dla ochrony przed chłodem. Irlandczyk zdj ł mu go i zawi zał na oczach.

- W porz dku, ruszajmy.

Ruszył wzdłu nabrze a, trzymaj c Munro za łokie . Po chwili z mroku wyłoniła si motorówka.

- To ty, Liam?! - zawołał cicho Ryan.

- We własnej osobie - odparł Devlin. - A teraz wyno my si st d w choler .

Devlin przebrał się szybko w sypialni w marynarkę, krawat, białą koszulę i czarne pończoty. Zabrał kilka potrzebnych rzeczy, wkładając je do torby razem z lugerem i waltherelem. Sprawdził Smitha i Wessona w kaburze na nodze, po czym wziął torbę do ręki i wyszedł. Kiedy znalazł się w kuchni, Steiner siedział przy stole z Ryanem, pijąc herbatę, a Mary przyglądała mu się z bliskim.

- Jest pan w dobrej formie, pułkowniku? - zapytał Devlin.

- Nigdy nie byłem w lepszej, panie Devlin. Devlin rzucił mu treneczka, który ukradł z Klubu Wojskowego tego dnia, gdy spotkał się z Shawem.

- To powinno wystarczyć, żeby zakryć mundur. Mary na pewno znajdzie dla pana jakiś szalik.

- Oczywiście. - Wybiegła i wróciła z białym, jedwabnym szalikiem, wręczając go Steinerowi.

- Jesteś bardzo uprzejma - podziękował.

- No dobrze, ruszajmy. - Devlin otworzył komórkę pod schodami. Munro siedział w kciaku, ze zwieszonymi rękami i opaską na oczach. - Zabieramy pana, generale.

Wyciągnął Munro na zewnątrz i poprowadził do frontowych drzwi. Ryan wyjechał tymczasem furgonetką z garażu, parkując przy krawężniku. Wsadzili Munro do tyłu i Devlin spojrzał na zegarek.

- Jest dziewczyna. Już czas, Michael, stary druhu. Musimy się zbierać.

Podali sobie dłonie. Kiedy Devlin odwrócił się do Mary, miała w oczach łzy. Włożył torbę do furgonetki i wyciągnął do dziewczyny rękę. Podbiegła do niego, padając mu w objęcia.

- Jesteś cudowną dziewczyną i masz przed sobą wspaniałe życie.

- Nigdy pana nie zapomnę - powiedziała, rozplakawszy się na dobre. - Co noc budziła się za pana modliła.

Devlin nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Usiadł obok Steinera i odjechali.

- Miła dziewczyna - stwierdził Niemiec.

- Tak - przyznał Devlin. - Nie powinienem był ich w to wplątywać, ani tego starego księdza, ale nie miałem innego wyjścia.

- Taka już jest ta nasza gra, panie Devlin - odezwał się z tyłu Munro. - Niech mi pan zdradzi jedną rzecz, żeby zaspokoić moją ciekawość. Jak to było z Vargasem?

- Och, od samego początku wyczuwałem w nim szczurka - odparł Devlin. - Zawsze istniała możliwość, że w pewnym sensie sami nas tu zapraszacie. Wiedziałem, że aby

wprowadzi was w błąd, trzeba oszukiwać Vargasa. Dlatego nadal dostaje informacje z Berlina.

- A pańskie własne kontakty? To nie był jeden z czynnych ostatnio agentów, czy mam rację?

- Mniej więcej.

- Musz pan przyzna, że jest spryciarz z pana. Ale, jak mówi stare angielskie przysłowie: Można utracić rozkosze nektaru między ustami a brzegiem pucharu.

- A cóż to niby znaczy?

- Mam nadzieję, panie Devlin. Mógł - odparł Dougal Munro.

13.

Gra o wielką stawkę na zapleczu sali tanecznej „Astorii” nie potoczyła się bynajmniej po myśli Jacka Carvera, a jeżeli coś mogło wprowadzić go w zły nastrój, to właśnie utrata pieniędzy. O ósmej trzydzieści wycofał się ze złości z rywalizacji, zapalił cygaro i szedł na dół. Oparłszy się o balustradę balkonu obserwował tłum. Eryk, tańczący na parkiecie z jakąś dziewczyną, natychmiast go zauważył.

- Przepraszam, złotko, innym razem - powiedział, wchodząc na schody, aby dołączyć do brata. - Wczoraj nie skończył, Jack.

- Znudziło mi się, nie?

Eryk, wyczuwając sytuację, nie zadawał więcej pytań. Powiedział tylko:

- Tak się właśnie zastanawiałem, Jack. Czy na pewno nie chcesz, żebyśmy wzięli ze sobą paru chłopców? Carvera ogarnęła wściekłość.

- Co chcesz mi wmówić? Że nie poradzę sobie sam z tym pyszałkiem? Że potrzebuję pomocników?

- Nic takiego nie powiedziałem, Jack. Myślałem tylko...

- Za dużo o myślisz, mały - przerwał Erykowi brat. - Chodź, to się przekonasz. Odwiedzimy zaraz tego irlandzkiego pana.

Prowadzony przez Eryka Humber skręcił w Cable Wharfe najwyżej w dziesięć minut po odjeździe furgonetki.

- To ten dom na samym końcu - powiedział Eryk.

- W porządku. Zostawimy wóz tutaj i pójdziemy pieszo. Nie chcemy ich spłoszyć. - Carver wyjął z kieszeni browninga i odbezpieczył go. - Masz broń?

- Jasne, Jack - odparł Eryk, wyciągając webleya kaliber trzydzieści osiem.

- Grzeczny chłopiec. Teraz damy mu popalić.



Mary siedziała przy stole z książką, a Ryan grzebał w palenisku, gdy otworzyły się nagle kuchenne drzwi i weszli bracia Carverowie. Mary krzyknęła i Ryan odwrócił się z pogrzebaczem w dłoni.

- Ani kroku. - Carver wysunął do przodu rękę, w której zaciskał browninga. - Jeden niewłaściwy ruch, a rozwalę ci czaszkę. Eryk, zajmij się tym dziurakiem.

- Z przyjemnością, Jack. - Eryk wsunął rewolwer do kieszeni, zaszedł Mary od tyłu i położył jej ręce na ramionach. - A teraz bądź grzeczna, mała.

Pocałował ją w szyję, na co wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

- Niech pan przestanie! Ryan zrobił krok naprzód.

- Daj jej spokój!

Carver dotknął go lufą browninga.

- Ja tu rozkazuję, więc stul pysk! Gdzie on jest?

- Niby kto? - zdziwił się Ryan.

- Ten drugi Irlandczyk. Ta czył w „Astorii” z tym małym. Ten cwaniak, który odstrzelił mojemu bratu pół ucha.

- Spójnij na siebie - odparła wyzywająco Mary. - Już ich tu nie ma.

- Naprawdę? Pójmy ich - powiedział Carver do Eryka. - Sprawdź na górze. I nie wypuszczaj z ręki spluwy.

Gdy Eryk wyszedł, Carver wskazał na wolne krzesło, kładąc rękę na ramieniu Ryana. Irlandczyk spełnił polecenie, a Carver zapalił papierosa i stwierdził:

- Dziewczyna nie powiedziała, gdzie on nam uciekł. Powiedziała: oni.

- I co z tego? - zapytał Ryan.

- No więc kim jest ten wasz kumpel i z kim kręci? Chcemy to wiedzieć i wy mi powiecie.

- Nic im nie mów, wujku! - krzyknęła Mary.

- Spokojnie, moja droga.

Carver uderzył go browningiem na odlew w twarz i Ryan wywrócił się z krzesłem do tyłu. Mary znowu krzyknęła, a Carver stwierdził:

- Nie powinniście byli wylazić z bagien, ani wy, ani ten wasz kumpel. Tam jest wasze miejsce. W tym momencie wrócił Eryk.

- O, czy by ominęła mnie jaka atrakcja?

- Ucz się tylko dobrych manier. Znalazłeś coś?

- Kompletnie nic. W jednej z sypialni był mundur majora.

- Naprawdę? - Carver odwrócił się z powrotem do Ryana, który ocierał z twarzy krew.

- No dobra, nie bądź tu siedział całą noc.

- Wypchaj si !

- Twardziel, co? Zajmij si dziewczyn , Eryk. Eryk podszedł do niej od tyłu, zmusił j do wstania z krzesła i obj ł w tali.

- Lubisz to, prawda? Jak wszystkie.

J kn ła, próbuj c si wyrwa . Carver wyj ł z paleniska pogrzebacz i wło ył go do ognia.

- W porz dku, twardzielu. Zobaczmy, jak ci si to spodoba. Albo odpowiesz na moje pytania, albo rozgrzej ładnie to elastwo i przytkn do buzi twojej bratanicy. I tak nie grzeszy specjalnie urod , ale tym załatwiłbym j na amen.

Mary próbowała si ruszy , ale Eryk trzymał j , wci si miej c.

- Ty sukinsynu! - wykrztusił Ryan.

- Ju to słyszałem - odparł Carver. - Ale mylisz si . Obra asz tylko moj star .

Wyci gn ł rozgrzany do biało ci pogrzebacz, a kiedy przytkn ł go do blatu stołu, suche drewno wybuchn ło płomieniem. Potem ruszył w kierunku Mary i dziewczyna zacz ła przera liwie krzycze .

Ten krzyk wystarczył, by Ryan zawołał:

- Dobrze, powiem wam!

- W porz dku - odparł Carver. - Jak on si nazywa?

- Devlin. Liam Devlin.

- Jest z IRA, czy tak?

- W pewnym sensie.

- Kto z nim był? - Ryan zawahał si . Carver, odwróciwszy si , dotkn ł pogrzebaczem wełnianego swetra dziewczyny, który zacz ł si tli . - Nie artuj , przyjacielu.

- Wykonywał zadanie dla Niemców. Chodziło o odbicie je ca, który był tutaj, w Londynie.

- A gdzie jest teraz?

- W pewnym miejscu w pobli u Romney. Zabierze go stamt d samolot.

- W takiej mgle? B dzie miał cholerne szcz cie. Co to za miejsce, do którego si wybierali? - Ryan ponownie si zawahał, wi c Carver przytkn ł pogrzebacz do włosów dziewczyny. Poczuli potworny sw d spalenizny i Mary znowu zacz ła krzycze .

Ryan zupełnie si załamał. Był przyzwoitym człowiekiem, ale nie umiał pogodzi si z tym, co groziło dziewczynie.

- Powiedziałem ju , e to jest koło Romney.

- Wujku, nie! - krzykn ła Mary.

- Wie nazywa się Charbury, a posiadło Shaw Place.

- Znakomicie. - Carver odłożył pogrzebacz na palenisko. - Nie było tak źle, prawda? -  
Odwróciwszy się zapytał Eryka: - Masz ochotę na małą przejażdżkę na wieżę?

- Czemu nie, Jack - odparł Eryk, znowu całując Mary w szyję. - Ale zanim pojedziemy, chciałbym przez dziesięć minut pobyć na górze z tą damulką.

Mary wydała okrzyk przerażenia i odrazą, wyciągnęła rękę do tyłu i rozdrapała Carverowi policzek. Eryk puścił ją, wyjąc z bólu, ale zaraz potem odwrócił się i uderzył dziewczynę w twarz. Cofała się widząc, jak powoli do niej podchodzi i sięgnął ręką za siebie zdołała otworzyć kuchenne drzwi. Kiedy próbował ją pochwycić, odpowiedziała kopniakiem i zatoczywszy się do tyłu runęła na balustradę tarasu, która nie wytrzymała naporu. Rozległ się nieprzyjemny trzask i Mary zniknęła w ciemnościach.

Ryan krzyknął i ruszył naprzód, ale Carver chwycił go za kołnierzyk, przystawiając mu do ucha lufę browninga.

- Zobacz, co się z nią stało! - zawołał do Eryka, Ryan przestał się szamotać i czekał w milczeniu. Gdy po chwili zjawił się Eryk, był zupełnie błydy.

- Jest sztywna, Jack. Spadła na molo. Pewnie skręciła sobie kark, czy coś w tym rodzaju.

Ryan kopnął Carvera w gołę, odpychając go od siebie, po czym schwycił leścy w palenisku pogrzebacz, ale kiedy odwrócił się, unosząc go nad głowę, Carver strzelił mu prosto w serce.

Zaległo milczenie. Eryk otarł z twarzy krew.

- Co teraz, Jack?

- Zjedźmy stąd, ot co.

Ruszył przodem, a Eryk podążył za nim, zamykając za sobą kuchenne drzwi. Przeszli wzduł nabrzeża i wsiedli do wozu. Carver zapalił papierosa i zapytał:

- Gdzie jest atlas samochodowy?

Eryk odszukał go w schowku. Carver przerzucił parę kartek i oznajmił:

- Mam Romney Marsh, a tutaj Charbury. Pamiętasz? Przed wojną zabierałem ciebie i mam w tamte okolice. Robiliśmy wypadki nad morze do Rye.

Eryk skinął głową.

- Mamie się tam podobało.

- No to jedźmy.

- Do Charbury? - zapytał Eryk.

- Dlaczego nie? Nie mamy nic lepszego do roboty, a poza tym jest w tej sprawie co, o czym chyba nie pomyśle, mój stary. Jeźli dorwiemy Devlina i tego Niemca i zajmiemy się nimi, jak należy, zostaniemy, cholera, bohaterami! - Zgniółł papierosa i zastąpił go cygarem. - Jazda, Eryku - powiedział wygodnie się usadowił.

W Chernay widzialno nie przekraczała stu jardów. Schellenberg i Asa stali w centrum i czno ci czekaj c, a Leber sprawdzi stan pogody. Amerykanin miał na sobie skórzany hełm, obszyty futrem lotniczym kurtkę i wysokie buty. Nerwowo palił papierosa.

- No i co? - zapytał z niepokojem.

- Słuchali prognoz RAF-u dla południowej Anglii. Sprawa wygląda tak, panie kapitanie: jest gęsta mgła, ale od czasu do czasu pod wpływem wiatru powstają w niej luki.

- W porządku - odparł Asa. - Starczy tego gadania. Wyszedł, a Schellenberg ruszył za nim. Kiedy znaleźli się przy samolocie, Schellenberg rzekł:

- Cóż panu powiesz, Asa? Asa może miał się, naciągając rękawice.

- Panie generale, odkąd rozbiłem samolot podczas tej zamieci w Finlandii, żyję na kredyt. Proszę na siebie uważać.

Wgramolił się do kokpitu i spuścił osłon kabiny. Schellenberg cofnął się, by nie przeszkadzać. Lysander zaczął kołować. Zakręcił na końcu lądowiska, zawracając pod wiatr. Asa zwiększył moc i na pełnych obrotach wpadł na odepniętą mgłę, w deszcz i mrok. Odcignął drążek i samolot zaczął nabierać wysokość, kierując się nad morze.

Schellenberg patrzył z niepokojem, jak odlatuje.

- Dobry Bóg - mruknął. - Skąd biorą się tacy ludzie? Potem odwrócił się i poszedł z powrotem do centrum i czno ci.

Skończywszy nasłuch radiowy w gabinecie w Shaw Place Lavinia zdjęła słuchawki i wyszła pośpiesznie z pokoju. W kuchni zastała brata, który szykował sobie właśnie jajka na boczku.

- Trochę zgłodniałem, staruszek - oświadczył, mając jak zwykle pod ręką szklankę whisky. Tym razem Lavinia straciła cierpliwość.

- Na Boga, Max, samolot jest już w drodze, a ciebie obchodzi tylko ten twój przeklęty ołdek! Idź na lądowisko.

Wzięła swój miły liwski kurtkę i jeden ze starych tweedowych kapeluszy brata, odszukała torbę z lampami rowerowymi i wyszła. Nell pośpieszyła za nią. W stodole był prąd, dotarłszy więc tam zapaliła światło. Ze względu na pogodę mogła się, oczywiście, nie przejmować przepisami o zaciemnieniu. Poza tym w promieniu dwóch mil nie było innych zabudowań. Położyła lampy przy drzwiach i stanęła na progu, by sprawdzić kierunek wiatru.

Mgła była ci głę tak samo gęsta i nic nie wskazywała, by miała się podnosić. Nagle jakby rozsunęła się kurtyna i Lavinia ujrzała błysk wiatła z odległego o trzysta jardów domu.

- Jakże to wspaniałe, Nell - powiedziała i pochyliła się, aby pogłaskać psa za uszami. Kiedy jednak ustał wiatr, mgła znowu opadła.

Najtrudniej było wydostać się z Londynu, co Devlin miał okazję stwierdzić, wlokąc się w sznurze samochodów z prędkością piętnastu - dwudziestu mil na godzinę.

- Szlag by trafił! - powiedział do Steinera.

- Pewnie spotkamy się na spotkanie - stwierdził pułkownik.

- Mieliśmy odlatywać o północy. Jeszcze nic straconego.

- Trochę wam to popsuło szyki, panie Devlin - odezwał się z tylnego siedzenia Munro.

Devlin jechał dalej, nie zwracając na niego uwagi. Kiedy minął Greenwich, ruch wyraźnie się zmniejszył i można było przyspieszyć. Devlin zapalił jednego papierosa i powiedział:

- Teraz zmierzamy już do celu.

- Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz - wtrącił Munro.

- Widzisz, nie sypie pan przysłowiami, generale - odparł Devlin. - A może by tak coś z Biblii? miech głupców jest jak chrząstki cierni pod dzbanem. - Powiedziawszy to, nacisnął mocniej na pedał gazu.

Jadąc Humberem bracia Carverowie mieli dokładnie takie same problemy z wydostaniem się z Londynu, a przy tym Eryk le skręcił w centrum Greenwich i przejechał trzy mile w niewłaściwym kierunku. Dopiero Jack skorygował jego błąd, wyjmując atlas i sprawdzając trasę. - To cholernie proste. Z Greenwich do Maidstone, z Maidstone do Ashford, stamtąd jedzie się do Rye i w połowie drogi skręcamy do Charbury.

- Wiesz przecie, Jack, że teraz prawie nigdzie nie ma drogowskazów - powiedział Eryk.

- Cóż, jest wojna, no nie? Wić spróbuj się nie zgubić.

Jack Carver oparł się wygodnie, zamknął oczy i uciął sobie drzemkę.

Zarówno w Luftwaffe, jak i w RAF-ie lansowano pogląd, że zbliżając się do wybrzeży wroga z ważnymi misjami należało lecieć przez cały czas na małej wysokości, poniżej zasięgu radarów. Asa przypomniał sobie, jak próbował to robić ze swoją dawną eskadrą podczas wojny rosyjsko-fińskiej. Lecieli od strony morza na niskim pułapie, żeby zaskoczyć „czerwonych” i wszystko szło jak w podręczniku, tylko nikt nie przewidział obecności rosyjskich okrętów. Kosztowało ich to stratą pięciu samolotów.

Wziął więc kurs na Dungeness, dzięki czemu leciał dokładnie wzdłuż kanału. Silne boczne wiatry opóźniały lot, przebiegał on jednak spokojnie i Asa musiał tylko od czasu do czasu sprawdzać, czy nie zbacza z kursu. Trzymał się niemal przez całą drogę na wysokości około tysiący stóp, wysoko ponad tumanem mgły, wypatrując czujnie innych samolotów.

Spitfire, który wyłonił się z chmur na dole, zaskoczył nawet jego, starego wygona. Maszyna wykonała skręt i zaczęła lecieć równoległe po prawej stronie. W świetle księżyca widoczna w górze była dobra i Asa zobaczył wyraźnie pilota spitfire'a, który siedział w kokpicie w hełmie i goglach. Amerykanin podniósł rękę i pomachał mu. Z trzeszczącego radia rozległ się niefrasobliwy głos:

- Cześć, lysander. Co tu robisz?

- Niestety, tajemnica - odparł Asa. - Eskadra do Specjalnych Zadań z Tempsford.

- Jesteś jankesem, tak?

- Z RAF-u - odparł Asa.

- Widziałem o was film, stary. Koszmar. Trzymaj się! - Spitfire wykonał błyskawiczny skręt na wschód i zniknął w oddali.

- Oto dowód, jak popłaca uczciwość, mój stary - powiedział cicho Asa.

Zanurkował w mgłę, dopóki wysoko ciemierz nie wskazał pułapu tysiąca stóp, po czym zrobił zwrot w kierunku Dungeness i Romney Marsh.

Posiliwszy się Shaw wypił sporą porcję whisky i kiedy weszła Lavinia, siedział w salonie, rozwalony w fotelu obok kominka, a jego strzelba leżała na podłodze.

- Och, Max! - powiedziała do niego siostra. - Co ja mam z tobą zrobić?

Czując na ramieniu jej rękę, poruszył się i podniósł wzrok.

- Cześć, staruszek. Wszystko w porządku? Podeszła do oszklonych drzwi i rozsunęła zasłony. Mgła była ciężej niż sta. Zacięgnięszy zasłony podeszła znowu do brata.

- Idź do stodoły, Max. On musi być już blisko. Mam nadzieję, że samolot.

- Dobrze, moja droga.

Założył ręce na piersiach i odwróciwszy głowę znowu zamknął oczy. Lavinia dała za wygraną. Poszła do gabinetu, pośpiesznie zdjęła z radia anteny i zapakowała wszystko do skrzynki. Gdy otworzyła frontowe drzwi, Nell przemknęła obok niej i poszły razem w kierunku South Meadow.

Stała koło stodoły, nasłuchując. Nie doleciał do niej aden dźwięk. Wszystko ogarniała mgła. Weszła do rodka i zapaliła światło. Przy drzwiach był warsztat stolarski. Ustawiła tam radio, przeciągnęła druty anteny wzdłuż ściany i mocując je do starych,

zardzewiałych gwoździ. Potem założyła słuchawki i zgodnie z instrukcją Devlina przełączyła czujność na kontakt głosowy. Natychmiast odezwał się Asa Yaughan.

- Sokół, słyszysz mnie? Powtarzam: Sokół, czy mnie słyszysz?

Była za kwadrans dwunasta i Lysander znajdował się w odległości zaledwie pięciu mil. Lavinia stała przy drzwiach stodoły, patrzyła w niebo i jedyną przetrzymaną słuchawką przyłożyła do lewego ucha. Ale aden dźwięk nie wiadczył o obecności samolotu.

- Słyszysz, Lysander. Słyszysz.

- Jakie warunki panują w gnieźnie? - zatrzeszczał w słuchawkach głos Asy.

- Głęboka mgła. Widzialność do pięćdziesięciu jardów. Chwilami porywisty wiatr. W przybliżeniu cztery do pięciu stopni. Sporadyczne przejaśnienia.

- Oznakowała pani lądowisko? - zapytał. Zupełnie wyleciało jej to z głowy.

- O Boże, nie! Proszę mi dać kilka minut.

Odłożyła słuchawki, wzięła torbę z lampami do rowerów i wybiegłszy na zewnątrz ustawiła trzy z nich tak, by tworzyły odwrócone L, którego podstawa wskazywała kierunek wiatru. Gdy je zapaliła, wycieły prosto w niebo. Potem pobiegła wzdłuż ścieżki i dwieście jardów dalej ułożyła kolejne trzy lampy. Nell cały czas goniła za nimi.

Z trudem łapiąc oddech Lavinia wróciła do stodoły i sięgnęła po słuchawkę oraz mikrofon.

- Tu Sokół. Oznakowanie gotowe.

Stanęła w drzwiach, spojrzała w niebo. Teraz słyszała już Lysandera całkiem wyraźnie. Wyglądało na to, że przeleciał na wysokość kilkuset stóp i zaczął się oddalać.

- Tu Sokół! - krzyknęła. - Słyszałam samolot. Był tu nade mną!

- Nic nie widzisz - odparł Asa. - Wygląda to fatalnie. W tym momencie z mroku wyłonił się sir Maxwell Shaw. Nie miał płaszcza ani kapelusza i był kompletnie pijany.

- A, ty jesteś, moja droga - wybełkotał, zacinając się. - Wszystko w porządku?

- Bynajmniej - odparła Lavinia.

- Bądź krzywy - oznajmił Asa. - Może coś się zmieni.

- Dobrze. Zostaj na miejscu.

Pod Ashford była jakaś kraksa. Duża ciężarówka zderzyła się z samochodem osobowym i po całej szosie walały się ziemniaki. Devlin, nerwowo zaciskając ręce na kierownicy, czekał przez kwadrans w sznurze pojazdów, a potem zjechał furgonetką na bok i zawrócił.

- Już północ - odezwał się do Steinera. - Nie stać nas na marnowanie czasu. Znajdziemy inną drogę.

- Mój Bo e! - westchn ła Munro. - Mamy kłopoty, prawda, panie Devlin?

- Nie, palancie, ale ty b dziesz je miał, je eli si nie zamkniesz - odparł Devlin i skr cił w pierwsz drog w lewo.

Mniej wi cej w tym samym czasie Asa Yaughan ju po raz czwarty zni ył lot, próbuj c wyl dowa . Lysander nie miał wci ganego podwozia, a w pobli u kół przymocowane były wiatła, pomagaj ce trafi na pas. Wł czył je, ale pokazywały mu tylko mgł .

- Sokół, nie daj rady. Nic nie mog zrobi .

O dziwo, wyj cie z sytuacji znalazł Maxwell Shaw.

- On potrzebuje wi cej wiatła - oznajmił. - O wiele wi cej. Zobaczyłby chyba ten cholerny dom, gdyby zaczął si pali , no nie?

- Wielki Bo e!! - krzykn ła Lavinia, si gaj c po mikrofon. - Tu Sokół. Niech pan uwa nie słucha. Jestem pilotem, wi c znam si na tym.

- No to posłuchajmy - odparł Asa.

- Mój dom jest trzysta jardów na południe od ła ki. Wiatr wieje w jego kierunku. Pójd tam zaraz i zapal wszystkie wiatła.

- Nie b dzie za bardzo rzucał si w oczy?

- Nie w takiej mgle. Poza tym to jedyny dom w promieniu dwóch mil. Ju id . Powodzenia. - Odło yła słuchawki i mikrofon. - Ty zosta , Max. Zaraz b d z powrotem.

- W porz dku, staruszko.

Biegła cał drog do domu, a stan ła zdyszana u frontowych drzwi i otworzyła je. Zacz ła od pierwszego pi tra. Wchodziła do wszystkich pokoi, nawet do łazienek, zapalaj c wiatła i odci gaj c zasłony. Potem zrobiła to samo na parterze i pospiesznie wybiegła na zewn trz, a gdy przystan ła jakie pi dziesi t jardów dalej, aby si obejrze , cały dom jarzył si wiatłami.

Kiedy wróciła, Maxwell Shaw poci gał sobie z piersiówki.

- Ta cholerna chałupa wygl da jak wi teczna choinka - stwierdził.

Lavinia, nie zwracaj c na niego uwagi, si gn ła po mikrofon.

- W porz dku, gotowe. Teraz lepiej?

- Zobaczymy - odparł Asa.

Sprowadził lysandera na wysoko pi ciuset stóp i nagle poczuł, e ogarnia go dziwnie fatalistyczny nastrój.

- A niech to diabli, Asa - powiedział do siebie. - Je eli prze yjesz t cholern wojn , zamkn ci na pi dziesi t lat w Leavenworth, wi c co masz do stracenia?



Zni a lot na o lep. Nagle mgł rozja niła jaka luna i w sekund pó niej zobaczył Shaw Place. We wszystkich oknach paliły si wiatła. Asa zawsze był dobrym pilotem, ale w owej chwili wykazał si prawdziwym mistrzostwem, poci gaj c za dr ek i przelatuj c zaledwie par stóp nad domem. Po drugiej stronie czekała ju o wietlona l ka i otwarte drzwi stodoły.

Lysander idealnie wyl dował, zawrócił i zacz ł kołowa w ich kierunku. Lavinia otworzyła drzwi na o cie i wskazuj c Asie drog pomogła mu wprowadzi samolot do rodka. Jej brat tylko si przygl dał. W ko cu Asa wyl czył silnik, zdj ł hełm i wyszedł z kabiny.

- Przyznam, e było to troch denerwuj ce - powiedziała Lavinia, wyci gaj c r k na powitanie. - Jestem Lavinia Shaw, a to mój brat Maxwell.

- Asa Vaughan. Powinienem postawi pani drinka.

- Nie ma o czym mówi . Sama te kiedy latałam. Miałam tu samolot, tiger moth.

- Wielkie nieba! - odezwał si Maxwell Shaw. - Ten facet mówi jak jaki pieprzony jankes!

- Mo na powiedzie , e tam si wychowałem - odparł Asa, po czym zwrócił si do Lavinii: - Gdzie pozostali?

- Niestety, major Conlon jeszcze si nie zjawił. Cała trasa z Londynu na wybrze e jest we mgle. Pewnie gdzie utkn li. Asa pokiwał głow .

- No dobrze. Wy lijmy teraz wiadomo do Chernay, e udało mi si wyl dowa bez szwanku.

Tymczasem w centrum l czno ci w Chernay Schellenberga ogarniała rozpacz, gdy z nadchodz ych z Cherbourga komunikatów meteorologicznych RAF-u wynikało, e sytuacja wygl da beznadziejnie. I nagle Leber, siedz cy przy radiu ze słuchawkami na uszach, wyra nie si o ywił.

- To Sokół, panie generale! - Nasłuchiwał, w szale czym tempie notuj c co równocze nie na papierze, po czym wyrwał kartk z bloku i podał j Schellenbergowi. - Udało mu si , panie generale. Sprowadził t cholern licznok na ziemi !

- No tak - odparł Schellenberg. - To prawda, ale nie było tam ludzi, których miał zabra .

- Twierdzi, e zatrzymała ich mgła, panie generale.

- Có , miejmy nadzieję . Prosz mu przekaza , e b dziemy w pogotowiu.

Leber wystukał szybko t wiadomo i ci gn ł słuchawki na szyj .

- Mo e odpocznie pan z godzink , generale? Dam sobie rad .

- Pójd raczej wzi prysznic i troch si od wie y - odparł Schellenberg. - A potem napijemy si razem kawy, sier ancie. Kiedy był ju przy drzwiach, Leber dodał:

- W ko cu nie ma po piechu. Lysander i tak nie b dzie w stanie tutaj l dowa , dopóki nie poprawi si pogoda.

- No có , na razie nie my lmy o tym - stwierdził Schellenberg i wyszedł.

Asa, przechodz c z pokoju do pokoju, pomógł Lavinii wył czy wiatła w całym Shaw Place. Shaw le ał rozci gni ty w fotelu przy kominku. Miał zamglony wzrok i był zupełnie nieprzytomny.

- Cz sto mu si to zdarza? - zapytał Asa.

- Mój brat jest nieszcz liwym człowiekiem - odparła Lavinia. Nie zamkn ła oszklonych drzwi, zaci gn ła tylko zasłony. - Przepraszam, nie spytałam pana o stopie ?

- Kapitan - wyja nił Asa.

- No có , kapitanie, powiedzmy, e picie mu pomaga. Prosz do kuchni. Zrobi herbat albo kaw , je li ma pan ochot .

- Kawy ch tnie bym si napił.

Kiedy j parzyła, przysiadł na kraw dzi stołu, pal c papierosa. W mundurze SS było mu bardzo do twarzy i jego obecno yra nie na Lavinii oddziaływała. Gdy zdj ł lotnicz kurtk , zobaczyła naszywki na r kawie.

- Wielkie nieba, Legion Jerzego Waszyngtona! Nie wiedziałam, e co takiego istnieje. Wi c mój brat miał racj : jest pan Amerykaninem.

- Mam nadziej , e nie we miecie mi tego za złe - stwierdził.

- Nie we miemy, jankeski przystojniaku.

Asa odwrócił si i w tym momencie wszedł Liam Devlin, serdecznie si z nim witaj c.

- Jak, u diabła, udało ci si wyl dowa w tej mgle, synu? Stracili my kup czasu, eby dojecha tu szos z Londynu.

- Chyba jestem geniuszem - odparł skromnie Asa. Za Devlinem pojawił si Munro. Nadal miał zwi zane r ce i szalik na oczach. Steiner był tu przy nim.

- Oto pułkownik Kurt Steiner, cel naszej eskapady, plus troch dodatkowego бага u, który zabrali my po drodze - wyja nił Devlin.

- Miło mi, panie pułkowniku - stwierdził Asa, podaj c Steinerowi r k .

- Mo e pójdziemy wszyscy do salonu i napijemy si kawy? - zaproponowała Lavinia.

- Wła nie j zaparzystałam.

- Có za uroczy pomysł - stwierdził Munro.

- Nie zawsze dostaje się to, na co człowiek ma ochotę, generale - powiedział Devlin. - Ale skoro kawa jest gotowa, nie ma sprawy. Pięć minut i ruszamy w drogę.

- Nie liczylibym na to - ostrzegł Asa, kiedy szli do salonu. - Bóg musi sprawdzić, jaka jest sytuacja w Chernay. Kiedy odlatywałem, była tam równie fatalna pogoda.

- Tylko tego nam brakuje - skomentował Devlin. Gdy znaleźli się w salonie, pchnął Munro na wolny fotel przy kominku i spojrzał z odrazą na Maxwella Shawa. - Chryste, gdyby potrzeba zapłonęła, stanęłoby w ogniu.

- Zdrowo zatankował - stwierdził Asa.

W tym momencie Shaw otworzył oczy.

- Co się dzieje, hm? - Skoncentrował wzrok na Devlinie. - To pan, panie Conlon?

- We własnej osobie - odpowiedział Liam. Shaw podniósł się w fotelu i spojrzał na Munro.

- A to kto, do diabła? I po co ma na oczach te głupie szmatki? - Sięgnął ręką, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, i chwycił Munro za opaskę. Generał pokręcił głową, mrużąc oczy od światła, a Shaw zapytał: - Znam pana, prawda?

- Z pewnościami, sir Maxwell - odparł Dougal Munro. - Od wielu lat należymy obaj do Klubu Wojskowego.

- Oczywiście - odpowiedział Shaw, głupkowato kiwając głową. - Przypuszczałem, że się znamy.

- To ułatwia sprawę, generale - oznajmił Devlin. - Miałem zamiar zostawić pana przed odlotem gdzieś na bagnach, z daleka od domu, ale teraz wie pan już, kim są ci ludzie.

- Co oznacza, że pozostajecie wam dwie możliwości: zastrzelą mnie albo zabiorą ze sobą.

- Mam miejsce, kapitanie? - odezwał się Steiner.

- O tak, damy sobie radę - odparł Asa. Steiner zwrócił się do Irlandczyka.

- Pan decyduje, Devlin.

- Spokojna głowa, przyjacielu - stwierdził Munro. - Jestem pewien, że wasi nazistowscy szefowie zapłacą za mnie dobrą cenę.

- Nie miałem jeszcze okazji zapoznać panów z tym, co czeka was po drugiej stronie - powiedział Asa. - Lepiej, żebyście dowiedzieli się wszystkiego teraz, bo jeżeli nam się wróci cało, będziecie w tym tkwić po samą szyję.

- Wić niech pan mówi - poprosił Steiner i Asa przedstawił im sytuację.

Mgła nie ustępowała. Wszyscy obecni w stodole skupili się wokół radia, gdy Lavinia zaczęła notować co pośpiesznie na leżącym przed nią bloku papieru. Podała depešę Asie, który przeczytał ją i przekazał Devlinowi.

- Proponuj , eby my opó nili odlot jeszcze o godzin . Jest cie szansy, e do tego czasu warunki w Chernay si poprawi . Devlin spojrzal na Steinera.

- Nie mamy chyba wi kszego wyboru.

- No có , nie powiem, e mi was al - stwierdził Munro, po czym zwrócił si do Lavinii, obdarzaj c j zabójczo uwodzicielskim u miechem: - Jak pani my li, moja droga, czy kiedy wrócimy do domu, b d mógł liczy na herbat ?

Shaw spał, rozwalony na fotelu przy kominku. Munro siedział naprzeciwko niego, maj c nadal zwi zane r ce. Asa był w kuchni i pomagał Lavinii.

- Pomy lałem sobie, panie pułkowniku, e mo e si panu przyda bro - powiedział Devlin do Steinera. Podniósł podró n torb , poło ył j na stole i otworzył. W rodku, na stercie koszul, le ał walther z tłumikiem.

- To jest my l - przyznał Steiner.

W tym momencie oszklone drzwi zaskrzypiały od podmuchu wiatru, a po chwili rozsun ły si zasłony i do pokoju weszli bracia Carverowie z broni w r kach.

- Niech pan spojrzy, co przywiał wiatr - zauwa ył Devlin.

- Co to za ludzie? - zapytał spokojnie Steiner.

- Ten szpetny dryblas to Jack Carver. Rz dzi prawie całym londy skim East Endem. Czerpie uczciwe zyski z ochrony, hazardu i prostytutcji.

- Bardzo zabawne - stwierdził Carver.

- Ten drugi, który wygl da, jakby wła nie wypełzn ł z nory, to jego brat, Eryk.

- Ja ci poka ! - Eryk ruszył ku niemu z wyrazem w ciekło ci na twarzy. - Urz dzimy ci tak samo, jak tego twojego kumpla i jego bratanic .

Devlin poczuł w rodku chłód i w jednej chwili miertelnie pobladł.

- O czym ty mówisz?

- Tym razem nie ma artów - odparł Carver. - Sprawd , czy ma w nogawce t cholern spluw .

Eryk przykl kn ł na kolano, pozbawiaj c Devlina smitha & wessona.

- Drugi raz ci si nie uda, cwaniaczku.

- Co z moimi przyjaciółmi? - zapytał cicho Devlin. - Co si z nimi stało?

Carver dobrze si bawił. Wyj ł z kieszeni cygaro i odgryzłszy ko cówk wetkn ł je sobie do ust.

- Próbowałem ci odnale , synu. Nie udawało mi si , ale w ko cu dopisało nam szcz cie. Wczoraj wieczorem Eryk zauwa ył t dzierlatk na Wapping High Street i poszedł za ni do domu.

- I co?

- Wpadli my do nich z wizytą niedługo po twoim wyjściu. Trochę tylko ich przycisnęli my, no i jesteście my tutaj.

- I mój przyjaciel się wygadał, tak po prostu? - zapytał z niedowierzaniem Devlin. - Trudno mi w to uwierzyć. Prawda, pułkowniku? - dodał, zwracając się do Steinera.

- Rzeczywiście cię - przyznał Steiner.

- Och, nie byłbym dla niego zbyt surowy. - Carver pstryknął zapalniczką, przytykając płomień do cygara. - Martwił się o swojego bratanka. Musiał zachować się jak należy.

- Niewiele im to zresztą pomogło. - Na twarzy Eryka pojawił się sadystyczny uśmiech.

- Chcesz wiedzieć, co się z nią stało? Próbowła uciec i spadła przez balustradę na molo pod domem. Skrzyknęła sobie kark.

- A Michael? - zapytał Carver Devlin, czując skurcz w gardle.

- Zastrzeliłem go, nie? Chyba tak postępuje się z psami? Devlin zbliżył się do Carvera o krok, a jego twarz nabrała przerażającego wyrazu.

- Jesteście martwi. Obaj. Carver przestał się uśmiechać.

- Nie my, gnido, tylko ty. Co wiacie, mam zamiar kroknąć ci w brzuch, żebyś się pomógł.

W tym właśnie momencie Shaw oprzytomniał. Otworzył oczy, przeciągnął się i rozejrzał wokoło.

- Ej, co się tu dzieje?

Równocześnie otworzyły się podwójne drzwi i weszła Lavinia, niosąc tacę. Był z nią Asa.

- Herbata dla wszystkich - oznajmiła i zmartwiała.

- Ani kroku dalej! - ostrzegł ich Carver. Lavinia wydawała się miernie przerażona, ale nie powiedziała słowa.

- Spokojnie, droga pani - odezwał się Dougal Munro, próbując jej pomóc. - Proszę tylko zachować spokój.

Shaw podniósł się na nogi i zatoczył, łypiąc przekrwionymi oczami.

- Ty cholerny wieprzu! - wybełkotał. - Za kogo się uważasz, żebyś przychodził do mojego domu i wymachiwał pukawką?

- Jeszcze krok, stary durniu, a rozwalę ci łeb - ostrzegł Carver.

- Nie sprzeciwiaj mi się, Max! - krzyknęła Lavinia, upuszczając z hłasem tacę i robiąc krok do przodu.

Carver odwrócił się i strzelił do niej. Uczynił to właściwie odruchowo. Maxwell Shaw rzucił się na niego z gniewnym okrzykiem. Carver ponownie wypalił, trafiając go dwukrotnie z bliskiej odległości.

Asa przyklękł obok Lavinii, a kiedy podniósł wzrok, powiedział tylko:

- Ona nie żyje.
- Ostrzegałem was, prawda? - Twarz Carvera była dziwnie wykrzywiona.
- Rzeczywiście, panie Carver - odparł Kurt Steiner.

Wsunął rękę do lewej torby Devlina, wymacał kolbę Walthera, wyjął go jednym zdecydowanym ruchem i wystrzelił. Kula trafiła Carvera w sam środek czoła. Zachwiał się i osunął na fotel.

- Jack! - wrzasnął Eryk, robiąc krok do przodu i w tej samej chwili Devlin chwycił go za przegub, wykręcając mu rękę, a wypuścił rewolwer.

- Zabiłaś dziewczynę. Czy to chciała mi powiedzieć? - zapytał Devlin. Eryk cofnął się, a Liam sięgnął po strzelbę Maxwella Shawa, która leżała na podłodze obok fotela.

- To był wypadek - powiedział Eryk, miertelnie przerażony. - Próbowaliśmy uciec i wypadła przez barierkę.

Zasłony przy oszklonych drzwiach zafalowały od wiatru. Eryk, cofając się, wyszedł na taras.

- Rzecz w tym, dlaczego uciekała - powiedział Devlin, odciągając kurki.

- Nie! - krzyknął Eryk. W tym momencie Devlin strzelił do niego z obu luf i Carver wyleciał za balustradę.

Dochodziła druga. Schellenberg drzemał w narożnym fotelu w centrum łazienki w Chernay, kiedy Leber zawołał: - Zgłasza się Sokół, panie generale!

Schellenberg w mgnieniu oka był przy nim.

- Co się dzieje?

- Cię pyta o pogodę. Powiedziałem mu, że mamy tu fatalną sytuację.

- I co?

- Chwileczkę, panie generale. Znowu się zgłasza. - Nasłuchiwał w napięciu, a potem podniósł wzrok. - Twierdzi, że nie może już dłużej czekać. Zaraz wystartuje.

Schellenberg skinął głową.

- Poczuj mu szczęścia.

Ruszył do drzwi, otworzył je i wyszedł na zewnątrz. Od morza bełzono nie nadciągała mgła. Podniósł kołnierz płaszcza i zaczął iść bez celu wzdłuż doku.

Mniej więcej o tej samej porze Horst Berger siedział przy oknie w pokoju, który przydzielono mu w Belle-Ile. Perspektywa doniosłych wydarzeń najbliższego poranka nie pozwalała mu zasnąć, siedział więc po ciemku przy otwartym oknie i wsłuchiwał się w padający we mgle deszcz. Wtem ktoś zapukał do drzwi i otworzył je, wpuszczając do pokoju smugi światła. W progu stał jeden z dyżurnych wartowników z SS.

- Sturmbannführer - powiedział półgłosem.

- Słucham. O co chodzi?

- Reichsführer chce pana widzieć. Czeka w swoim apartamencie.

- Błędnie za pięć minut - odparł Berger i strażnik wyszedł. Kiedy Berger zjawił się w salonie apartamentu Himmlera, Reichsführer stał w pełnym umundurowaniu przy kominku.

- A, jest pan - przywitał go, odwracając się.

- Słucham, Reichsführer.

- Führer najwyraźniej nie może zasnąć. Posłał po mnie. I prosił, abym pana za sobą przyprowadził.

- Czy sędzi pan, że to coś poważnego, Reichsführer?

- Bynajmniej - odparł Himmler. - Führer już od pewnego czasu ma kłopoty ze zdrowiem. Bezsenność to tylko jeden z wielu symptomów. Zaczęła polegać do przesady na usługach swego osobistego lekarza, profesora Morella. Niestety - oczywiście, z punktu widzenia Wodza - Morelli jest teraz w Berlinie, a Führer tutaj.

- A więc Morelli odgrywa taką ważną rolę? - zapytał Berger.

- Niektórzy uznaliby go za szarlatana - stwierdził Himmler. - Z drugiej strony Führera trudno nazwać wdzianym pacjentem.

- Rozumiem, Reichsführer. Ale po co zostałem wezwany?

- Ktoś to wie? Pewnie chodzi o jakiś kaprys. - Himmler zerknął na zegarek. - Mamy być w jego apartamencie za pięć minut. Dla Führera, Berger, najważniejszy jest czas. Ani minuty później, ani minuty wcześniej. Na stole jest właśnie zaparzona kawa. Zanim pójdziemy, zdaj pan sobie napij.

W stodole w Shaw Place wszyscy czekali, a Devlin wystukał swój depesz. W końcu zdjął słuchawki, wyłączył radio i odwrócił się do Steinera i Asy. Między nimi stał Dougal Munro, mając nadal związane ręce.

- Gotowe - oznajmił Devlin. - Zawiadomiłem Schellenberga, że startujemy.

- Wiem wyprowadzić samolot - powiedział Asa.

Munro czekał pod cian , gdy trzej pozostali, wypchnęli wysiłek na zewnątrz, przetoczyli go we mgłę daleko od stodoły. Potem Asa podniósł osłon kabiny i sięgnął po swój hełm.

- A co z naszym przyjacielem? - zapytał Steiner.

- Zostaje - odparł Devlin. Steiner spojrzał na niego.

- Jest pan pewien?

- Przywoity z pana człowiek, pułkownik - powiedział Devlin. - Losy wojny sprawiły, że znalazłem się akurat po pańskiej stronie, ale tu chodzi o sprawę osobistą. Nie mam najmniejszego zamiaru oddawać w ręce niemieckiego wywiadu szefa Sekcji „D” Zarządu Operacji Specjalnych. Wsiadajcie, panowie, i bądźcie gotowi. Zaraz do was wrócę.

W stodole Liam zobaczył, jak Munro, przysiadłszy na stole obok radia, próbuje rozzerwać korpusty murowane sznur. Widząc Devlina zaniechał wysiłków. Irlandczyk wyjął z kieszeni niewielki scyzoryk i otworzył go.

- Proszę pozwolić, generale.

Przeciął sznur, uwalniając murowane. Munro potarł przeguby i zapytał:

- Co to znaczy?

- Chyba nie myślał pan poważnie, że przekaże pana tym faszystowskim kanałom, prawda? Shaw sprawił nam drobny kłopot, zbyt dużo o panu mówił, ale teraz nikogo już tu nie będzie. Michael Ryan, mój stary przyjaciel z Cable Wharfe, jego bratanica Mary, rodzice stwo Shaw - wszyscy nie żyją. Nikomu nie może pan zaszkodzić.

- Na Boga, Devlin. Nigdy nie potrafię pana zrozumieć.

- A cóż w tym dziwnego, generale, skoro zazwyczaj nie rozumiem sam siebie? - Usłyszeli, jak zaczął pracować silnik wysiłka. Devlin wetknął do ust papierosa. - Ruszamy w drogę. Może pan powiadomić RAF, ale musieliby mieć piekielne szczęście, żeby znaleź nas w tej mgłę.

- To fakt - przyznał Munro. Devlin pstryknął zapalniczkę.

- Z drugiej strony mógł pan równie dobrze uznać, że Walter Schellenberg wpadł na dobry pomysł.

- To dziwne - stwierdził Munro - ale podczas tej wojny bywały chwile, kiedy skakałbym z radości, słysząc o planach zabicia Hitlera.

- Ktoś sławny powiedział kiedyś, że gdy zmieniają się czasy, mądrzy ludzie zmieniają się wraz z nimi. - Devlin podszedł do drzwi. - Hej, generale. Nie przypuszczam, żebyśmy się jeszcze spotkali.

- Chciałbym być tego pewien - odparł Munro.



Irlandczyk ruszył pospiesznie w kierunku Lysandera. Steiner zdejmował właśnie ze skrzydeł samolotu plandeki z kółkami RAF-u, odsłaniając znaki Luftwaffe. Devlin podbiegł do ogona maszyny i zrobił przy nim to samo, a potem wcisnął się za Steinerem do kabiny. Lysander zaczął kołować i dotarwszy do końca kabiny obrócił się pod wiatr. W chwilę później popadł z rykiem silnika wzdłuż pasa startowego i wzbił się w powietrze. Munro stał w miejscu, nasłuchując cichnącego w ciemnościach warkotu. Nagle usłyszał skomlenie. Z mroku wyłoniła się Nell i usiadła mu przy nodze, podnosząc łeb. Kiedy odwrócił się i zaczął iść z powrotem do domu, poszła za nim.

Jack Carter był w jednym z pokoi w centrali ZOS, gdy usłyszał charakterystyczny dzwonek czerwonego telefonu. Popadł natychmiast podnieść słuchawkę.

- Jack? - odezwał się głos Munro.

- Dzięki Bogu, sir. Cholernie się martwiłem. Wróciłem z Yorku i poczułem się, jakbym wlaź na pole minowe. W klasztorze Najświętszej Marii Panny rozpałało się istne piekło. Stróż mówi, że pan tam był, sir. Co się właśnie ciwie stało, do diabła?

- To proste, Jack. Pewien sprytny dywulgent, niejaki Liam Devlin, zrobił z nas wszystkich durniów i leciał właśnie z pułkownikiem Kurtem Steinerem do Francji.

- Czy mam zawiadomić RAF, sir? - zapytał Carter.

- Sam się tym zajmij. Jest parę ważniejszych spraw. Po pierwsze, w Wapping, przy Cable Wharfe, stoi dom należący do człowieka o nazwisku Ryan. On i jego bratanica nie żyją. Znajdziesz tam ich zwłoki. Wylicz jak najszybciej ekipę, żeby zrobili z tym porządek. Niech skorzystają z krematorium na północy Londynu.

- Tak jest, sir.

- Tu też potrzebuję takiej ekipy, Jack. Posiadłość Shaw Place, w pobliżu Charbury, na terenie Romney Marsh. Sam również przyjedź. Będzie czekał.

Odłożył słuchawkę. Nie zamierzał, oczywiście, dzwonić do RAF-u. Schellenberg miał rację i nie było o czym mówić. Wszedł z gabinetu, kierując się do frontowych drzwi. Kiedy je otworzył, mgła na zewnątrz była równie gęsta, jak przedtem. Nell zaskamlała i przysiadła na zadzie, wpatrując się w niego. Munro schylił się i potarł nos o jej uszy.

- Biedna staruszko - powiedział. - I biedny stary Devlin. Wyczuł mu szczęście.

Kiedy Himmler i Berger zostali wpuszczeni do apartamentu Führera, Adolf Hitler siedział obok ogromnego kamiennego kominka, w którym płonęły jasno drwa. Trzymał na kolanach otwarte akta i czytał je nadal, gdy stali czekając. Po chwili podniósł wzrok i spojrzał trochę nieprzytomnie.

- Reichsführer?

- czył pan sobie widzieć mnie i Sturmbannführera Bergera.

- A, tak. - Hitler zamknął teczkę, kładąc ją na stoliku. - To ten młody człowiek, który tak znakomicie zadbał tu o moje bezpieczeństwo. Jestem pod wrażeniem, Reichsführer. - Podniósł się i położył Bergerowi dłoń na ramieniu. - Dobrze się pan spisał.

Berger stał sztywno, jakby połączony z kijem.

- Słuchaj, jest dla mnie zaszczytem, Wodzu. Hitler dotknął jednym palcem Krzyżem elaznego I klasy na mundurze Bergera.

- Widz, że jest pan też dzielnym żołnierzem. - Zwracając się do Himmlera, dodał: - Myślę, że stopień Obersturmbannführera byłby tu odpowiedniejszy.

- Zajm się tym, Wodzu - oznajmił Himmler.

- Dobrze. - Hitler odwrócił się znów do Bergera z pobłażliwym uśmiechem. - A teraz niech pan już idzie. Muszę przedyskutować z Reichsführerem kilka spraw.

Berger strzelił obcasami, podniósł prawą rękę i powiedziawszy „Heil Hitler!” obrócił się na pięcie i wyszedł.

Hitler usiadł na powrót w fotelu, wskazując Himmlerowi miejsce naprzeciwko.

- Żechce mi pan towarzyszyć, Reichsführer.

- To dla mnie zaszczyt.

Kiedy Himmler usiadł, Hitler stwierdził:

- Bezsenność bywa zbawienna. Daje człowiekowi więcej czasu na przemyślenie naprawdę ważnych spraw. Spójrzmy, na przykład, na te akta. - Führer wziął do ręki teczkę. - Jest tu wspólny raport Rommla i Canarisa, w którym starają się mnie przekonać, że alianci spróbują inwazji w Normandii. To oczywiście bzdura. Nawet Eisenhower nie byłby na tyle głupi.

- Zgadza się, Wodzu.

- Nie, to przecież jasne, że ich celem będzie Pas de Calais. Kiedyś to zauważył.

- A jednak zamierza pan mimo wszystko mianować Rommla dowódcą Grupy Armii B i obarczyć go pełną odpowiedzialnością za obronę Muru Atlantyckiego? - zauważył ostro nie Himmler.

- Dlaczego nie? - odparł Hitler. - Wszyscy wiemy, że to znakomity żołnierz. Będzie musiał w pełni zaakceptować moją decyzję w tej sprawie i wykonywać rozkazy, podobnie jak Canaris.

- Ale czy to zrobi, Wodzu?

- Wzłapi pan w ich lojalność? - zapytał Hitler. - Czy o to chodzi?

- Cóż mogę powiedzieć, Wodzu. Admirał nie zawsze odnosił się do sprawy narodowego socjalizmu z takim entuzjazmem, jak bym sobie tego życzył. A co do Rommla...  
- Himmler wzruszył ramionami - ... jest bohaterem ludu. Tego rodzaju popularność prowadzi łatwo do arogancji.

- Rommel będzie robił, co mu się każe - stwierdził ze spokojem Hitler. - Doskonale zdaję sobie sprawę, tak samo jak pan, że są w armii ekstremiści, którzy zniszczyliby mnie przy pierwszej nadarzyjącej się okazji. Wiem również, że Rommel sympatyzuje bynajmniej z takimi poglądami. Nadejdzie pora, gdy wszyscy zdrajcy doczekają się stryczka.

- Słusznie im się to należy, Wodzu.

Hitler podniósł się z fotela i stanął plecami do kominka.

- Trzeba się nauczyć postępowania z takimi ludźmi, Reichsführer. Dlatego nalegałem, aby zjedli ze mną posiłek o siódmej. Jak pan wie, spędzaj noc w Rennes. Oznacza to, że aby dotrzeć tutaj na czas, muszę wstać o do wcześniejszej porze. Lubię, jak ludzie tego pokroju są nieco zdekoncentrowani. Przekonałem się, że to popłaca.

- Wspaniale, Wodzu.

- Zanim pan pójdzie, proszę pamiętać o jednym. - Twarz Hitlera była bardzo spokojna. Himmler wstał z fotela. - Ile było zamachów na moje życie, odkąd przejąłem władzę? Ile spisków?

- Nie jestem pewien - odparł Himmler, tym razem zbity z tropu.

- Co najmniej szesnaście - oznajmił Hitler. - Widam w tym dowód boskiej opatrzności. To jedyne logiczne uzasadnienie. Himmler z trudem przełknął ślinę.

- Oczywiście, Wodzu.

Hitler uśmiechnął się dobrodusznie.

- A teraz niech pan już idzie. Proszę się trochę przespać. Zobaczymy się przy posiłku.

Odwrócił się i zaczął patrzeć w ogień, a Himmler pośpiesznie wyszedł z pokoju.

Na całej prawie trasie do Cap de la Hague nad kanałem La Manche wisiała mgła. Asa wykorzystał ją jako osłonę, lecz z dużym szybkością kierując się wreszcie tu po trzeciej ku wybrzeżom Francji.

- Chernay, tu Sokół - nadał przez radio. - Jak wygląda sytuacja?

Siedzący w centrum łuczno ci Schellenberg zerwał się na nogi i w jednej chwili był obok Lebera.

- Kiedy zawieje wiatr, na chwilę się przejaśnia - oznajmił sierżant - ale tylko trochę. Mgła wisi tu nad ziemią, potem podnosi się na jakieś sto stóp i znowu opada.

- Mogłoby dowiedzieć się gdzie indziej? - zapytał Asa.

- Nigdzie w pobliżu. Cherbourg jest całkowicie zamknięty. Schellenberg wziął od Lebera mikrofon.

- Asa, to ja. Jesteś tu w komplecie?

- Tak, do cholery! Jest pan sierżant pułkownik Steiner, Devlin i ja, tylko że nie mamy dokąd lecieć.

- Jak z paliwem?

- Wystarczy mi pewnie na jakieś trzy kwadransy. Spróbuj polatać trochę w kółko. Proszę być w kontakcie i natychmiast dać mi znać, gdyby poprawiły się warunki.

- Panie generale, kiedy ludziom zapali na pasie startowym wiatła sygnalizacyjne - powiedział Leber. - To powinno pomóc.

- Sam się tym zajmij. Niech pan zostanie przy nadajniku - rozkazał Schellenberg i pośpiesznie wyszedł.

W dwadzieścia minut później Asa stwierdził:

- Nic z tego. Trzymajcie się mocno. Spróbuj coś zrobić.

Zapalony wiatła przy kołach zaczął sprowadzać lisyandera na dół. Mgła otaczała ich równie szczelnie jak nad Shaw Place. Na wysokości czterech stóp przycięgnięty drapak, niemal wbijając go sobie w ołdak i maszyna uniosła się w górę, wylatując z chmur i mgły po osi gnieciu pułapu około tysiąca stóp.

Gwiazdy świeciły jeszcze blado, ledwie widoczny księżyc wisiał nisko nad ziemią, a na horyzoncie jaśniała zorza.

- To beznadziejna sprawa! - powiedział Asa. - Próba dowodzenia byłaby samobójstwem. Już prędzej siadałbym na falach.

- Jest odpyw, panie kapitanie - odparł Leber.

- Naprawdę? A jak długo ma ta plama?

- Ci gniewa się wiele mil.

- No i dobrze. To daje nam przynajmniej jakiś szansę.

- Jest pan pewien, Asa? - odezwał się Schellenberg.

- Pewien jestem tylko tego, generale, że nie mamy wyboru. Albo się zobaczymy, albo nie. Wyłączam się. Bez odbioru. Schellenberg rzucił mikrofon i zapytał Lebera:

- Da się tam dojechać?

- Tak, panie generale. Droga do starej pochylni.

- Dobrze. Wi c ruszajmy.

Gdybym musiał l dowa na morzu, ta maszyna nie utrzyma si dugo na powierzchni wody - powiedzial przez rami Asa, zwracaj c si do Steinera i Devlina. - Z tyłu jest nadmuchiwany ponton. Taki óty. Trzeba go szybko wyj , poci gn za czerwony zawleczk i wtedy sam napełni si powietrzem. Steiner u miechn ł si .

- Zakładam, e pan pływa, panie Devlin?

- Czasami - odparł Liam, odwzajemniaj c u miech.

Asa miał na twarzy krople potu. Pchn ł do przodu dr ek i zacz ł zni a lot, a osi gn ł pułap pi ciuset stóp, ale strzałka wysoko ciomierza nie przestała opada . Mijała liczb trzysta, gdy lysander zatrz sł si od gwałtownego podmuchu wiatru.

- Zauwa yłem co ! - krzykn ł Devlin.

Mgła rozwarła si nagle przed nimi, jakby kto rozsun ł z dwóch stron kurtyn . Zobaczyli ogromne fale, które napływały z Atlantyku i półmilowy pas mokrego piasku, ci gn cy si w kierunku skał Cap de la Hague. Asa przyci gn ł z powrotem dr ek i lysander wyrównał lot nie wi cej ni pi dziesi t stóp nad spienionymi grzywami fal, które rozbijały si o brzeg.

- Kocham ci , ty pieprzona licznotka! - krzykn ł Asa, uderzaj c dłoni w tablic wska ników, po czym zawrócił maszyn pod wiatr, aby wyl dowa .

Ci arówka, w której jechali Schellenberg, Leber i kilku mechaników z Luftwaffe, dotarła do pochylni dokładnie w momencie, gdy lysander pojawił si w polu widzenia.

- Udało mu si , panie generale! - krzykn ł Leber.- Co za pilot! - Pobiegł naprzód, wymachuj c r k , a za nim jego ludzie.

Schellenberg czuł w rodku pustk . Zapalił papierosa czekaj c, a lysander przy kołuje do ca pochylni. Wreszcie maszyna zatrzymała si , a kiedy Asa wył czył silnik, Leber i jego ludzie zacz li wiwatowa . Najpierw wysiedli Devlin i Steiner, a dopiero potem Asa. Zdj ł lotniczy hełm i wrzucił go do kabiny.

- Niezła robota, kapitanie - zauwa ył Leber.

- Zajmijcie si troskliwie t maszyn , sier ancie - powiedzial Asa. - Zasluguje na wszystko, co najlepsze. Czy b dzie tu bezpieczna?

- O tak, zaczai si ju przyplyw, ale nie si ga a dot d.

- To dobrze. Prosz sprawdzi silnik. I b dzie pan musiał zrobi r czne tankowanie.

- Wedle rozkazu, panie kapitanie.

Schellenberg stał i czekał, a Steiner i Devlin do niego podejd . Wreszcie wyci gn ł r k na powitanie.

- Miło mi pana widzieć, pułkowniku.

- Witam, panie generale - odparł Steiner.

- A co do pana, szalony Irlandczyku - stwierdził Schellenberg, zwracając się do Devlina - ci głębiej trudno mi uwierzyć, że pan tu jest.

- No cóż, Walterze, mój stary druhu. Wie pan, co zawsze powtarzam: trzeba tylko walczyć. - Devlin wyszczerzył zębów w uśmiechu. - Da się gdzie tutaj znaleźć małe kawałki? Umieram z głodu.

Siedzieli wokół stołu w niewielkiej kantine, popijając kawę.

- A więc Führer dotarł wczoraj szczęśliwie na miejsce - powiedział Schellenberg.

- A Rommel i admirał? - zapytał Devlin - Nie mam pojęcia, gdzie się zatrzymali, ale wkrótce do niego dołączą. Na pewno są w drodze.

- Ten pana wariacki plan ma swój sens - stwierdził Steiner - ale jest w nim sporo znaków zapytania.

- Myli pan, że ci ludzie z oddziału spadochroniarzy nie pójdą za panem?

- Nie, nie, chodzi o to, co stanie się z waszą trójką w zamku, zanim tam dotrzemy.

- No cóż, nie mamy wyboru - powiedział Schellenberg. - To jedyne rozwiązanie.

- Tak, wiem.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym Schellenberg zapytał:

- Chce mi pan pomóc, pułkowniku, czy nie? Zostało niewiele czasu.

Steiner wstał i podszedł do okna. Zaczęła wreszcie padać ulewna deszcz. Popatrzył przez szybę i odwrócił się.

- Nie mam powodu, żeby lubić Führera, nie tylko ze względu na to, co stało się z moim ojcem. Moim powodem jest to, że jest złem dla wszystkich, niebezpieczeństwem dla ludzkości, ale dla mnie największym jest fakt, że przynosi szkody Niemcom. Skoro już o tym mowa, Himmler jako głowa państwa byłby bez porównania gorszy. Z Hitlerem u władzy ma się przynajmniej perspektywę końca tej przeklętej wojny.

- Wiem, pomoże mi pan?

- Moim zdaniem nikt z nas nie ma wyboru. Asa wzruszył ramionami.

- A, do diabła, mnie też może walczyć. Devlin wstał i przeciągnął się.

- No to bierzmy się do roboty. Powiedziawszy to otworzył drzwi i wyszedł.

Kiedy Schellenberg wszedł do baraku, który zajmował wspólnie z Asą, Devlin stał z podwiniętymi nogawkami przy łóżku, opierając się o nie nogami, i wkładał do kabury na łódce Smitha i Wesson.

- Ukrywa pan atuty w rękawie, przyjacielu?

- Mam jeszcze to. - Devlin wyjął z torby walthera z tłumikiem i wetknął go sobie z tyłu za pasek. Potem wyciągnął lugera. - A tego włóż do kieszeni. Wtedy, żeby wartownicy z SS pozwolili nam wejść do rodka z broni, więc najlepiej coś dla nich mieć.

- Myśli pan, że to się uda? - zapytał Schellenberg.

- Nie jestem pewien. A co pan teraz sędzi, generale?

- Mam w tympliwo ci. Widzi pan, alianci postawili sprawę jasno: żadnych pokojowych negocjacji, tylko bezwarunkowa kapitulacja. A Himmler absolutnie się na to nie zgodzi.

- Tak, pewnego dnia zawiśnie na szubienicy.

- Może ja tak też. Jestem w końcu generałem SS - stwierdził Schellenberg.

- Proszę się nie martwić, Walterze - powiedział z uśmiechem Devlin. - Jeśli trafi pan do więzienia, wydostanę pana. A teraz ruszajmy.

Feldmarszałek Erwin Rommel i admirał Canaris wyjechali z Rennes o piętej rano limuzyną marki „Mercedes”, którą prowadził - ze względów bezpieczeństwa - adiutant Rommela, major Karl Ritter. Jedynym eskortą stanowiło dwóch żandarmów na motocyklach, którzy w ów mroczny poranek prowadzili ich po krętych i wąskich francuskich drogach.

- Oczywiście mamy tam być o tak idiotycznej porze tylko dlatego, że chce nas postawić w niekorzystnej sytuacji - stwierdził Canaris.

- Führer lubi mieć nas wszystkich w garści, admiralu - powiedział Rommel. - Sędziłem, że od dawna pan o tym wie.

- Zastanawiam się, o co mu chodzi - rzekł Canaris. - Wiemy, że ma potwierdzić pańską nominację na dowódcę Grupy Armii B, ale w tej sprawie mógł pana wezwać do Berlina.

- Właśnie - przyznał Rommel. - Poza tym istnieją telefony. Nie, myślę, że chodzi o Normandię.

- Przecież na pewno potrafimy go przekonać - stwierdził Canaris. - Raport, który razem opracowaliśmy, jest dość jednoznaczny.

- Tak, ale niestety Führer przychylił się do wersji o Pas de Calais, i jego astrolog tak też.

- A wujaszek Heini? - spytał Canaris.

- Himmler zawsze zgadza się z Führerem. Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

Na moment przestało padać i ujrzeli Belle-Ile.

- Wygląda imponująco - stwierdził Rommel.

- Tak, jest bardzo wagnerowski - zauważył oschle Canaris. - Zamek na końcu wiatu.

To się musi Führerowi podobać. Na pewno dobrze się z Himmlerem bawi.

- Zastanawiał się pan czasem, admirale, jak mogło do tego dojść? - zapytał Erwin Rommel. - Jak to się stało, że pozwolili my takim potworom decydować o losach milionów ludzi?

- Myśl o tym kilka tygodni - odparł Canaris. Mercedes zjechał z drogi i zaczął pisać listy do motocyklistami w kierunku zamku.

15.

Było tu po szóstej, gdy dowódca Dwunastego Oddziału Spadochroniarzy z St.-Aubin, Hauptmann Erich Kramer, pijąc kawę w biurze, usłyszał wjeżdżający na dziedziniec samochód. Zbliżywszy się do okna zobaczył dyploma z rozwieszoną dla ochrony przed deszczem plandek. Pierwszy wysiadł Asa, a potem Schellenberg i Devlin.

Kramer natychmiast rozpoznał w nich swoich niedawnych gości i zmarszczył brwi.

- Czego oni chcą, do diabła? - powiedział półgłosem.

W tym momencie z dyploma wyłonił się Kurt Steiner. Ponieważ nie miał czapki, pochylił się od sieranta lotnictwa Lebera furaerk Luftwaffe, którą nazywano popularnie Schiff. Tak się jakoś złożyło, że wielu weteranów Pułku Spadochroniarzy czuło do niej szczególny sentyment. Steiner stał na deszczu, ubrany w niebieskoszary lotniczy bluz z złotymi naszywkami na kołnierzu oraz w spodnie i buty skoczka. Kramer zauważył Krzyż Rycerski z Liemi Dibu, srebrno-złotego orła na odznace spadochroniarza oraz naszywki na mankietach - dowództwo udziału w walkach na Krete i przynależność do Korpusu Afrykańskiego. Rzecz jasna rozpoznał Steinera, był legendą całego Pułku Spadochroniarzy.

- O mój Boże! - wymamrotał, sięgając po czapkę i zapinając mundur. Otworzywszy drzwi, strzelił obcasami i zaszalutował. - Pułkowniku Steiner. Nie potrafię wyrazić, sir, jaki to dla nas zaszczyt - oznajmił, jakby nie zauważając obecności innych osób.

- Miło mi. Kapitan Kramer, prawda? - Steiner dostrzegł naszywki na rękawie jego munduru i baretki odznaczenia za Kampanię Zimową. - Zdaje się, że jesteście moimi starymi kompanami.

- Tak, panie pułkowniku.

Kilku spadochroniarzy wyszło z kantyny, żeby zobaczyć, kto przyjechał. Na widok Steinera wszyscy wyprężyli się na baczność.

- Spocznijcie, chłopcy! - krzyknął, po czym zapytał Kramera: - Jakie ma pan tu siły?

- Tylko trzydziestu pięciu ludzi, panie pułkowniku.

- W porządku - odparł Steiner. - Bardzo potrzebował wszystkich, oczywiście i ciebie z panem. Schowajmy się przed tym deszczem, to wyjdą oni, o co chodzi.



Trzydziestu pi ciu ludzi z Dwunastego Oddziału Spadochroniarzy stało w czterech rz dach na dziedzi cu w ulewnym deszczu. Ubrani byli w typowe dla swego pułku stalowe hełmy i obszerne bluzy skoczków. Prawie wszyscy mieli przewieszane przez pier pistolety maszynowe typu schmeisser. Stali wypr eni na baczno , słuchaj c słów Steinera, któremu towarzyszyli z tyłu Schellenberg, Devlin i Asa Yaughan, a z boku Kramer.

Steiner nie bawił si w subtelno ci, poprzestaj c na faktach.

- Tak to wi c wygl da. Führer ma wkrótce zgin z r k zdrajców z SS. Naszym zadaniem jest ich powstrzyma . S jakie pytania?

Nikt si nie odezwał. Słysza było tylko b bnienie ci kich kropli deszczu.

- Niech pan ich przygotuje, kapitanie - rozkazał Steiner, zwracaj c si do Kramera.

- Zu befehl, Hen Oberst - odpowiedział Kramer salutuj c. Steiner odwrócił si do pozostałych.

- Wystarczy panom pi tna cie minut? - zapytał.

- Ale zaraz potem wchodziecie jak kolumna pancerna - ostrzegł Schellenberg. - Błyskawicznie.

Wsiadł razem z Asa do d ipa. Devlin, w nasuni tym na ucho czarnym kapeluszu i przemoczonym trenczu, powiedział do Steinera:

- W pewnym sensie ju to przerabiali my.

- Wiem. I ci gle pozostaje aktualne pytanie: czy to my rozgrywamy t gr , czy ona nami zawładn ła?

- Miejmy nadzieję , e szcz cie b dzie nam sprzyja bardziej ni ostatnim razem, panie pułkowniku. - Devlin u miechn ł si , wskakuj c na tył d ipa, i Asa ruszył z miejsca.

Rommel, Canaris i major Ritter dotarli po schodach do głównego wej cia w Chateau de Belle-Ile. Jeden z dwóch wartowników z SS otworzył drzwi, wpuszczaj c ich do rodka. Wsz dzie było pełno stra y.

- To wygl da jak niedzielny zjazd SS - powiedział Rommel do Canarisa, rozpinaj c płaszcz. - Jeden z tych, jakie odbywały si dawniej w Bawarii.

Na schodach pojawił si Berger, wychodz c im na spotkanie.

- Panie admirale, panie feldmarszałku, bardzo mi miło. Sturmbannfuhrer Berger, szef ochrony.

- Witam, majorze. - Rommel pozdrowił go skinieniem głowy.

- Führer oczekuje panów w jadalni. Za yczył sobie, aby nikt nie przychodził do niego uzbrojony.

Rommel i Ritter wyj li z kabur pistolety.

- Mam nadzieję, że nie jesteście myśliwnymi - powiedział feldmarszałek.

- Prawda mówi ci, przyszli ci, panowie, o dwie minuty za wcześnie. - Berger uśmiechnął się do niego porozumiewawczo, jak żołnierz do żołnierza. - Wskaż panom drogę.

Otworzył wielkie drzwi, wprowadzając ich do korytarza. Podłogę w jadalni nakryty był tylko na cztery osoby. Führer stał obok kamiennego kominka, wpatrując się w płonące drwa. W końcu odwrócił się i spojrzał na przybyłych.

- A, jesteście ci, panowie.

- Ufam, że dobrze się pan miewa, Wodzu - odezwał się Rommel.

- Herr Admiral - powiedział Hitler, pozdrawiając Canarisa skinieniem głowy, po czym skierował wzrok na Ritтера, który stał wyprężony na baczność i ciskał w ręce teczkę. - A kogo my tu mamy?

- To mój osobisty adiutant, Wodzu - oznajmił Rommel. - Major Karl Ritter. Dysponuje dalszymi szczegółami na temat sytuacji w Normandii, którą już omawialiśmy.

- Kolejne sprawozdanie? - Hitler wzruszył ramionami. - No dobrze, skoro to konieczne... - Zwrócił się do Bergera. - Niech dołożą jeszcze jedno nakrycie. I proszę sprawdzić, co zatrzymało Reichsführera. Kiedy Berger zmierzał do drzwi, pojawił się w nich Himmler. Miał na sobie czarny galowy mundur, a jego pobladła twarz zdradzała lekkie zdenerwowanie, które z trudem starał się ukryć.

- Proszę o wybaczenie, Wodzu. Akurat gdy wychodziłem z pokoju, miałem telefon z Berlina. - Skinął głową do Canarisa i Rommla. - Panie admirał, panie feldmarszałku.

- A to jest adiutant feldmarszałka, major Ritter. - Hitler zatarł ręce. - Poczuję się naprawdę wyjątkowo głodny. Wiecie, panowie, może powinniśmy robić to za siebie. Mam na myśli wcześniejsze posiłki. Ile uzyskuje się czasu na ważne sprawy! Ale proszę, siadajcie.

Sam zajął honorowe miejsce przy stole. Rommel i Canaris usiedli z jego prawej strony, a Himmler i Ritter z lewej.

- A więc do dzieła - powiedział. - Najpierw posiłek, potem interesy.

Wziął do prawej ręki srebrny dzwoneczek i zadzwonił.

Po upływie najwyżej dziesięciu minut do głównej bramy podjechał dywizyjny Schellenberg wychylił głowę przez okienko. Sierżant, który do niego podszedł, zauważył generalski mundur i zaszalutował.

- Führer oczekuje nas - oznajmił Schellenberg. Sierżant miał niepewny min.

- Polecono mi nikogo nie wpuszczać, panie generale.

- Nie opowiadaj bzdur, człowieku - odwrócił się Schellenberg. - Mnie to nie dotyczy. -

Dał Asie znak głową. - Niech pan rusza, Hauptsturmführer.

Wjechali na wewn trzny dziedziniec, zatrzymuj c si tam.

- Słyszał pan, jak Hiszpanie nazywaj ten moment, gdy toreador ma zada bykowi miertelny cios i nie wie, czy sam nie zginie? - zapytał Devlin. - Mówi , e to chwila prawdy.

- Nie teraz, panie Devlin - powiedział Schellenberg. - Id my dalej.

Pomaszerował po szerokich schodach, a dotarłszy do frontowych drzwi chwycił za klamk .

Hitler był w znakomitym nastroju, pałaszuj c grzanki z owocami.

- Trzeba przyzna Francuzom, e maj doskonale pieczywo - stwierdził, si gaj c po nast pny kawałek.

W tym momencie otworzyły si drzwi i wszedł starszy sier ant SS. Odezwał si do niego Himmler.

- Chyba wyraziłem si jasno, e pod adnym pozorem nie wolno nam przeszkadza .

- Tak, Reichsführer, ale przyszedł generał Schellenberg. Jest z nim Hauptsturmführer i jaki cywil. Podobno musi si pilnie zobaczyć z Führerem.

- Bzdura! - achn ł si Himmler. - Nie słucha pan rozkazów! Hitler natychmiast im przerwał.

- Schellenberg? Ciekawe, o co mo e chodzi . Niech pan ich wprowadzi, sier ancie.

Schellenberg, Devlin i Asa czekali w holu przy drzwiach. Po chwili starszy sier ant był z powrotem.

- Führer przyjmie pana, generale, ale nie wolno mie przy sobie adnej broni. Otrzymałem wyra ne rozkazy. To dotyczy wszystkich.

- Oczywiście. - Schellenberg wyj ł z kabury pistolet, rzucaj c go na stół.

Asa uczynił to samo, a Devlin wyci gn ł lugera z kieszeni płaszcza.

- Cała danina łaskawie zło ona - stwierdził.

- Prosz za mn , panowie - powiedział starszy sier ant, po czym odwrócił si i poprowadził ich przez hol.

Kiedy weszli do jadalni, Hitler ko czył jeszcze niadanie. Rommel i Canaris spojrzeli na nich z zainteresowaniem. Himmler był trupio blady.

- A zatem, Schellenberg, co pana tu sprowadza? - zapytał Hitler.

- Przepraszam za naj cie, Wodzu, ale dotarły do mnie nadzwyczaj wa ne informacje.

- A có w nich takiego wa nego? - zapytał Führer.

- Chodzi o pa skie ycie, Wodzu, a raczej o prób zamachu na pana.

- To niemo liwe! - odezwał si Himmler. Hitler uciszył go gestem r ki, spogl daj c na Devlina i As Yaughana.

- , Kim s ci ludzie?

- Pozwol sobie wyja ni . Reichsfuhrer polecil mi niedawno opracowa plan przewiezienia do Rzeszy pułkownika Kurta Steinera, który przez jaki czas był wi ziony w londy skim Tower. Obecni tu Herr Devlin i Hauptsturmfuhrer Yaughan wykonali z powodzeniem to zadanie. Wyl dowali wła nie niedaleko st d, w niewielkiej bazie Luftwaffe i przekazali Steinera w moje r ce.

- Nic o tym nie wiedziałem - powiedział Hitler do Himmlera.

- To miała by niespodzianka, Wodzu - o wiadczyl Himmler z bardzo niewyra n min .

Hitler zwrócił si ponownie do Schellenberga.

- Gdzie jest ten pułkownik Steiner?

- Wkrótce si tu zjawi. Rzecz w tym, e zaledwie par godzin temu odebrałem anonimowy telefon. Przykro mi to stwierdzi w obecno ci Reichsfuhrera, ale mój rozmówca informował o zdradzie, nawet w szeregach SS.

- To niemo liwe! - zaprotestował Himmler, o mało si nie krztusz c.

- Była mowa o oficerze, który nazywa si Berger.

- Ale Sturmbannfuhrer Berger odpowiada tutaj za moje bezpiecze stwo! - o wiadczyl Hitler. - Wła nie kazałem go awansowa .

- A jednak, Wodzu, takie przekazano mi informacje.

- Co dowodzi niezbitcie, e nikomu nie mo na ufa ! - zawołał Horst Berger, wyłaniaj c si z mrocznego zak tka jadalni w towarzystwie dwóch esesmanów, którzy trzymali w r kach pistolety maszynowe.

Steiner i kapitan Kramer prowadzili kolumn do zamku, jad c pod gór d ipem, który pomimo deszczu nie miał zało onej plandeki. Za nimi pod ały dwa transportery pełne spadochroniarzy. Steiner wetkn ł sobie za cholew granat z dług r czk , a na kolanach trzymał odbezpiezonego schmeissera.

- Kiedy zaczniemy, trzeba i na cało , ci gle do przodu - powiedział. - Nie zapomnijcie o tym.

- Jeste my z panem, pułkowniku - zapewnił go Kramer. Zwolnił przy bramie wjazdowej i w tym momencie podszedł do nich sier ant SS.

- O co chodzi? - zapytał.

Steiner uniósł luf schmeissera, powalaj c esesmana szybki seri , po czym wstał i odwróciwszy si błyskawicznie ci ł z nóg drugiego strażnika. Prawie równocześnie Kramer nacisn ł na gaz i d ip ruszył z impetem do przodu.

Kiedy dotarli do podnó a schodów prowadz cych do frontowych drzwi, z wartowni po prawej stronie wyłonił si kolejni esesmani. Steiner wyj ł zza cholewy podł u ny granat, rzucił go mi dzy nich, a potem wyskoczył z d ippa i zacz ł biec po schodach. Za jego plecami wyskakiwali z transporterów spadochroniarze i przedzierałi si w kierunku drzwi, strzelaj c do esesmanów na dziedzi cu.

Jak pan mie podchodzi do mnie z broni w r ku? - odezwał si do Bergera Hitler. Jego oczy płon ły gniewem.

- Z przykro ci stwierdzam, Wodzu, e wybiła pa ska godzina. Dotyczy to tak e feldmarszałka Rommla i admirała. - Berger pokr cił głow . - Nie mo emy ju dłu ej tolerowa adnego z was.

- Nie zabijesz mnie, głupi szczeniaku! - powiedział Hitler. - To niemo liwe.

- Doprawdy? - zdziwił si Berger. - A niby dlaczego?

- Poniewa nie jest mi dane zgin tutaj - odparł spokojnie Hitler. - Poniewa Bóg stoi po mojej stronie.

Gdzie w oddali rozległy si odgłosy wystrzałów. Berger odwrócił głow , eby spojrze na drzwi, i w tym momencie major Ritter zerwał si na nogi, cisn ł w niego teczk i rzucił si do wyj cia z okrzykiem „stra e!”

Jeden z esesmanów zacz ł strzela ze schmeissera, kilkakrotnie trafiaj c go w plecy.

- Panie Devlin... - odezwał si Schellenberg.

Devlin si gn ł r k do tyłu i namacał kolb wetkni tego za pas walthera z tłumikiem. Pierwsza kula trafiła w skro człowieka, który przed chwil zastrzelił z automatu Rittera, nast pna przeszyla serce drugiego z esesmanów. Berger odwrócił si błyskawicznie, otwieraj c usta w okrzyku potwornej w ciekło ci i wtedy trzeci strzał Devlina trafił go mi dzy oczy.

Liam podszedł do le cego ciała i spojrział na nie z góry, trzymaj c niedbale w dłoni walthera.

- Nie posłuchałe mnie, synu, prawda? A radziłem ci znale sobie inn robot .

W tym momencie za plecami Devlina z łoskotem otworzyły si drzwi i do pokoju wpadł Kurt Steiner, prowadz c swoich ludzi.

Kiedy Schellenberg zapukał do gabinetu Himmlera i wszedł do rodka, Reichsfuhrer stał przy oknie. Wida było od razu, e zamierza odcisi beczelnie od tego, co zaszło.

- A, jest pan, generale. Có za ałosny incydent! Stawia w fatalnym wietle całe SS. Dzi ki Bogu, Führer uwa a ohydny zdrad Bergera za jednostkowy przypadek.

- Na szcz cie dla nas wszystkich, Reichsfuhrer.

- A ten anonimowy telefon, o którym pan wspominał... - powiedział Himmler siadaj c.
- Nie podejrzewa pan, kto to mógł by ?
- Niestety nie.
- Szkoda. Tak czy inaczej... - Himmler spojrział na zegarek. - Führer chce st d wyjecha w południe. Polec z nim do Berlina. Canaris b dzie nam towarzyszył. Rommel ju wyjechał.
- Rozumiem - powiedział Schellenberg.
- Führer chce przed wyjazdem zobaczyć si z panem i z trzema pozostałymi. Uwa a chyba, e nale si wam odznaczenia.
- Odznaczenia? - zdziwił si Schellenberg.
- Führer ma je zawsze przy sobie, generale. Na wszelki wypadek wozi wsz dzie w osobistej aktówce zapas medali. Uwa a, e za lojaln słu b nale y si nagroda. Podzielam ten pogl d.
- Reichsführer.
- Schellenberg zamierzał ju wyj , gdy Himmler dodał:
- Byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdyby to szokuj ce zdarzenie nie miało miejsca. Rozumie mnie pan, generale? Rommel i Canaris b d milcze . Tym spadochroniarzom te łatwo zamkn usta. Wystarczy wysła ich z powrotem na Wschodni Front.
- Rozumiem, Reichsführer - powiedział ostro nie Schellenberg.
- Pozostaje nam, oczywi cie, Steiner, Hauptsturmführer Yaughan i ten Devlin. Czuj , e mog nam przysporzy powa nych kłopotów. Na pewno si pan ze mn zgodzi.
- Czy sugeruje pan, Reichsführer... - zaczął Schellenberg.
- Nie - przerwał mu Himmler. - Niczego nie sugeruj . Daj to panu tylko pod rozwag .
- Było prawie południe, gdy w bibliotece, gdzie czekali Schellenberg, Steiner, Asa i Devlin, otworzyły si drzwi i wszedł Führer, a za nim Canaris oraz Himmler, który niósł niewielk skórczan aktówk .
- Witam panów - powiedział Hitler.
- Trzej oficerowie stan li na baczno , a siedz cy na parapecie Devlin podniósł si niezdarnie. Hitler skin ł na Himmlera, który otworzył pełn odznacze walizeczk .
- Pan, generale Schellenberg, otrzymuje niemiecki Złoty Krzy . Hauptsturmführer Yaughan równie . - Przypi ł im odznaczenia, po czym zwrócił si do Steinera. - Pan, pułkownik Steiner, ma ju Krzy Rycerski z Li mi D bu. Teraz otrzyma pan Miecze.
- Dzi kuj , Wodzu - odparł z pewn ironi Kurt Steiner.

- A panu, panie Devlin - oznajmił Führer, zwracaj się do Irlandczyka - nadaj Krzyż elazny I klasy.

Devlin nie miał pojęcia, co powiedzie, z trudem tłumaczył ochotliwie do miechu, gdy wpinano mu w kłopot odznaczenie.

- Zasłuchaliście się, panowie, na moją wdziaczność i wdziaczność całego narodu niemieckiego - oznajmił Hitler, po czym odwrócił się i wyszedł, a Himmler podążył za nim.

Canaris przystanął na moment przy drzwiach.

- Dzień zaczął się wyjątkowo ciekawie, ale na twoim miejscu uważałbym teraz na siebie, Walterze.

Kiedy zamknęły się drzwi, Devlin zapytał:

- I co dalej?

- Führer wraca zaraz do Berlina - odparł Schellenberg. - Canaris i Himmler lecą razem z nim.

- A my? - spytał Asa Yaughan.

- Jest z tym pewien problem. Reichsführer dał wyraźne do zrozumienia, że nie chce panów widzieć w Berlinie. Właściwie chciałby, żebyście w ogóle zniknęli.

- Rozumiem - powiedział Steiner. - I pan ma się nami zająć?

- Co w tym rodzaju.

- Stary skurwiel - podsumował Devlin.

- Oczywiście na plaży w Chernay czekałysander - oznajmił Schellenberg. - Leber na pewno już go sprawdził i zatankował.

- Ale dokąd, cholera, mamy lecieć? - zapytał Asa Yaughan. - Ledwo wydostaliśmy się z Anglii, a w Niemczech na pewno byłoby nam za gorąco.

Schellenberg spojrzał pytająco na Devlina i Irlandczyka wybuchnął śmiechem.

- A byłe kiedyś w Irlandii? - powiedział do Yaughana.

Na plaży panował chłód i woda się gała o wiele wcześniej niż rano, ale nie brakowało miejsca do startu.

- Wszystko sprawdziłem - powiedział do Asy sierżant lotnictwa Leber. - Nie powinien pan mieć żadnych problemów, Hauptsturmführer.

- Proszę wrócić teraz na lotnisko, sierżancie - polecił Schellenberg. - Pójdź do pana przyjdź. Leber zsalutował i oddalił się.

- Życzę panom powodzenia - powiedział Schellenberg, ciskając dłonie Steinerowi i Asie, a gdy wsiedli do lysandera, zwrócił się do Devlina: - Naprawdę niezwykły z pana człowiek.

- Niech pan leci z nami, Walterze - rzekł Devlin. - Nie ma pan po co wraca .
- Za pó no, przyjacielu. Jak ju mówiłem, nie pora teraz zeskaikiwa z karuzeli.
- A co powie Himmler, kiedy si dowie, e pan nas wypu cił?
- Och, pomy lałem i o tym. Taki doskonały strzelec jak pan powinien bez trudu trafi mnie w rami . Powiedzmy, e w lewe. Oczywi cie nie naruszaj c ko ci.
- Bo e, ale z pana szczwany lis!

Schellenberg odszedł par kroków, a potem si odwrócił. Devlin wyci gn ł z kieszeni r k , trzymaj c w niej walthera. Rozległo si głuche kla ni cie. Schellenberg zachwiał si i chwycił kurczowo za rami . Mi dzy palcami spływała mu krew.

- Do widzenia, panie Devlin - powiedział z u miechem. Irlandczyk wdrapał si do samolotu i spu cił osłon kabiny. Asa skierował maszyn pod wiatr i lysander z rykiem silnika pop dził wzdłu pla y, unosz c si w powietrze. Schellenberg patrzył, jak znika szybko nad morzem. Po chwili odwrócił si i ciskaj c nadal przestrelone rami poszedł w kierunku pochylni.

Jeziro Conn, poło one w hrabstwie Mayo na zachodnim wybrze u Irlandii, niezbyt daleko od zatoki Killala, ma ponad dziesi mil długo ci. Owego wieczoru, w nikłym wietle zapadaj cego od strony gór zmierzchu, jego powierzchnia przypominała czarne szkło.

Michael Murphy miał gospodarstwo w pobli u południowego kra ca jeziora, ale tego dnia łowił ryby i wypił tyle bimbrowa, e - jak mawiała jego babcia staruszka - nie wiedział, czy jest na tym wiecie, czy na tamtym. Nagle rozp tała si ulewa, si gn ł wi c po wiosła, cicho sobie pod piewuj c.

W tym momencie usłyszał jaki huk, poczuł p d powietrza i zobaczył co , co w pó niejszych opowie ciach potrafił jedynie nazwa wielkim czarnym ptakiem, który przeleciał mu nad głow i znikn ł w mroku po drugiej stronie jeziora.

Asa wyl dował po mistrzowsku na gładkiej powierzchni jeziora kilkaset jardów od brzegu, w ostatniej chwili opuszczaj c ogon maszyny. Lysander wytracił szybko , lizgaj c si po lustrzanej tafli i stan wszy w miejscu zaczął nabiera wody. Asa podniósł osłon kabiny i wyci gn ł nadmuchiwany ponton, który natychmiast napełnił si powietrzem.

- Jak tu gł boko? - zapytał Devlina.
- Dwie cie stóp.
- Wi c z samolotem mamy spokój. Szkoda tego cacka. Dobra, ruszajmy.

W jednej chwili wsiadł do pontonu, a Steiner i Devlin poszli w jego lady. Chwycili za wiosła i oddaliwszy si nieco spojrzeli za siebie. Dziób lysandera zanurzył si w wodzie.



Przez chwilę widać było tylko ogon ze swastyki Luftwaffe, ale wkrótce i on zniknął pod powierzchnią.

- No to już po wszystkim - stwierdził Asa.

Zaczęli wiosłować w kierunku znikającego czoła w ciemnościach brzegu.

- I co teraz, panie Devlin? - zapytał Steiner.

- Czekają nas długi marsze, ale możemy i przez całą noc. Moja ciocięzna babka, Eileen O'Brien, ma nad zatoką Killala stare gospodarstwo. Spotkamy tam samych przyjaciół.

- A co dalej? - zapytał Asa.

- Bóg jeden wie, mój synu. Zobaczymy - odparł Liam Devlin. Ponton dopłynął do niewielkiej plaży. Devlin wysiadł pierwszy i brnąc po kolana w wodzie przyciągnął ich do brzegu.

- Cead mile failte - powiedział, wychodząc do Kurta Steinera.

- A cóż to takiego? - zapytał Niemiec.

- Irlandzki - odparł z uśmiechem Devlin. - Język królów. To znaczy: witam sto tysięcy razy.

Dochodziła czwarta rano. Devlin wstał i otworzył drzwi zakrystii. Miasto było teraz spokojne, ale w powietrzu unosił się gryzący zapach dymu. Zaczynało padać. Devlin wzdygnął się i zapalił papierosa.

- Nie ma nic gorszego niż niespokojna noc w Belfastie.

- Niech mi pan powie jeszcze jedno - poprosiłem. - Miał pan coś niejakiego do czynienia z Dougalem Munro?

- O, tak. - Pokiwał głową. - Od tamtego czasu nawet kilka razy. Stary Dougal zawsze lubił zarzucać w dół.

Jak zwykle nie mogłem się zorientować, czy mówi poważnie, więc spróbowałem jeszcze raz.

- W porządku, a co było dalej? Jak Dougal Munro zdołał to wszystko zataić?

- Cóż, proszę nie zapominać, że tylko Carter i Munro wiedzieli, kim naprawdę był Steiner. Nieszczęśliwy porucznik Benson, siostra Maria Palmer i ojciec Martin uważali go po prostu za jeńca wojennego, za oficera Luftwaffe.

- No a Michael Ryan i jego bratanica? Rodzeństwo Shaw?

- Na początku tamtego roku Luftwaffe zaczęła znowu naloty na Londyn. Ta nowa fala bombardowań była bardzo na rękę brytyjskiemu wywiadowi.

- Dlaczego?

- Ponieważ od bomb ginęli ludzie. Tacy ludzie, jak sir Maxwell Shaw i jego siostra, Lavinia, stali się ofiarami nalotu Luftwaffe na Londyn w styczniu czterdziestego czwartego roku. Proszę przejrzeć numery The Times z tamtego miesiąca. Znajdzie pan w nich nekrolog.

- A Michael Ryan i Mary? Jack i Eryk Carverowie?

- Nie zasłużyli na wzmiankę w Timesie, ale skończyli w tym samym miejscu: w krematorium na północy Londynu. Zostaje pięć funtów szarego popiołu i nie ma potrzeby robić sekcji. Wszystkich zarejestrowano jako ofiary nalotów.

- Nic się nie zmienia - stwierdziłem. - A pozostali?

- Canaris utrzymał się niewiele dłużej. Popadł wkrótce w niełaskę, a w lipcu doszło do nieudanej próby zamachu na Hitlera i admirała aresztowano razem z innymi. Zabili go w ostatnim tygodniu wojny. Snuto domysły, czy w spisku brał udział Rommel. Führer był o tym przekonany. Nie mógł jednak dopuścić, aby bohatera narodu obwołano zdrajcą nazistowskich idei, pozwolił więc Rommlowi popełnić samobójstwo, obiecując oszczędzić jego rodzinę.

- Ale to były kanalie - powiedziałem.

- Wiadomo, co stało się w końcu z Führerem, kiedy osaczono go w bunkrze. Himmler próbował uciec. Zgolił włosy, założył nawet opaskę na oko, ale nic mu to nie pomogło. Kiedy go złapali, założył cyjanek.

- A Schellenberg?

- Stary Walter to był ktoś. Gdy wrócił, wystrychnął Himmlera na dudka. Powiedział, że go obezwładnili my. Ta rana oczywiście pomogła. Przed końcem wojny został szefem Połączonych Służb Wywiadu. Przetrzymał je wszystkie. Podczas procesu zbrodniarzy wojennych udowodnili mu jedynie przynależność do nielegalnej organizacji, jak było SS. W sądzie przemawiali na jego korzyść rozmaici świadkowie, nawet żydzi. Spędził w więzieniu tylko parę lat, potem go wypuszczono. Zmarł w pięćdziesiątym pierwszym we Włoszech. Na raka.

- Wić to tak - mruknąłem. Devlin pokiwał głową.

- Uratowali my Hitlerowi życie. Czy słusznie? - Wzruszył ramionami. - Tak nam się wtedy wydawało, ale mogli się domyślić, dlaczego utajniono te akta aż na sto lat.

Otworzył ponownie drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

- A co działo się potem? - zapytałem. - Z panem, ze Steinerem i Asa Yaughanem? Wiem, że po wojnie wykładał pan na jakimś amerykańskim uniwersytecie, ale co było wcześniej?

- Mój Boże, czy nie do ciebie już powiedziałem? Dostarczyłem panu materiału na kolejną książkę. Z resztą trzeba będzie poczekać do następnej okazji. Powinien pan wrócić teraz do hotelu. Podejść z panem kawałek.

- Czy to bezpieczne?

- No cóż, jeżeli natkniemy się na wojskowy patrol, pan jest czysty, a kto by się przejmował takim starym, biednym księdzem jak ja.

Miał na sobie kapelusz i zakrywający sutann przeciwdeszczowy płaszcz. Ośłaniał mnie swoim parasolem, gdy szli my przez ubogie ulice, napotykając tu i ówdzie ludy wybuchów.

- Niech pan tylko spojrzy - powiedział. - Szczurza aleja, gdzie umarli stracili kości.

- Po co to jeszcze robicie? - zapytałem. - Zamachy, zabójstwa?

- W sierpniu sześćdziesiątego dziewiętego, kiedy wszystko się zaczęło, miało to swój sens. Tłumy „pomarańczowych”, wspomagane przez specjalne oddziały policji, próbowały puścić katolików z dymem.

- A teraz?

- Szczerze mówiąc, jestem już tym zmęczony. Nigdy nie lubiłem atakowania bezbronnych, podkładania bomb, które zabijają przechodniów, kobiety i dzieci. Myślałem o tym gospodarstwie nad zatoką Killala. Moja cioteczna babka Eileen zostawiła mi je w spadku. A gdy zechcę, mogę objąć stanowisko wykładowcy angielskiego w Trinity College w Dublinie.

- Przystanął na rogu, wciągnął w nozdrza zapach dymu. - Pora rzucić to w diabły i zrobić miejsce tym, którzy mają ochotę walczyć dalej.

- Czy by zmoczyło pana w kołcu rozgrywanie gry, która panem zawładnęła?

Devlin skinął głową.

- Tak zawsze mówi Steiner.

- Ciekawe - zauważyłem. - Użył pan czasu teraźniejszego.

- Doprawdy? - odparł z uśmiechem.

Deszcz przybrał nagle na sile. Staliśmy na rogu Falls Road.

W oddali widać było pieszy patrol Pułku Spadochroniarzy i wóz pancerny typu Saracen.

- Chyba tu się rozstaniemy, synu - oznajmił Devlin.

- Rozsądna decyzja - powiedziałem, ciskając mu dłoń.

- Może mnie pan zawsze odwiedzi w Killala. - Zamierzał już odejść, ale najwyraźniej coś sobie przypomniał. - I jeszcze jedno.

- Co takiego? - zapytałem.

- Chodzi o wypadek tej dziewczyny, Ruth Cohen. Miał pan rację. Komu był on bardzo na rękę. Na pańskim miejscu uważałbym na siebie.

Zapaliłem papierosa, osłaniając go dłonią od wiatru, i patrzyłem za odchodzącym Devlinem. Trzymał parasol nad głową, a sutanna omiatała mu kostki niczym brzeg spódnicy. Rzuciłem okiem w głąb Falls Road. Patrol zbliżał się coraz bardziej. Kiedy odwróciłem głowę, by spojrzeć raz jeszcze na Liama Devlina, już go nie było. Rozpłynął się w cieniu, jakby nigdy nie istniał.

W&T